

PISZĄ I OPOWIADAJĄ DLA NAS:
• Garrick Ohlsson o konkursie chopinowskim • Bartłomiej Topa o serialu „1670” • Zdobywca Ig Nobla prof. Marcin Zajenkowski o narcyzmie • płk Maciej Matysiak o rosyjskich wpływach

Nr ISSN 1898-3081 | Nr indeksu 349-682



ma
ga
zyn **POLSKA**
Puls METROPOLIA WARSZAWSKA

Informacje z Kraju i ze Świata www.i.pl

FOT. ADAM JANKOWSKI



Piątek–niedziela, 3–5.10.2025
Nr 79 (2486) • Cena 7,00 zł (w tym 8% VAT)

s.16–17
**Najdroższy nasz
pupil. Dlaczego
usługi weterynarzy
są tak drogie?**

s.12
**Jaką rolę w tzw.
aferze Pegasusa
odegrał Zbigniew
Ziobro?**

s.6–9
*Marszałek Sejmu ma nowy cel: pracę jako komisarz ONZ ds.
uchodźców. Jego partia Polska 2050 jest w rozpysce*
Kolejna wolta Szymona Hołowni

REKLAMA

0011388542

**DO ZGŁOSZEŃ
GOTOWI
START!**

Zawalcz o obiekt sportowy
lub kulturalny w Twojej okolicy!


ZGŁOŚ NA WWW.GDYGRASZ.PL




Gdy grasz,
wszystko gra!

18+

Największy mecenas sportu i kultury



W poniedziałek magazyn

● Konkurs Chopinowski rozpała wielkie emocje. Kto ma szansę wygrać te pianistyczne igrzyska? ● Andrzej Bargiel, sportowiec ekstremalny

Maciej Sandecki
publicysta



WIZERUNEK IZRAELA W PYŁ

Co złego stało się z państwem Izrael? To pytanie zadają dziś sobie ludzie na całym świecie. Historia Izraela jest powszechnie znana, więc przypomnę tylko, że to państwo, które powstało po II wojnie, po makabrze holokaustu, było wymarzoną miejscem całego narodu żydowskiego. Jeszcze przed wojną, twórcy ruchu syjonistycznego mówili o nim jako o ziemi obiecanej - miejscu, gdzie naród tak boleśnie prześladowany przez wieki, wreszcie znajdzie schronienie.

Dziesiątki pokoleń Żydów, przepędzanych po całej Europie, maltretowanych pogromami, marzyło o tym państwie i snuło jego idealistyczne wizje. Po Szoah, ta narracja stała się jeszcze mocniejsza: oto Izrael - państwo, które powstaje z popiołów, które ma być bastionem demokracji, wolności i równości w świecie pełnym dyktatur i fanatyzmu.

Po II wojnie cały demokratyczny świat patrzył na Izrael z podziwem i sympatią. Naród tak straszliwie doświadczony buduje swoje państwo i nową tożsamość, osiąga sukcesy gospodarcze, choć musi bronić się przed wrogami otaczającymi je ze wszystkich stron. Taka narracja budowała to państwo przez ostatnie dziesięciolecia i niosła się po całym świecie, dzięki rozkwitowi izraelskiej kultury. Podziw budzili też jego przywódcy - twórca państwowości David Ben Gurion, Golda Meir czy Szimon Peres, nagrodzony pokojową Nagrodą Nobla za zawarcie porozumienia pokojowego z Jasiem Arafatem, przywódcą Palestyńczyków.

Izraelczykom udało się zbudować piękny mit swojego państwa i demokracji, mit, który dziś pęka na naszych oczach. To co Izraelowi udało się zbudować przez ostatnie 80 lat, jego obecny rząd Benjamina Natanjahu zniszczył niczym Gazę, w dwa lata.

Bo czym jest demokracja, jeśli blokuje się konwój humanitary? Czym jest „państwo prawa”, które dokonuje ludobójstwa w Strefie Gazy, równa to miasto z ziemią, morduje tysiące dzieci i w świetle kamer odmawia wody i chleba cywilom? Czym jest „wyspa wolności”, jeśli traktuje aktywistkę klimatyczną Gretę Thunberg, polskiego posła Franciszka Sterczewskiego i innych aktywistów płynących we Flotyli dla Gazy, jak zagrożenie?

Izrael przez lata był mistrzem narracji. Umiał sprzedawać światu swoją historię - o odwadze, cierpieniu i konieczności obrony. Ale dziś ten mit staje się groteską. Bo kiedy zatrzymuje się transport bandażu, trudno jeszcze mówić o heroizmie. To już nie jest obrona granic. To jest obrona przed własnym sumieniem.

Ile można jeszcze grać kartą „bezpieczeństwa”? Ile razy powtarzać, że bandaż może być bronią, a bochenek chleba zagrożeniem? Izrael w tym momencie traci coś znacznie cenniejszego niż dobre relacje dyplomatyczne - traci moralny mandat. Bo czym jest demokracja, która nie dopuszcza wody dla dzieci? Świat widzi coraz wyraźniej, że król jest nagi. Że mit, budowany przez dekady, rozsypuje się w pył. A kiedy pęka mit, pęka także autorytet. Bo historia - ta prawdziwa - zawsze rozlicza cynizm szybciej, niż wydaje się tym, którzy uwierzyli, że są ponad moralnością.

Wiem, że w Izraelu są miliony osób, które krytykują rząd Natanjahu, które chciałyby zakończyć tę straszną wojnę. One też tworzą państwo Izrael i wierzą, że kiedyś przejmą władzę w swoim kraju. Odbudowanie dawnego mitu, będzie już jednak niemożliwe.

AKADEMIA GÓRNICZA A SPRAWA POLSKOŚCI ŚLĄSKA

Polskość Górnego Śląska została ciężko wywalczona po I wojnie światowej. Ogromne trudności miała rodząca się po 123 latach niewoli II Rzeczpospolita Polska z odzyskaniem Wielkopolski oraz z uzyskaniem przyrzeczonego w zapisach Traktatu Wersalskiego dostępu do morza. Niemniej te fragmenty udało się Polsce uzyskać w sposób pewny i trwały, więc mimo różnych przejściowych trudności granice tam wyznaczone można było uznać za bezpieczne.

Problemem był jednak Górny Śląsk. Ten obszar do przedrozbiorowej Polski nie należał, a jednocześnie był bardzo pożądanym ze względu na rozwinięty przemysł i liczne bogactwa mineralne pod ziemią (głównie złoża węgla, ale też rud metali).

Wybuchły więc dwa powstania śląskie (17.08.1919 i 20.08.1920 roku), które jednak nie przyniosły oczekiwanego rozstrzygnięcia.

Korzystne dla Polski było stanowisko prezydenta USA, Thomasa Woodrowa Wilsona,

Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH



który wyrażał opinię, że do Polski powinny należeć ziemie zamieszkane w większości przez ludność polską. Zarządzono więc plebiscyt, w którym ludność miała się wypowiedzieć za Polską lub za Niemcami. Dopuszczono jednak do głosowania także osoby, które mieszkały na Śląsku, ale z niego emigrowały. Niemcy przywieźli więc na Śląsk 182 tysiące emigrantów, którzy stanowili 19% wszystkich wyborców i wygrali plebiscyt. W efekcie Śląsk przekazano Niemcom (bez powiatów pszczyńskiego i rybnickiego, które przyznano Polsce). Wojciech Korfanty wznieśli więc 2 maja 1921 roku trzecie Powstanie Śląskie, w wyniku którego do Polski przyłączono 29% obszaru Śląska, zdecydowanie zasiedlonego przez ludność polską. Na tym terenie znajdowały się 53 z 67

istniejących kopalni, 22 z 37 wielkich pieców hutniczych i 9 z 14 istniejących stalowni.

Argumentem, który wysuwali Niemcy, było stwierdzenie, że Polacy ten przemysł zmarnują, bo wśród nich byli głównie robotnicy, brak było natomiast inżynierów. I w tym momencie do akcji weszła moja uczelnia. Utworzenie w 1919 w Krakowie Akademii Górniczej (w której kształcono także hutników, chociaż w nazwie uczelni hutnictwo pojawić się miało dopiero po II wojnie światowej) okazało się decyzją niezwykle mądrą. Prawie dokładnie wtedy, gdy na Śląsku pojawiło się zapotrzebowanie na polskich inżynierów górników i hutników, Akademia Górnicza wypuściła pierwszych dobrze wykształconych absolwentów. Ogółem do wybuchu II wojny światowej (w 1939 roku) kra-

kowska Akademia Górnicza „wyprodukowała” 792 inżynierów górnictwa i hutnictwa.

Gdy w 1945 roku wojska tak zwanego 1 Frontu Ukraińskiego wyparły z tamtych obszarów Niemców, nikt już nie miał cienia wątpliwości, że to będą ziemie polskie. Dlatego gdy jeszcze trwały walki w okolicach Katowic i Gliwic, na Akademii Górniczej zaczęto już kształcenie studentów. Wielu z nich miało już zaliczone szereg przedmiotów, ponieważ podczas okupacji trwało nielegalne kształcenie akademickie prowadzone pod kierunkiem wybranego w 1939 roku rektora Akademii Górniczej, profesora Walerego Goetla. Dlatego gdy 16.04.1945 roku odbyła się w murach częściowo zdewastowanej AGH inauguracja pierwszego po wojnie roku akademickiego - wkrótce potem na zrujnowany wojną Śląsk wyruszyli pierwsi polscy inżynierowie górnicy i hutnicy - absolwenci Akademii Górniczej. I w ten sposób na sprawie polskości Śląska została postawiona końcowa kropka!

OPLATA ZA STUDIA COŚ NAPRAWI?

Zastanówmy się, czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy wprowadzili opłatę za studiowanie na państwowych uczelniach, skoro obecny system jest rażąco nieoptymalny - stwierdził Szymon Pękala, popularny w internecie komentator zjawisk społecznych.

Do takiej tezy doprowadziły go kolportowane w mediach informacje, że nawet 40 proc. studentów rezygnuje z nauki na pierwotnie wybranym przez siebie kierunku. Poczuję się niejako wywołany do tablicy, bo - choć studia zakończyłem dawno temu - mam na sumieniu taki krok. Po pierwszym roku spędzonym na politechnice zmieniłem zdanie, dyplom dostałem potem na uniwersytecie.

Janusz Michalczyk
publicysta



Szymon przyznaje, że różne mogą być przyczyny przerwania nauki i tylko za częścią takich decyzji stoi niefrasobliwość młodych, ale podkreśla, że rachunek płacimy wszyscy jako społeczeństwo, co jawi się jako marnotrawstwo pieniędzy ściąganych w formie podatków. Pomińmy na razie okoliczność, że dostęp do bezpłatnej nauki zapisano w konstytucji i posłuchajmy, co Szymon ma do zaproponowania w zamian, bo jest on oczywiście świadomy najważniejszego argumentu wy-

suwanego przeciwko opłatom - mianowicie takiego, że biedniejszym odbieramy szansę na zdobycie wyższego wykształcenia. Wyobraża więc sobie powiązanie opłaty ze średnią ocen. Na przykład trójkowi studenci płacą, ze średnią cztery wychodzą na zero, a piątkowi są na plusie, bo dostają stypendium. Aby nie było przeszczerzenia do machinacji, każdy miałby się rozliczać nie ze swoim rektorem, lecz bezpośrednio z ministrem nauki.

Mam słabość do logicznych konstrukcji myślo-

wych, ale doświadczenie życiowe podpowiada mi, że takiego systemu nie poparłaby większość polityków walczących o głosy wyborców.

Istnieją też przesłanki innego rodzaju, które mogą zmienić nastawienie wobec szkół wyższych. Mój kuzyn uznał studiowanie informatyki za stratę czasu, od razu po szkole średniej podjął pracę i dziś kieruje zespołem magistrów. Być może niedługo cały zespół straci robotę, bo utalentowanemu kuzynowi wystarczy wsparcie sztucznej inteligencji do wykonania zadań.

Niewykluczone, że w dalszej przyszłości to rząd będzie płacił młodym za studiowanie czegokolwiek, byle mieli jakieś zajęcie i nie domagali się sensownej pracy.

Zamów **prenumeratę**

Polska Metropolia Warszawa ☎ **22 230 20 38**
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

Z CZEGO JUTRO ...? O SPSIENIU, CZYLI ZRÓWNIANIE PRZEDSIĘBIORCY W PRAWACH Z PSEM I PRZESTĘPCĄ

Pies uzyskał skuteczniejszą, bardziej bezpośrednią i łatwiejszą do wyegzekwowania ochrony prawnej w Polsce niż przedsiębiorca. W przypadku tego gatunku zwierząt parający się polityką nie mieli problemów z jasnością i prostotą przepisów, bowiem nowelizacja ustawy o ochronie zwierząt jest w tym zakresie jednoznaczna. Po prostu zero-jedynkowo zapisano, że „zabrania się trzymania zwierząt domowych na uwięzi w sposób stały”, nie pozostawiając miejsca na jakąkolwiek interpretację. Nowelizacja ustawy o ochronie zwierząt spełnia warunki egzekwowania jej jak w Estonii przed sądem prowadzonym przez AI. W państwie tym powtarzalne i niewymagające interpretacji przypadki, które trafiają do sądu podlegają rozstrzygnięciu przez AI, która wydaje wyroki skazujące post factum co prawda zatwierdzone przez organiczny jeszcze sędziego z gatunku homo sapiens.

Przepisy, z którymi ma do czynienia przedsiębiorca jak podatkowe, prawa pracy, zamówień publicznych czy

Andrzej Sadowski
Centrum. im. Adama Smitha



ochrony środowiska od dawna tak są tworzone, aby były nie zwykle złożone, niejasne a przede wszystkim wewnętrznie sprzeczne. Przedsiębiorca, mimo że zatrudnia księgowych, doradców od prawa i podatków, którzy jak onegdaj czarownicy mają mu zinterpretować znaczenie znaków na urzędowo zadrukowanym papierze, i tak ryzykuje odmienną interpretację przepisów przez urząd skarbowy czy ZUS albo inny urząd.

Porównując przepisy dla psa i przedsiębiorcy to czworonóg ma przewagę nad dwunogimi, bowiem jego prawo jest proste i zrozumiałe dla każdego, zaś przedsiębiorca tonie w gąszczu paragrafów, co przypomina waterboarding. W relacji z urzędem np. skarbowym domniemanie nieprawidłowości jest po stronie przedsiębiorcy, który w praktyce musi udowodnić, że

jego rozliczenie, faktura czy transakcja są prawidłowe w świetle obowiązujących sprzecznych ze sobą przepisów. Wobec przedsiębiorcy praktykuje się domniemanie potencjalnego oszustwa, dopóki nie udowodni swojej uczciwości i nie przedstawi takiej interpretacji przepisów, którą samemu urzędowi będzie trudno podważyć. W systemie sytuacja zaś prawna psa uległa jednoznaczniemu polepszeniu i ma on w tym względzie przewagę, bowiem system jemu wierzy, a przynajmniej jego cierpieniu, a nie wierzy co do zasady przedsiębiorcy.

Niezwykła jest szybkość i skuteczność reakcji systemu w przypadku naruszenia przepisów dotyczących ochrony psa, bowiem prawo do interwencji ma każdy obywatel, który może zadzwonić na policję, do straży gminnej czy orga-

nizacji zajmującej się zwierzętami. W przypadku naruszenia prawa przedsiębiorcy przez urząd skarbowym spór z może trwać przez dekady, a w międzyczasie jego firma może zbankrutować obciążona zaległym zobowiązaniem i kosztami procesu. Ponownie sytuacja psa w przypadku wyrządzenia mu krzywdy i naruszenia jego praw jest nieporównywalnie lepsza od przedsiębiorcy, gdyż jest naprawiana tu i teraz, a w przypadku tego drugiego jej dochodzenie trwa lata, a nawet dekady w salach sądowych.

Rządzący państwem polskim potrafi stworzyć na przestrzeni lat niezwykle skuteczny, prosty i egzekwowany system ochrony dla jednej, konkretnej krzywdy, jakim jest cierpienie psa na łańcuchu, ale jednocześnie nie wykazują zainteresowania, aby obowiązywał również przejrzysty i sprawiedliwy system ochrony dla przedsiębiorcy, który jest filarem i twórcą społecznego dobrostanu. Jak to jest możliwe bez poczucia dyskomfortu moralnego i logicznego, że pies otrzyma ochronę przed arbitralnością i nadmierną biurokracją

państwa dzięki prostocie i jednoznaczności swojego prawa, co sprawia, że jest w silniejszej pozycji niż przedsiębiorca uwikłany w sieć nieprzyjaznych przepisów. Jeżeli pies ma prawo, które chroni go i działa w praktyce to znaczy, że nie ma żadnych przeszkód, aby co do zasady prawo takie obejmowało przedsiębiorcę, któremu przysługują różne prawa, ale istniejące tylko na papierze, a w praktyce są niweczone przez niepisane domniemanie winy, przewlekłość i złożoność procedur bez poszanowania czasu i również pieniędzy podatników polskich. Dlaczego do tej pory nie wykorzystano doświadczeń z implementacją technologii i rozwiązań z Estonii, fetyszyzując tzw. estoński CIT, a nie dostrzegając powszechnego zastosowania blockchainu przez administrację i służbę zdrowia tego państwa? Wykorzystanie technologii dla tworzenia jednoznacznych i nieinterpretacyjnych przepisów jest dzisiaj koniecznością podobnie jak stworzenie szczelnej i tym samym skutecznej obrony powietrznej naszego państwa. Jeżeli możliwa

była ustawa o psach, która jest „prosta jak drut”, to rozwiązania dla przedsiębiorców muszą być proste jak najlepsza dla nich aplikacja sektora komercyjnego. W przeciwnym razie postępujące marnotrawstwo zasobów spowodowane destrukcyjnym i dysfunkcyjnym systemem jest niewytłumaczalne i niewybaczalne nie tylko w obliczu możliwego zagrożenia agresją zewnątrz naszego państwa, ale z powodu narastających problemów z rosnącym długiem tzw. publicznym.

Jeżeli przedsiębiorca traktowany jest jak obywatel drugiej kategorii podczas gdy system karny jest niezwykle wyrozumiały dla osoby in flagrante delicto, to upadek tak niesprawiedliwego i niemoralnego systemu nastąpi szybciej niż niemożliwość obsłużenia długu. Skoro można było zdjąć łańcuch psu, to można znieść biurokratyczne poddaństwo przedsiębiorcy.

Andrzej Sadowski założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha – pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989 r.

AKCJA SPECJALNA HIPOKRATES

0011407620

Apteka to moje centrum dowodzenia

Zapraszamy na rozmowę z Anną Leszczyńską, farmaceutką, działaczką społeczną i laureatką współorganizowanego przez markę APTEO konkursu „Recepta na dobro”.



Co mówią pacjenci, kiedy przychodzą do pani po poradę?

Najczęściej, że przysłała ich mama, ciocia albo koleżanka. Wielu pacjentów znam od lat, wracają do mnie z rodzinami i polecają znajomym. Niektórzy twierdzą nawet, że jestem „lekarzem przed-pierwszego kontaktu” (*śmiech*). Ale chciałabym tutaj jednoznacznie podkreślić, że nie zastępuję lekarza. Jestem dumna z bycia farmaceutką. Pracuję w zawodzie od przeszło czterdziestu lat, mam ogromne doświadczenie i wiedzę, którą chcę się dzielić.

Stąd pomysł na działania edukacyjne?

Zacząłem się od warsztatów dla dzieci. Potem były bezpłatne zajęcia dla seniorów, podczas których opowiadałam o zagrożeniach wynikających z zażywania zbyt wielu leków i zwracałam uwagę na możliwe interakcje. Zajęcia kończyłam zawodami w segregowaniu leków synonimowych. Zwycięski

zespół dostawał nagrodę, więc walka bywała zacięta. Seniorzy w ogóle pięknie się angażowali i zadawali mnóstwo pytań. To utwierdziło mnie w przekonaniu, że tego typu oddolne działania są potrzebne.

Oddolnie działa też pani w Towarzystwie Przyjaciół Lanckorony. Czym się zajmujecie?

W dużym skrócie: chronimy lokalne dziedzictwo, dbamy o zażytki, organizujemy wystawy i wydajemy gazetę. Pierwsze numery pisaliśmy w aptece, bo tylko tam mieliśmy komputer. Dzisiaj działamy z większym rozmachem, ale nadal to właśnie apteka jest moim centrum dowodzenia. Tutaj spotykam się z pacjentami i działam na rzecz lokalnej społeczności. Na pewno pomaga mi w tym autorytet zawodowy.

Czyli dobrze być farmaceutką?

Z mojej perspektywy tak - warto jednak zaznaczyć, że prowa-

dzę aptekę w małej miejscowości z ograniczonym dostępem do lekarzy. Często więc to właśnie do mnie pacjenci zgłaszają się w pierwszej kolejności po pomoc. Wiedzą, że mogą mi zaufać, bo jestem farmaceutką z dużym doświadczeniem. Naprawdę czuję się potrzebna i doceniana. Największym wyrazem uznania od lokalnej społeczności było dla mnie przyznanie tytułu Honorowego Obywatela Gminy Lanckorona. W całej historii otrzymało go tylko pięć osób, więc to ogromny zaszczyt!

A jak zareagowała pani na nominację i wygraną w konkursie „Recepta na dobro”?

Prawdę mówiąc, kiedy odebrałam telefon z zaproszeniem na galę, uznałam, że to chyba jakaś pomyłka lub żart. Zdążyłam już zapomnieć o nominacji, więc odparłam, że nigdzie nie zamierzam jechać, bo mam dużo pracy (*śmiech*). W końcu jednak dałam się przekonać i nie żałuję!

Czy taka nagroda jest według pani potrzebna?

Oczywiście! Z jednej strony - dzięki nagrodzie inne zawody medyczne mają szansę zobaczyć, że my, farmaceuci, też robimy ponadprzeciętne rzeczy. Z drugiej - dla farmaceutów to może być impuls, żeby wyjść ze swoimi pomysłami w świat. Bardzo do tego zachęcam koleżanki i kolegów po fachu: jeżeli działacie na rzecz pacjentów, pochwalcie się tym. Naprawdę razem możemy wiele zmienić na lepsze.

Czyli - zamierza pani dalej działać?

W głowie mam milion pomysłów, tylko doba jest za krótka na zrealizowanie wszystkich (*śmiech*). Ale i tak się staram, planuję nowe zajęcia dla dzieci, przeprowadzam przeglądy lekowe, koordynuję tworzenie historycznego murala. Chcę pomagać póki starczy sił. Tego nauczył mnie dziadek społecznik - że nie jesteśmy na tym świecie dla pieniędzy, ale dla innych ludzi. Od początku do samego końca.

GARRICK OHLSSON: KONKURS CHOPINOWSKI OTWORZYŁ MI WSZYSTKIE MOŻLIWE DRZWI

– Granie Chopina jest jak wejście na wysoką górę. Dla wszystkich pianistów jego muzyka jest esencją – mówi Garrick Ohlsson, amerykański pianista i przewodniczący jury XIX Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina

Jakie jest pana pierwsze wspomnienie związane z Konkursem Chopinowskim w 1970 roku? Czy pamięta pan emocje, które wówczas panu towarzyszyły?

Mam wrażenie, że pamiętam każdą sekundę konkursu, ale to oczywiście nie może być prawda. Mam jednak wiele wspomnień, które są wciąż bardzo silne. Ale numerem jeden tych wspomnień jest intensywność doświadczeń i ogromny entuzjazm związany z muzyką Chopina, także ze strony publiczności. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczyłem. Przed konkursem występowałem przed publicznością, brałem udział w konkursach. Byłem przyzwyczajony do tego, że ludzie mówili mi: panie Ohlsson, pan tak dobrze i pięknie gra, to takie cudowne. Ale w Warszawie ludzie zatrzymywali mnie na ulicy i potrafili powiedzieć, że w środkowej sekcji Mazurka cis-moll op. 41 nr 4 zagrałem jak Ignacy Friedman (polski pianista i kompozytor żydowskiego pochodzenia, zmarły w 1948 roku w Sydney - red.), bo tak powiedziała ich babcia. Jako artyści czuliśmy więc emocje towarzyszące publiczności. Ale jest takie powiedzenie, że jak dużo dajesz, dużo dostajesz. W Warszawie było to widać. Przez trzy tygodnie trwania konkursu ta intensywność emocji tylko się zwiększała, aż na końcu eksplodowała.

A jak zapamiętał pan moment ogłoszenia wyników?

To wyjątkowe, a jednocześnie bardzo śmieszne wspomnienie. W tamtym czasie ogłoszenie wyników odbywało się w małym pokoju jury w Filharmonii Narodowej. Było już późno w nocy, wszyscy byliśmy bardzo zdenerwowani, ale rozmawialiśmy ze sobą. Nagle usłyszałem, jak ktoś powie-

dział, że jury ogłasza wyniki. Zacząłem biec po schodach i usłyszałem, że trzecią nagrodę zdobył Piotr Paleczny, czwartą Eugene Indjic, piątą Natalija Gawiłowa, a szóstą Janusz Olejniczak. Wtedy spytałem się, kto w końcu wygrał, a oni mówią, że przecież ja. To był cudowny moment!

Było to spełnienie pana muzycznych marzeń?

Oczywiście! Zarówno wtedy, jak i obecnie jedną z dróg do rozpoznawalności dla młodego pianisty, który chce zrobić dobrą karierę w muzyce, jest wygranie konkursu. Co prawda wszystkie duże konkursy są prestiżowe i ważne, ale tak jak w „Folwarku zwierzęcym” George’a Orwella wszystkie zwierzęta są równe, ale niektóre są równiejsze, tak też jest w przypadku konkursów. W 1970 r. w grę wchodziły trzy największe z nich, czyli Piotra Czajkowskiego w Moskwie, Królowej Elżbiety Belgijskiej w Brukseli oraz właśnie Chopinowski w Warszawie. Wygrana w jednym z nich sprawiała, że zwycięzca znajdował się na pierwszych stronach najważniejszych muzycznych gazet na świecie, dostawał zaproszenia z całego świata. Oczywiście, wcześniej zwyciężyłem w już Konkursie im. Busoniego oraz Konkursie Pianistycznym w Montrealu, ale wiedziałem, że tylko dzięki zwycięstwu w Warszawie będę mógł otrzymać wiele zaproszeń. I tak się właśnie stało. Nieraz się śmiałem, że noc przed zwycięstwem byłem młodym obiecującym pianistą z dwoma lub trzema zaplanowanymi koncertami na przyszły rok. A tydzień później tych koncertów było już zaplanowanych sto na następne dwa lata. I to w Berlinie, Londynie, Wiedniu, Paryżu, Nowym Jorku, Tokio...

Konkurs otwiera drzwi?

Zdecydowanie! Mnie otworzył wszystkie możliwe drzwi. Radziłbym jednak młodym pianistom, aby przed konkursem nie planowali zdobycia pierwszej nagrody. Takie myślenie jest po prostu niemożliwe. Oczywiście, możesz być na tyle dobry, aby zwyciężyć. Ale wiele różnych innych rzeczy decyduje o twoim sposobie gry w danym momencie. Wystarczy, że zachorujesz, będziesz miał gorączkę i nie zagrasz najlepiej, jak potrafił. Możesz otrzymać złe wiadomości z domu, że coś stało się twojemu bliskiemu, i to też wpłynie na to, jak wypadniesz. Jeśli więc planujesz karierę, zawsze musisz mieć plan B i C.

A pan takie plany miał?

Muszę przyznać, że wówczas nie miałem. Gdybym nie wygrał w Warszawie, prawdopodobnie bym poczekał i wrócił na kolejny cykl konkursowy w Moskwie lub Brukseli. Miałem jednak szczęście i zwyciężyłem. Kiedy w 2015 roku byłem członkiem jury, podczas jednej z przerw rozmawiałem z niedawno zmarłym Januszem Olejniczakiem, z którym razem uczestniczyliśmy w konkursie. Wówczas powiedział mi, że ja przyjechałem do Warszawy już jako zwycięzca dwóch konkursów, aby wygrać i ten. On natomiast był wtedy młodym chłopakiem, wziął udział w konkursie, aby sprawdzić, co się stanie. Ale ja nigdy nie uważałem, że przyjechałem do Warszawy, aby wygrać. Każdy z nas był na nieco innym etapie życia. Oczywiście, miałem wielką nadzieję na zwycięstwo. I ten cud się wydarzył.

A czy konkurs był początkiem pana zawodowej przygody z muzyką Chopina?

Myszę, że było to jak wejście na wysoką górę. Dla wszystkich

pianistów, niezależnie od specjalizacji, Chopin jest esencją. Myszę, że po prostu wszyscy kochamy jego muzykę także dlatego, że jest ona trudna. Jest wyzwaniem. Miałem 11 lat, kiedy zagrałem pierwszy utwór Chopina. Do dziś pamiętam, że był to Nokturn cis-moll op. 27 nr 1. Muszę przyznać, że wtedy myślałem, że jestem już bardzo utalentowany. Dziś się z tego śmieję. Po latach moja miłość do Chopina tylko wzrastała. Coraz więcej zwracałem uwagi na detale, ciągle uczyłem się języka kompozytora, szukałem nowych możliwości oddania w muzyce tego, co sam czuję.

Powiedział pan o trudności muzyki Chopina. Na czym ona polega?

Chopin jest bardzo skomplikowanym kompozytorem. Jego muzyka wymaga od pianisty osobistego zaangażowania. Ale grając Chopina, trzeba także zwrócić uwagę na proporcje i równowagę. Członkowie jury często dyskutują o tym, co jest ważne w ich rozumieniu muzyki Chopina. Ale to także wymaga osobistego wyczucia. To nie tylko matematyczna precyzja i podążanie za zapisem nutowym. W Nowym Jorku miałem okazję słuchać wielkich pianistów, takich jak Artur Schnabel, Vladimir Horowitz, Claudio Arrau czy Arturo Benedetti Michelangeli. Ich interpretacje były diametralnie różne. Zacząłem się nawet zastanawiać, jak w końcu te utwory powinny brzmieć. A to, czy grasz szybciej, czy wolniej, może także zależeć od kulturowego rozumienia muzyki i metrum. Możemy się o tym przekonać podczas konkursu. Przecież dwie osoby nie zagrają w ten sam sposób tego samego utworu. Ale właściwie o to chodzi! Bo ekspresja emocji powinna wychodzić z naszego środka. Kiedy słucha się do-

brych wykonawców Chopina, można też zobaczyć, że interpretacje powstają w danym momencie, są efektem „tu i teraz”.

A zauważa pan nowe trendy w wykonawstwie Chopina? Myszę, że dla wielu osób postacią przełomu może być Ivo Pogorelic...

Pytania o Pogorelicę zawsze są ciekawe. Podczas Konkursu Chopinowskiego w 1980 roku zaprezentował się jako świetny interpretator. Ale osobistą interpretację doprowadził aż do ekstremum. Choć wówczas go rozumiałem. Widziałem zresztą - wbrew pozorom - stojący za nim trend interpretacyjny, często grali tak rosyjscy pianiści. Pogorelic był indywidualnością, grał pięknie, była w tym fantazja, jego interpretacje się kochało, ale nie przekroczył zbyt wielu granic. Myszę, że chciał też zwracać na siebie uwagę, pokazać wszystkim, co może zrobić ze swoimi fantastycznymi palcami i szalonymi pomysłami.

Podczas konkursów w 2015 i 2021 roku jako kontynuatora Pogorelicia wskazywano na Georgijisa Osokinsa...

Bardzo lubię Osokinsa. Jego gra była ekstremalna i indywidualna. Rozumiałem emocjonalnie i muzycznie jego podróż przez utwór. Choć wiem, że nie wszyscy się z nim zgadzali.

A pan skłania się bardziej ku tradycji czy nowatorskim interpretacjom?

Sam skłaniam się mniej bądź bardziej ku tradycji. Ale zawsze jest trudno mówić o samym sobie, bo opisywanie siebie jest niebezpieczne. Rozumiem, że kiedy jest się młodym pianistą, można się takimi interpretacjami zafascynować. Ale nasza gra musi być zgodna z prawdą o nas samych. Michelangeli

w jednym z wywiadów powiedział, że jako interpretator musisz wejrzeć w siebie głęboko, dobrze siebie znać. Zatem twoje wybory muszą być po prostu twoje. Gdybym próbował grać jak Ivo Pogorelic, imitować go, nikt by mi nie uwierzył. Ale przede wszystkim ja sam bym sobie nie uwierzył. Szekspir w sztuce „Jak wam się podoba” napisał: biedne, ale moje własne. I coś w tym jest! Ale z czasu konkursu mam jeszcze jedno wspomnienie. W 1970 roku nie było przecież takich możliwości słuchania muzyki jak obecnie. Nie znałem wtedy nagrań Friedmana czy Aleksandra Michalowskiego. Pewnego dnia dwóch krytyków - Jan Weber z Polskiego Radia i Józef Kański - postanowiło nam te nagrania puścić. Weber zaprosił nas do siedziby radia, a Kański do swojego domu. Dzięki nim mogliśmy posłuchać pianistów, o których istnieniu wiedzieliśmy jedynie z książek. Dla młodych pianistów było to niezwykle doświadczenie. Zacząłem wówczas inaczej patrzeć na styl grania Chopina. Z tych płyt wysłuchałem, że każdy z tych artystów miał swój charakterystyczny muzyczny podpis. A byli to pianiści, którzy sami znali muzyków, którzy znali i słuchali Chopina na żywo.

Żyjemy w świecie upadku instytucji autorytetu i zaburzonych relacji mistrz - uczeń. Kim jednak byli pana mistrzowie?

Kiedy uczyłem się w Juilliard School, moimi nauczycielami byli Sascha Gorodnitzki oraz Rosina Lhévinne. Jako nauczyciel Gorodnitzki był bardzo rygorystyczny. Był także zazdrosny o swoich uczniów, ponieważ nie chciał, abyśmy byli pod wpływem idei innych osób. Z jednej strony było to dobre, ale z drugiej - niekonieczne. Był dla mnie jak ojciec. Nie



FOT. PAP/ALBERT ZAWADA

Garrick Ohlsson: Chopin jest bardzo skomplikowanym kompozytorem. Jego muzyka wymaga od pianisty osobistego zaangażowania

chciałem się jednak zamykać, ponieważ dużo mnie interesowało w muzyce fortepianowej. Po siedmiu latach nauki u niego odszedłem. Czułem z tego powodu ból, ale wiedziałam, że muszę tak postąpić. Do Konkursu Chopinowskiego przygotowała mnie Olga Barabini, uczyłem się także u Claudio Arraui. Moją ostatnią nauczycielką była natomiast Irma Wolpe. Byłem już wtedy dojrzały, jeden z kolegów nawet mnie pytał, po co chodzę do niej na lekcje, skoro gram lepiej niż ona. Ale uważałem, że jest świetna w ocenie gry, chciałem wciąż się rozwijać. Wolpe była właściwą osobą we właściwym czasie.

Pianistka to ciągle uczenie się?

W ogóle muzyka to ciągle rozwijanie się, staranie się, by nie grać tego samego. Uczymy się od innych muzyków, ale także od dyrygentów, z którymi przyszło nam występować. Myślę, że całe życie powinniśmy się sprawdzać jako artyści, zwracać uwagę na nowe detale, uczyć się nowych utworów.

A kiedy pan poczuł się mistrzem dla innych młodych pianistów?

Nigdy w ten sposób o sobie nie myślałem. Właściwie przez większość życia nie byłem na-

uczycielem, choć oczywiście prowadziłem masterclassy. Czasami też zwracano się do mnie z pytaniem, co sądzę o czyjejś grze. Od 2018 roku prowadzę jednak zajęcia na San Francisco Conservatory of Music. Mam kilku uczniów, choć na początku trudno było mi zaakceptować pomysł, że będę dobry także jako nauczyciel.

Teraz będzie pan przewodniczył obradom jury Konkursu Chopinowskiego. Co to dla pana znaczy?

To dla mnie ogromny zaszczyt, że będę pierwszym niepolskim przewodniczącym jury. Czuję, że trochę jestem takim honorowym Polakiem. Często występuję w Polsce i mam niezwykłą więź z polską publicznością. Mam do Polski ogromny sentyment. Często rozmawiam z wieloletnią szefową jury Katarzyną Popową-Zydroń, zadając jej dużo pytań o pracę przewodniczącego. Ale chcę powiedzieć, że mój głos liczy się tak samo jak głos innych członków jury, to nie jest tak, że to ja sam podejmuję najważniejsze decyzje. Jury potrzebuje lidera. Może będę to właśnie ja.

A ma pan już w głowie idealnego kandydata na zwycięzcę konkursu?

Ależ nie! Jestem szczęśliwcem, ponieważ żaden z moich

uczniów nie bierze udziału w konkursie. Prowadziłem też jeden masterclass, podczas którego byłem poproszony o posłuchanie kandydatów, którzy mogliby wystąpić w Warszawie. Nie zgodziłem się jednak - po pierwsze dlatego, że zabraniają mi tego reguły, a po drugie, nie chcę słyszeć wcześniej uczestników poza salą koncertową Filharmonii Narodowej. Oczywiście, niektórych pianistów słyszałem już wcześniej w innych miejscach. Ale chcę podkreślić, że nawet jeśli ich znałem, oceniałem tylko to, co usłyszę w Warszawie. Nie mam więc wstępnych założeń, kto powinien zwyciężyć. Nie wiem, czy będzie to ktoś bliższy klasykom i tradycji, czy nowy Ivo Pogorelič. Decyzję podejmę dopiero wtedy, kiedy ich usłyszę. Chciałbym być jednak zaskoczony. Mam nadzieję znaleźć wspaniałych artystów, którzy poruszą mnie emocjonalnie. I to wcale nie musi być zwycięzca ani zdobywca któregoś z nagród. Tu chodzi o skradzenie serca. Podobnie dzieje się na koncertach, kiedy muzyka czasami przenosi nas do magicznych miejsc. Nawet jako zawodowy muzyk czekam na to, aby zostać porwanym emocjonalnie. Przypomina mi to zakochanie się!

ROZMAWIAŁA ANNA KRUSZYŃSKA/PAP

MATERIAŁ INFORMACYJNY FUNDACJI „MARATON WARSZAWSKI”

0011401045

47. Nationale-Nederlanden Maraton Warszawski – rekord frekwencji i nowi mistrzowie Polski

Ryoma Takeuchi z Japonii oraz Michelle Schaub ze Szwajcarii zwyciężyli w 47. Nationale-Nederlanden Maratonie Warszawskim, który przeszedł do historii jako największy maraton w dziejach polskiej lekkoatletyki. Na jego mecie poznaliśmy także nowych mistrzów Polski – Arkadiusz Gardzielewski wśród mężczyzn oraz Emilia Mazek wśród kobiet. Do udziału zgłosiło się ponad 11 500 biegaczy, by walczyć na królewskim dystansie 42,195 km. Zawodników dopingowały dziesiątki tysięcy kibiców wzdłuż trasy. Warszawa na cały weekend zamieniła się w festiwal biegania, oferując uczestnikom i mieszkańcom niezapomniane sportowe emocje i wyjątkową atmosferę wielkiego miejskiego święta.

Nowi Mistrzowie Polski na mecie
W klasyfikacji generalnej triumfowali Ryoma Takeuchi z Japonii, który zwyciężył z czasem 02:11:21, oraz Michelle Schaub ze Szwajcarii, najlepsza wśród kobiet z wynikiem 02:33:41. Po raz pierwszy w swojej historii Maraton Warszawski był równocześnie areną Mistrzostw Polski kobiet i mężczyzn w maratonie. Tytuły mistrzowskie wywalczyli – Arkadiusz Gardzielewski – 02:17:37 i Emilia Mazek – 02:35:36, którzy jako pierwsi przekroczyli linię mety. Ceremonia medalowa odbędzie się w niedzielny wieczór podczas uroczystego Wieczoru Mistrzów nad Wisłą. W pierw-



FOT. MACIEJ KRÜGER

szej setce znaleźli się przedstawiciele aż 21 państw. Według wstępnych wyników ponad 460 osób pokonało dystans maratonu poniżej 3 godzin, co pokazuje wysoki poziom sportowy wśród amatorów.

Wyniki 47. Nationale-Nederlanden Maratonu Warszawskiego Open – mężczyźni

1. Ryoma Takeuchi (Japonia) – 02:11:21
2. Amitai Yonah (Izrael) – 02:15:49
3. Thijs Nijhuis (Dania) – 02:16:46

Open – kobiety

1. Michelle Schaub (Szwajcaria) – 02:33:41
2. Emilia Mazek (Polska) – 02:35:36
3. Anna Bańkowska (Polska) – 02:36:51

Mistrzostwa Polski – mężczyźni

4. Arkadiusz Gardzielewski – 02:17:37
5. Artur Olejarsz – 02:20:38
6. Patryk Pawłowski – 02:20:44

Mistrzostwa Polski – kobiety

7. Emilia Mazek – 02:35:36

8. Anna Bańkowska – 02:36:51
 9. Joanna Konopko – 02:38:31
- Pełne wyniki 47. Nationale-Nederlanden Maratonu Warszawskiego dostępne są na stronie: www.nnmaratonwarszawski.com*

Rekordowa frekwencja

Tegoroczna edycja Maratonu Warszawskiego zgromadziła rekordową liczbę uczestników, czyniąc go największym maratonem w historii Polski. – *Ogromne zainteresowanie biegiem odnotowaliśmy już na etapie zapisów, które przyciągnęły ponad 11 500 osób* – podkreśla Marek Tronina, dyrektor biegu. Łącznie w weekendowych biegach wystartowało około 18 tysięcy osób – od dzieci po seniorów. Obok maratonu, który tradycyjnie rozgrywany jest w niedzielę, dodatkowe emocje zapewniły biegi towarzyszące. 45 minut po starcie maratonu ruszył bieg na 10 km Nice To Fit You Warszawa Dycha. Również w tym biegu padł rekord frekwencji – wcześniejszy limit

miejsc został wyczerpany, a zgłoszenia przekroczyły 8 tysięcy. Dzień wcześniej, w sobotę, odbył się Nice To Fit You Mini Maraton – cykl biegów dla dzieci i młodzieży w wieku od 3 do 16 lat – gdzie łącznie pobiegło 1500 młodych sportowców.

Biegowy weekend w liczbach: – Uczestnicy maratonu (42,195 km): ponad 11 500 zgłoszeń – **Debiutanci na królewskim dystansie:** blisko 5 000 – **Kraje reprezentowane przez biegaczy:** 104 – **Liczba stref kibicowania:** 42 – **Szacowana liczba kibiców na trasie:** dziesiątki tysięcy – **Wolontariusze zaangażowani w organizację:** blisko 2 000

Biegowe święto miasta: kibice i atrakcje dla wszystkich

Organizatorzy podkreślają, że Maraton Warszawski to nie tylko rywalizacja sportowa elity, ale także wielkie wydarzenie społeczne i miejskie święto. Podobnie jak legendarnie głośnie maratony w Berlinie czy Londynie, również Warszawa żyła biegiem – 42 zorganizowane strefy kibicowania rozmieszczone na każdym kilometrze trasy zapewniły biegaczom gorący doping na wszystkich etapach zmagania. W wielu punktach kibice tworzyli prawdziwe minifestiwale z muzyką, hasłami wsparcia i własnymi inicjatywami.

Centrum wydarzeń dla kibiców i rodzin biegaczy była Marathon Fan

Zone zlokalizowana przed Pałacem Kultury i Nauki. W tym biegowym miasteczku partnerzy imprezy przygotowali liczne atrakcje: animacje dla dzieci, fotobudki, konkursy, strefy relaksu dla dorosłych oraz wiele innych aktywności, tak aby zaangażować nie tylko biegaczy, ale i ich rodziny oraz wszystkich mieszkańców. Nowością była gra miejska dla kibiców, zachęcająca do odwiedzania kolejnych punktów dopingu na trasie. Nie zabrakło także akcentów kulinarnych – w przeddzień maratonu odbyło się Pierogi Party, czyli wspólna uczta z polskimi pierogami inspirowana tradycją pasta party. Maraton Warszawski to także bieganie w słusznej sprawie. Od ponad dekady integralną częścią imprezy jest akcja charytatywna #BiegamDobrze, w ramach której setki biegaczy zbierają fundusze na cele społeczne i dobroczynne. W tym roku ponad 1800 osób pobiegło z pomarańczowym numerem charytatywnym, dzięki czemu zebrano już 850 000 zł na wsparcie organizacji pozarządowych. Akcja trwa do 10 października.

47. Nationale-Nederlanden Maraton Warszawski był wyjątkowy – zarówno pod względem rekordowej frekwencji, jak i niesamowitej atmosfery, która towarzyszyła biegaczom i kibicom przez cały dzień. To wydarzenie to nie tylko święto biegaczy. Każdy z nas na co dzień ma swój maraton: emocje, wyzwania, trudne momenty.

Jako Nationale-Nederlanden wierzymy, że każda droga i każdy wysiłek mają znaczenie, dlatego wspieramy zarówno zawodników na trasie biegu, ale także te osoby, które mierzą się z innymi codziennymi wyzwaniami – mówi Marta Maszewska-Danielewicz, dyrektorka ds. komunikacji marketingowej i marki w Nationale-Nederlanden.

Maraton napędza Warszawę – sportowy impuls dla miasta

Impreza takiej skali to nie tylko emocje sportowe, ale również wymierne korzyści dla miasta. Niedawno opublikowany raport Akademii Leona Koźmińskiego i Fundacji Maraton Warszawski wykazał, że łączny efekt ekonomiczny Maratonu i Półmaratonu Warszawskiego dla stolicy przekracza 60 milionów złotych rocznie. Ponad 60 mln zł dodatkowych wydatków przyjezdnych biegaczy, kibiców i organizatorów zasiła warszawskie hotele, restauracje, transport i usługi każdego roku. Tegoroczna rekordowa frekwencja biegaczy oraz dziesiątki tysięcy odwiedzających kibiców – potwierdzają te dane w praktyce. Co ważne, zyski z maratonu to nie tylko kwestie finansowe. Bieg przyczynia się również do promocji miasta i integracji społeczności lokalnej. Według przytoczonego raportu aż 77% uczestników zadeklarowało chęć ponownego odwiedzenia Warszawy, zabierając ze sobą świetne wspomnienia z biegu.

SZYMON HOŁOWNIA ZMIENIA POLITYCZNE PLANY



Szymon Hołownia chciałby zostać Wysokim Komisarzem ONZ ds. Uchodźców, w każdym razie złożył aplikację na to stanowisko. Popierają go rząd i prezydent Nawrocki. Cóż, po przegranych wyborach prezydenckich widać było wyraźnie, że Hołownia się miota, że szuka dla siebie miejsca, tym bardziej że za chwilę pożegna się z fotelom marszałka Sejmu. Jest w kiepskiej sytuacji: partia rozłazi mu się w rękach, jej notowania są złe, dzisiaj Polska 2050 nie weszłaby do Sejmu. Wygląda jednak na to, że Hołownia postanowił zostawić te problemy innym

Dorota Kowalska

Szymon Hołownia zaskakuje. Nie od dzisiaj zresztą. Już sama jego decyzja o wejściu do polityki, u wielu wzbudziła zdziwienie. Wszystko, co działo się później, pokazywało Hołownię w różnych odsłonach, które mniej lub bardziej mogły podobać się wyborcom. W tym tygodniu marszałek Sejmu też postanowił zająć opinię publiczną swoją osobą.

„Przedwczoraj poinformowałem naszą Radę Krajową, że w ten piątek złożyłem aplikację w publicznym naborze ogłoszonym przez Sekretarza Generalnego ONZ Antonio Guterresa na funkcję Wysokiego Komisarza ONZ ds. Uchodźców (UNHCR)” - napisał Hołownia w poniedziałek w mediach społecznościowych.

I zaznaczył, że Polska nigdy wcześniej nie była w takim miejscu w strukturach ONZ.

„Temat wsparcia humanitarne znam lepiej, niż politykę, bo zajmowałem się nim dwa razy dłużej, rozwijając moje fundacje na całym świecie” - podkreślił marszałek Sejmu.

I znowu: Wow!. Kto by się spodziewał? Zaskoczenie.

Jak pisze Onet, lider Polski 2050 już od kilku miesięcy starał się o tę posadę. „Żeby dostać nominację, Hołownia musi mieć poparcie polskich władz, w tym prezydenta. To tłumaczy, czemu marszałek od wyborów prezydenckich stara się budować dobre relacje z Karolem Nawrockim i Jarosławem Kaczyńskim” - czytamy w portalu.

Wydaje się, że te starania marszałka przyniosły oczekiwane efekty, bo Hołownia w swoim wpisie podziękował prezydentowi Karolowi Nawrockiemu, premierowi Donaldowi Tuskiemu oraz wicepremierowi i szefowi MSZ Radosławowi Sikorskiemu za „jednoznaczne poparcie” oraz za to, że „tak bardzo w ostatnich dniach zaangażowali się w tę sprawę, uruchamiając osobiste kontakty, i całą naszą dyplomatyczną maszynę”.

Hołownia przyznał, że szanse na objęcie przez niego stanowiska komisarza ONZ ds. uchodźców „na dziś nie są wielkie” i zaznaczył, że nie znikną jeszcze z krajowej polityki, chce wspierać i pomagać z drugiego szeregu.

„Te 6 lat w polityce nauczyło mnie więcej o świecie i ludziach, niż 4 dekady wcześniejszego życia. Popełniłem błędy. Szczególnie za nie przepraszam. Parę rzeczy udało się - zawsze z zespołem, czy sejmowym, czy partyjnym, czy koalicyjnym - tak że jestem z tego dumny. I jestem wdzięczny. Zwłaszcza za naszych wspianych posłów, senatorów, radnych, działaczy Polska 2050. I za Sejm Rzeczypospolitej Polskiej, dziś nie do poznania. Otwarty na ludzi, coraz bardziej

nowoczesny, z silnymi relacjami na świecie” - wymienił Hołownia we wpisie.

Zaznaczył, że dalej będzie rozmawiał z Donaldem Tuskiem i „jeśli będzie taka potrzeba”, z Jarosławem Kaczyńskim.

Zapewniał, że jest „dumny” z tego, że ma dobre relacje zarówno z polskim premierem, jak i polskim prezydentem i że nie chce dla siebie „władzy”.

„Dlatego nie wchodzę w skład rządu. Jeśli taka będzie wola posłów (...) postaram się przydać w Sejmie jako jego wicemarszałek” - zadeklarował.

Do planów Szymona Hołowni szybko odniósł się rzecznik rządu Adam Szłapka.

- Złożył taką aplikację. Z punktu widzenia Polski to oczywiście rozwiązanie, które wzmacnia. Na to stanowisko jest wiele mocnych kandydatur, natomiast Polska będzie wspierać tę kandydaturę, bo zależy nam na tym, żeby Polacy pełnili w instytucjach międzynarodowych jak najważniejsze stanowiska - podkreślił polityk Koalicji Obywatelskiej. - Tutaj oczywiście wymagana jest współpraca rządu, szefa MSZ, ale też prezydenta. Myślę, że ta współpraca będzie - dodał Adam Szłapka.

Prezydent Karol Nawrocki już zapewnił, że popiera wszystkich polskich kandydatów na międzynarodowe funkcje, a Hołownia ma dodatkowo „pozapolityczne doświadczenie”. Podkreślił też, że nie było mowy o żadnym politycznym dealu.

- Nie było żadnego dealu. Wspieram polskich kandydatów, będę wspierał polskich kandydatów na arenie międzynarodowej. A swoją drogą, uważam, że marszałek Szymon Hołownia akurat do tej funkcji ma pełne predyspozycje - stwierdził prezydent Karol Nawrocki w Radiu ZET. - Od tego jest prezydent Polski, aby wspierać polskich kandydatów w ONZ. Tak, były rozmowy nt. Szymona Hołowni. Uznaję, że akurat pan marszałek Szymon Hołownia, jeśli chodzi o kwestie humanitarne i o uchodźców, ma także swoje pozapolityczne, o czym warto pamiętać, doświadczenie - mówił dalej prezydent Nawrocki.

Czyli poparcie najważniejszych osób w państwie Szymon Hołownia już ma.

Równie ważna, przynajmniej dla obserwatorów sceny politycznej, jest odpowiedź na pytanie, co stoi za decyzją marszałka Sejmu. Wydaje się, że mogło na nią wpłynąć przynajmniej kilka czynników.

Jako lider Polski 2050 Hołownia nie ma powodów do zadowolenia. Według sondaży, gdyby wybory odbyły się dzisiaj, jego ugrupowanie nie weszłoby do Sejmu. W samej partii też nie dzieje się dobrze: ferment i zamieszanie. I co ważne, coraz częstsze spory z koali-

cjantami, żeby wspomnieć chociażby o wydarzeniach z ostatnich dni. Sejm w ubiegły piątek nie przyjął wniosku Lewicy o odrzucenie w pierwszym czytaniu prezydenckiego projektu ustawy o zapewnieniu budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego. W koalicji, nie po raz pierwszy, wyłamali się właśnie posłowie Polski 2050.

Jak donosił Onet, Donald Tusk był ponoć wściekły na Szymona Hołownię i jeszcze przed piątkowymi głosowaniami w Sejmie miał grozić ministrom partii koalicyjnych dysmisjami, gdyby którykolwiek z nich poparł prezydencki projekt dotyczący CPK. Szef rządu podejrzewał, że wolte mogą wykonać posłowie PSL, wykonał ją jednak posłowie Polski 2050.

- Nie akceptuję takiego głosowania posłów, nie dlatego, że jest to projekt prezydencki. Będę bardzo ciekaw wyjaśnień i stanowiska. Z mojego punktu widzenia to jest zły znak ze strony Polski 2050 i marszałka Hołowni. Jest mi przykro, że marszałek i tak duża grupa posłów z jego ugrupowania stanęła w tej kwestii po stronie prezydenta Nawrockiego, bo to bardzo źle wróży na przyszłość - oznajmił potem Donald Tusk.

Także w piątek Sejm poparł dalsze prace nad obywatelskim projektem ustawy „Tak dla religii i etyki w szkole”. Projekt zakłada wprowadzenie dwóch obowiązkowych godzin religii lub etyki. Wniosek o odrzucenie projektu w pierwszym czytaniu zgłosiła Lewica. Za dalszymi pracami nad projektem zagłosowali wszyscy głosujący posłowie PiS, Konfederacji oraz PSL-TD, a także 8 z 28 głosujących posłów Polski 2050-TD (w tym marszałek Sejmu Szymon Hołownia).

Widać wyraźnie, że Polska 2050 ma problem. Nie za bardzo wie, po której stronie stanąć.

- Oni podzielili się na trzy obozy. Jeden był za rządem. Drugi był przeciw rządowi i w tym był Szymon Hołownia i trzeci obóz wstrzymał od głosu, bo nie wiedział, co zrobić. Polska 2050 powinna odpowiedzieć sobie na fundamentalne pytanie: czy wspiera projekty rządowe czy kombinuje coś z projektami opozycyjno-prezydenckimi. Bo to jest w moim przekonaniu fundament i sól polityki. Jeżeli jest się w koalicji, to jest się w koalicji - stwierdził na antenie Polsat News Tomasz Trela, poseł Lewicy.

O rozłamach w ugrupowaniu Hołowni mówiło się od dawna. W tym tygodniu członkowie klubu parlamentarnego Polska 2050 zdecydowali za ledwie dwoma głosami o rekomendowaniu na stanowisko wicepremiera obecnej minister funduszy i polityki regionalnej Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz. Konkurowała o rekomendację z ministrami klimatu i środowiska Pauliną Hennig-Kłoską. Wiele klub

podzielił się właściwie po połowie. Wiadomo, że każda z pań ma inną wizję współpracy z koalicjantami, a zwłaszcza z Donaldem Tuskiem.

Poseł Trela był też pytany o decyzję Szymona Hołowni o tym, aby aplikować o pracę w ONZ.

- Ja nigdy wielkim fanem Szymona Hołowni nie byłam i nigdy tego nie kryłam, ale uważam, że z panem Hołownią od czasów słynnej kolacji u Bielana nie dzieje się dobrze. Jakies wybujałe historie o zamachu stanu, teraz dziwne głosowania. Mówienie, że ma tak samo dobre relacje z premierem i z prezydentem - skomentował Trela. - Jest jeszcze wiele takich organizacji. Jest UEFA, FIFA, NATO i parę innych. Pewnie coś w konkursie tańca by się znalazło. Tam aplikację niech jeszcze złoży. Albo jest się w polityce i robi się politykę bez względu na to, czy jest dobrze czy źle. Na razie Szymon Hołownia wygląda jak taki mały kombinator, który nie dorósł do funkcji, którą pełni - podsumował nie bez złośliwości. Przy czym, nie był jedynym, który w ten właśnie sposób komentował ostatnią decyzję marszałka Sejmu.

Rzeczywiście, Hołownia nie miał ostatnio dobrej passy. Wielkie nadzieje pokładał w wyborach prezydenckich, w których startował zarówno w 2020, jak i 2025 roku. Choć za pierwszym razem jego wynik mógł być dla wielu pozytywnym zaskoczeniem (był trzeci, po Andrzeju Dudzie i Rafale Trzaskowskim), to w tym roku wyprzedził go nie tylko Karol Nawrocki i Rafał Trzaskowski, ale także Sławomir Mentzen i Grzegorz Braun.

Jak mówią ci, którzy go znają, po przegranej przyszła korekta nadziei i oczekiwań.

- Chciał zmieniać polską politykę z pozycji prezydenta. To było jego marzenie. Ten cel jest nieosiągalny i Szymon zdał sobie z tego sprawę, więc zaczął szukać innych wyzwań. Przegrał wybory prezydenckie, ale mocnych ludzi porażki nie zabijają. Ja też miałem marzenia i chciałem zmieniać wiele rzeczy, ale czasami zderzamy się ze ścianą - przyznał poseł Jan Bury w rozmowie z naTemat.pl.

Była nie tylko przegrana. Samego Hołownię, zgodnie z umową koalicyjną, w fotelu marszałka Sejmu powinien w listopadzie zastąpić Włodzimierz Czarzasty. Hołownia miałby więc zostać szeregowym posłem, co najwidoczniej nie bardzo mu się podobało.

- Jest bardzo ambitny, zasmakował marszałkowania, jest przeciw drugą osobą w państwie. Imiałby teraz zostać zwykłym posłem? Szefem rozpadającego się ugrupowania? - pyta retorycznie polityk koalicji rządowej.

Hołownia zaczął więc robić dziwne, w każdym razie niewytłumaczalne ruchy. Tuż przed rekonstrukcją rządu, od-

wiedział w prywatnym mieszkaniu jednego z najważniejszych europosłów Prawa i Sprawiedliwości - Adama Bielana, do czego nawiązywali posłowie Trela i Giertych. Do spotkania doszło przed północą na warszawskim Białym Kamieniu. Potem do mieszkania Bielana przyjechał prezes PiS Jarosław Kaczyński i wicemarszałek Senatu Michał Kamiński.

Z czasem okazało się, że Hołownia spotkał się z prezesem PiS co najmniej dwa razy. Pano wie, tak przynajmniej donosił Onet, omawiali jak obalić rząd Donalda Tuska. Według części informatorów portalu stawką Hołowni był fotel premiera w „rządzie technicznym”, zależnym od Kaczyńskiego. Według innych: Hołownia negocjował zachowanie fotela marszałka Sejmu, którego obecna koalicja chce go pozbawić jesienią. Obie te wersje się nie wykluczają.

Potem Hołownia zapewniał, że premier i wicepremier Kosiniak-Kamysz o spotkaniu wiedzieli, że nie zamierza opuszczać koalicji, ale niesmak pozostał. I przekonanie, że koalicja 15 października może nie dotrwać do następnych wyborów parlamentarnych.

Hołownia dbał jednak o to, aby nie schodzić z pierwszych stron gazet. Na antenie Polsat News wspominał, że wielokrotnie proponowano mu, aby przeprowadził zamach stanu.

- Przychodzili do mnie politycy, prawnicy, różni ludzie, którzy byli sfrustrowani wynikiem wyborów prezydenckich - powiedział. Miał chodźć o sugestię, by nie dokonywać zaprzysiężenia Karola Nawrockiego. Słowa Hołowni o zamachu stanu wywołały oczywiście poruszenie, w każdym razie zainteresowany musiał się z nich tłumaczyć.

Ale siłą rzeczy w przestrzeni publicznej coraz częściej padały pytania: Co dalej z koalicją? Co z samą Polską 2050? To ich koniec? Podzielił los Nowoczesnej i Ruchu Palikota?

Hołownia powtarzał, że wszedł do polityki, by wykonać rzeczy, które wydają mu się konieczne do zrobienia, a później z niej odejść, że chce zmienić polską politykę.

W 2021 roku notowania Ruchu Polska 2050 szybowyły w górę, sięgały nawet 19 procent poparcia. Ruch był liderem na opozycji, a przecież działał na polskiej scenie politycznej za ledwie od roku. Powstał przed wyborami prezydenckimi, w których Hołownia wystartował.

Szło mu całkiem nieźle, dopóki w grze nie pojawił się Rafał Trzaskowski, który zastąpił Małgorzatę Kidawę-Błońską, kiedy ta w trakcie kampanii wycofała się z walki o Pałac Prezydencki. W pierwszej turze czerwcowych wyborów Hołownia zajął trzecie miejsce i stwierdził, że w turze drugiej swój głos odda właśnie na Rafała Trzaskowskiego.

Jeszcze w trakcie kampanii wyborczej zapowiedział powołanie ruchu społecznego o nazwie Polska 2050. Stowarzyszenie zostało zarejestrowane w sierpniu 2020 roku.

Z czasem do Hołowni zaczęli zresztą dołączać politycy Koalicji Obywatelskiej, żeby wspomnieć chociażby o Tomaszu Zimochnu, Joannie Musze, Paulinie Hennig-Kłosce, czy posłance Lewicy Hannie Gill-Piątek.

Przyszła jednak lipiec 2021 roku i do polskiej polityki wrócił Donald Tusk.

Hołownia postanowił nie oddawać pola, zorganizował nawet pierwszy kongres Ruchu Polska 2050. Jednak w 2022 roku stało się to, co wielu politologów przewidywało: prysnął czar nowości. Poza tym, jak podkreślali eksperci, wysokie notowania Ruchu Polska 2050 były pochodną słabości Borysa Budki, który wtedy przewodził Koalicji Obywatelskiej, powrót Donalda Tuska wszystko zmienił. Notowania Hołowni pikowały w dół.

Ale wracając do politycznej ścieżki Szymona Hołowni, w kwietniu 2023 roku lider Polski 2050 ogłosił oficjalnie, że do wyborów parlamentarnych idą razem z ludowcami pod nazwą Trzecia Droga. To była trudna decyzja dla obu liderów, ich wspólny start oznaczał bowiem, że jako komitet koalicyjny muszą przekroczyć ośmioprocentowy próg poparcia, by dostać się do Sejmu. Obaj, i Władysław Kosiniak-Kamysz i Hołownia ruszyli w Polskę. Spotkali się z tysiącem ludzi, przekonywali do swojego projektu, projektu, który łączył tradycję najstarszej partii politycznej w Polsce z nowoczesnością najmłodszej.

Razem z Kosiniakiem-Kamyszem świetnie się uzupełniali. Choć niektórzy mówili: są jak ogień i woda. Hołownia: ekspresywny, emocjonalny, żywiołowy, Kosiniak-Kamysz: spokojny, koncyliacyjny, wyważony.

Ich notowania na przełomie lipca i sierpnia 2023 roku nie napawały jednak optymizmem - Polska 2050 miała około dwięć procentowe poparcie, PSL mógł liczyć na dwa, trzy procent głosów. Liderzy nie odpuszczali, zjeżdżali powiat po powiecie i powtarzali niczym mantrę: Trzecia Droga, albo trzecia kadencja PiS-u.

Ale też z czasem stało się jasne, że wynik Trzeciej Drogi będzie miał decydujące znaczenie dla parlamentarnej opozycji. Jeśli ugrupowania Hołowni i Kosiniaka-Kamysza weszłyby do Sejmu, zdobyłyby znaczące poparcie, Prawo i Sprawiedliwość mogło nie uzyskać większości.

Zdawali sobie z tego sprawę liderzy innych ugrupowań opozycyjnych. Na swój sposób wspierali Trzecią Drogę, a w każdym razie nie rzucali jej kłód pod nogi, przynajmniej na ostatniej kampanijnej prostej.

Przyszła 15 października 2023 roku. Wynik Trzeciej Drogi zaskoczył nawet jej liderów. 14,40 procent poparcia - tego nie spodziewali się nawet najwięksi optymiści.

Kosiniak-Kamysz został wicepremierem i szefem MON, Szymon Hołownia marszałkiem Sejmu. W roli marszałka na pewno dodał izbie kolorytu. Opanowany, konkretny, kiedy trzeba stanowczy. Kilka jego ripost przedziwne zapewne do historii polskiego parlamentaryzmu.

Ale ten czas minął, a popularność Hołowni nie przełożyła się na notowania Polski 2050, czy też Trzeciej Drogi. Wreszcie jej liderzy ogłosili koniec koalicji.

Zdaniem politologów rozpad Trzeciej Drogi był nieunikniony, bo jeśli jeszcze w wyborach samorządowych w 2024 roku Trzecia Droga powtórzyła swój dobry wynik wyborczy z wyborów parlamentarnych, to już w wyborach do Parlamentu Europejskiego w ubiegłym roku zaliczyła duży spadek poparcia, uzyskując jedynie 6,97 proc. głosów. Ostatnim ze wspólnych startów były tegoroczne wybory prezydenckie, w których PSL i Polska 2050 poparły wspólnego kandydata - Szymona Hołownię. Wpadł słabo.

Pewnie Hołownia widział, że sprawy idą w złym kierunku. Miotał się. Rozczarował się polską polityką? Czuł, że może coraz mniej w niej znaczyć? Tak, czy inaczej podjął decyzję, padło na ONZ.

Prezydent Nawrocki ma rację, Hołownia do tej funkcji Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych ds. Uchodźców ma predyspozycję.

Zanim trafił do polityki był dziennikarzem, publicystą, pisał książki, razem z Marcinem Pro-

kopem współprowadził w telewizji TVN programy „Mam talent?”. Był jednym z założycieli białostockiego oddziału fundacji „Pomoc Maltańska”. W kwietniu 2013 założył fundację „Kasisi”, skupiającą się na prowadzeniu domu dziecka w Zambii. W 2014 założył fundację Dobra Fabryka, organizującą pomoc mieszkańcom m.in. Bangladeszu, Mauretanii, Rwandy, Burkiny Faso czy Senegalu. Obie fundacje pomagają co roku łącznie niemal 40 tys. osób. Działał na rzecz praw dziecka. Pod koniec 2019 roku zorganizował w serwisie Facebook zbiórkę obywatelską, podczas której zebrano 2 miliony złotych na dalsze funkcjonowanie telefonu zaufania dla dzieci i młodzieży Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę. Wsparcie umożliwiło działanie telefonu przez kolejny rok (24 godziny na dobę). Wcześniej MEN odmówiło finansowania. Hołownia jest współinicjatorem założenia strony internetowej Pomocni.info, kierowanej do osób w trudnej sytuacji życiowej. Jest też działaczem na rzecz praw zwierząt. Był ambasadorem Celów Zrównoważonego Rozwoju ONZ. Więc nowa praca, gdyby ją dostał, nie byłaby dla niego czymś zupełnie nowym. Wypada zatem trzymać kciuki za marszałka Hołownię.

A tak swoją drogą, partyjni koledzy już się chyba z Hołownią mentalnie pożegnali. W każdym razie, Ryszard Petru zadeklarował, że chętnie pokieruje Polską 2050. Musi tylko wygrać wewnętrzne partyjne wybory, a kandydatów na stanowisko przewodniczącego będzie pewnie kilku, żeby wspomnieć chociażby o Katarzynie Pełczyńskiej-Nałęcz i Paulinie Hennig-Kłosce. Jak to mówią, natura nie znosi próżni.



Czynne w każdą
NIEDZIELĘ
niektóre sklepy



**Aleja Katowicka 51,
Nadarzyn**
tel. 22 739 55 00

JAROSŁAW FLIS: DONALD TUSK POWINIEN SIĘ ZACHOWAĆ JAK JUSTIN TRUDEAU

– Być może Tusk musi się wycofać na wzgórze, a przodem wysłać Sikorskiego. Może nadszedł czas, by on zajął w polityce takie miejsce, jakie od pewnego czasu ma Kaczyński – mówi prof. Jarosław Flis, socjolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego

Agaton Koziński

Spodziewał się pan takiego końca Szymona Hołowni w polskiej polityce?

Można się było tego spodziewać od początku, bo taka jest specyfika „TUP-ów” – Tymczasowych Ugrupowań Protestu. W ich przypadku to pierwsze słowo nazwy, którymi je określałam, jest kluczowe. Oddzielna sprawa, że ze wszystkich „tupów”, jacy przewinęli się przez polską politykę, Hołownia odniósł największy sukces.

Tak? Miała być polityka na dekady, nie na pokolenia – tymczasem energii starczyło mu na dwa lata w Sejmie.

Każdy polityk karleje po konfrontacji z własnymi obietnicami. Hołownia w tym czasie i tak osiągnął więcej niż liderzy innych podobnych formacji. Jednak został marszałkiem Sejmu, drugą osobą w państwie. Ani Janusz Palikot, ani Ryszard Petru, ani Paweł Kukiz żadnych funkcji nie pełnili, co dopiero tak wysokich. Ewentualnie można jego osiągnięcie porównywać z faktem, że Andrzej Lepper doszedł do stanowiska wicepremiera – choć on pełnił tę funkcję krótko i w innej sytuacji.

Lepper też utrzymał się w Sejmie dwie kadencje – nie dwa lata.

Łącznie sześć lat. Trzeba też pamiętać, że akurat wybory 2005 r. – to wtedy Samoobrona osiągnęła najwięcej – były najluźniejsze we współczesnej historii Polski, wtedy do Sejmu dostało się najwięcej partii. Właśnie to sprawiło, że ten pierwszy „TUP” był najgłośniejszy. Kolejne – Ruch Palikota, Nowoczesna, Kukiz'15 – były coraz słabsze. Tę słabnącą tendencję zmienił dopiero Hołownia, bo wynik jego partii rozstrzygnął wybory w 2023 r. To on przesądził o odebraniu PiS-owi władzy w wyniku tych wyborów. I właśnie dlatego po wyborach uzyskał tak wysokie stanowisko. Po raz pierwszy od bardzo dawna marszałkiem Sejmu została osoba niewywodząca się z jednej z dwóch dominujących partii.

Ostatnim marszałkiem Sejmu niezwiązanym z PO i z PiS był Włodzimierz Cimoszewicz. Miało to miejsce w 2005 r.

W innej jeszcze epoce. Tylko okazało się, że już taki sukces jest w stanie trochę zawrócić w głowie. Hołownia myślał, że to eksponowane stanowisko okaże się dla niego świetną trampoliną, pozwalającą mu się odbić w walce o prezydenturę, że jako marszałek zdoła pokazać, że stanowi nową jakość w polskim życiu publicznym. Ale to mu się nie udało. Nie udało mu się także stworzyć ugrupowania, które byłoby inne niż pozostałe.

Dziś Polska 2050 wygląda jak Nowoczesna w chwili, gdy przywództwo w niej z rąk Ryszarda Petru przejmowała Katarzyna Lubnauer.

Gdyby Hołownia chciał stworzyć partię, która nie będzie rządzona wodzowsko i zachowa zdolność rozmawiania ze wszystkimi, mógłby wiele zmienić. Może w ten sposób by mu się udało wypracować nowy standard polityczny. Jednak zadowolili się partią, która wisi na popularności lidera.

Tyle że partia polityczna potrzebuje też wyborców – a tych Polsce 2050 dramatycznie brakuje.

Partie centrowe, takie jak Polska 2050, żywią się błędami dużych ugrupowań. Ale jak duzi nie robią błędów, to nie bardzo jest się czym pożywić. Duży na skutek błędów chudną, mali padają z głodu. To przesądziło w dużym stopniu o losie Hołowni.

A przy okazji po raz kolejny zyskałoby potwierdzenie, że nie da się rozhermetyzować duopolu, który stworzyli Platforma z PiS-em.

Bardziej to złożone. Kaczyński i Tusk od 20 lat przekonują nas wszystkich, że ten drugi nie ma prawa rządzić. I każdy z nich odniósł oszałamiający sukces, bo do głoszonej przez siebie tezy przekonał dwie trzecie Polaków.

Dwie trzecie – w tym sensie, że każdy z nich ma poparcie jednej trzeciej Polaków?

Tak – jedna trzecia Polaków wierzy w Kaczyńskiego jako tego, który obroni kraj przed Tuskiem, kolejna jedna trzecia patrzy na Tuska jako na jedynego, który uchroni ich przed Kaczyńskim. Tylko pozostała jedna trzecia Polaków nie chce, by rządził którykolwiek z nich. I to jest paradoks tej sytuacji, bo dziś żadna z dwóch dominujących sił nie ma za sobą większości, zaś każda ma przeciwko sobie zdecydowaną większość.

A ta neutralna jedna trzecia to teren, na który mogą wchodzić tacy kandydaci jak Szymon Hołownia.

Tak – tylko obecnie mamy sześciu kandydatów, którzy walczą o zagospodarowanie tej przestrzeni: dwóch na lewicy, dwóch na prawicy i dwóch w centrum.

Na tym tle Hołownia wyróżnia się ogromną, prawie 100-procentową rozpoznawalnością i sporą sympatią, którą zdobył jako dziennikarz. Sprawiał też wrażenie człowieka bardzo ambitnego. Dlaczego więc odpuszcza już po dwóch latach, Pana zdaniem? Przecież on miał wszystko, by walczyć o pozycję „następnego numeru jeden”.

Być może dalej chce o tę pozycję walczyć – ale uznał, że teraz będzie lepiej, jak wycofa się do Sulejówka i poczeka, aż zmieni się układ na scenie politycznej.

Wybory prezydenckie pokazały, że jest ona zamknięta przez duopol.

Akurat Karol Nawrocki w kampanii prezydenckiej powtarzał, że wygrana Rafała Trzaskowskiego oznacza domknięcie systemu – choć to jest taka ściema, że sam nie wiem, czy bardziej śmiać się z niej czy płakać. Przecież tak „domknąć układ” mogły duety Miller-Kwaśniewski, Tusk-Komorowski i Kaczyński-Duda. To marzenie zawsze pryskało. Inna rzecz, że Trzaskowski był

o włos od wygranej, kilka drobnych błędów mniej i byłby teraz prezydentem. To najlepiej dowodzi, że argument o „domknięciu systemu” nie ma racji bytu. Wygrana Nawrockiego to bardziej potwierdzenie tezy, że nic bardziej nie szkodzi stronie liberalno-lewicowej niż wszystkie wypowiedzi establishmentu pod adresem jego rywali w duchu „te ciemniaki”. Gdy takie słowa padają, nie ma większego znaczenia, kto kandyduje po stronie konserwatywnej – natychmiast zyskuje poparcie.

Ta reguła będzie długo działać?

W tym momencie na fali tego sprzeciwu jest Konfederacja, ale mimo to trudno przewidzieć, jaki będzie wynik wyborów za dwa lata. Wiele się zdążyło do tego czasu – i w Polsce, i w innych krajach europejskich, gdzie też czekają nas wybory. W USA w przyszłym roku wybory uzupełniające do Kongresu, one też nam dużo powiedzą o globalnych trendach. Poza tym nie wiadomo, jak rozwinie się sytuacja na Ukrainie.

Wracając do Polski. Po wyborach 2023 r. pojawiło się wiele głosów o tym, że polska polityka kończy z duopolem, że staje się ona wielobiegunowa. Minęły dwa lata i wychodzi na to, że dominacja PO-PiS-u jest jednak niezmienna.

To fałszywa alternatywa. W Polsce Platforma i PiS mają po jednej trzeciej głosów – ale to pozostała jedna trzecia rozstrzyga, którą z partii rządzących. Mówiąc obrazowo: jedni kładą tory, drudzy przestawiają zwrotnicę. I kto z nich rozstrzyga, w którą stronę jedzie pociąg?

Dylemat w stylu, co było pierwsze: jajko czy kura.

Ale ja nie chcę tego dylematu rozstrzygać – chcę tylko pokazać, że w tym miejscu występuje silny układ współzależności. Polska polityka to system naczyń połączonych. Przed kolejnymi wyborami zwykle większe szanse ma ten, który aktualnie nie rządzi, ale ta reguła od pewnego czasu nie za-

Polska
Piątek-niedziela, 3–5.10.2025

wsze się sprawdza. Wracając do retoryki Nawrockiego z ostatniej kampanii. Jeśli traktować ją dosłownie, to PiS nie ma szans przejąć władzy po kolejnych wyborach parlamentarnych tak, jak w 2015 – by ze swoim prezydentem samemu próbować „domknąć system”.

Choć obecnie koalicja rządząca w czasie kampanii będzie te jego słowa cytować obficie.

Oczywiście, nie zamierzam teraz twierdzić, że PiS kolejne wybory na pewno wygra – ale jeśli nie będzie startować lewica, czy to z innych powodów niż owo mityczne „domykanie systemu”. Dużo ważniejsze okaże się, jaki wynik zdobędzie w nich Konfederacja, z ilu list będzie startować lewica, czy w jaki sposób do tych wyborów przygotowuje się PSL. Opowiem anegdotę.

One zawsze mile widziane.

W dniu wyborów w 2023 r.jechałem pociągami. Stałem w Warsie, czekając na zamówione pierogi. W pewnym momencie podeszła do mnie młoda dziewczyna i – wyraźnie zmieszana – zapytała mnie: czy to prawda, że żeby odsunąć PiS od władzy, trzeba głosować na Trzecią Drogę? To najlepiej pokazuje, co tak naprawdę liczy się w czasie wyborów. Zmiennych jest wiele, lecz niechęć do rządzących zawsze jest pierwszym podejrzany. Dlatego też całkowicie bym nie przekreślał Szymona Hołowni.

On sam się przekreślił, składając aplikację na stanowisko wysokiego komisarza ONZ ds. uchodźców.

Bez przesady, w polityce już widzieliśmy kilka efektownych powrotów. Choćby powrót Donalda Tuska z Brukseli w 2021 r.

Tak – tylko Tusk pracując w Radzie Europejskiej był realnym politycznym graczem, tym bardziej że zachował wpływy w Platformie Obywatelskiej. Hołownia w czynnej polityce nie będzie, a wpływy w Polsce 2050 – nawet jeśli je zachowa – nie będą miały większego znaczenia.

Mówimy jednak o człowieku, który cały czas jest marszałkiem Sejmu – zdobycie tego stanowiska to realny sukces Hołowni. I przypominę tylko, że Winston Churchill wrócił do brytyjskiej polityki z dużo większego niebytu, niż teraz Hołownia ewentualnie by wracał.

Churchill wrócił, bo był najwrazistszym krytykiem polityki appeasementu brytyjskiego rządu wobec Hitlera. Hołownia pozostawia po sobie równie wyrazistą tezę, która pozostanie wyborcom w pamięci?

Na pewno Polacy będą pamiętali, że był przeciw PiS i starał się zachować dystans do Tuska – nawet jeśli niekonsekwentnie

czy nieskutecznie. Tak naprawdę tego typu powroty są możliwe w specyficznych momentach: gdy wybucha kryzys. Właśnie w takich okolicznościach wrócił z Sulejówka Józef Piłsudski w 1926 r.

Mówimy o Piłsudskim owianym mitem zwycięstw 1918 i 1920 r.

No tak, takiego mitu Hołownia w krajowej polityce po sobie nie zostawia, pamięć o nim będzie dużo słabsza. Ale przecież Jarosław Kaczyński wypadł z krajowej polityki po wyborach 1993 r. – i zdołał wrócić do niej, mimo że wtedy żadnego mitu wokół niego nie było, bo trudno w takich kategoriach traktować opowieści o tym, że to on doprowadził do wygranej Lecha Wałęsy w 1990 r. Bez przesady.

Tyle że Kaczyński lata na politycznym marginesie wykorzystując na budowę własnych struktur politycznych – i to okazało się jego tratwą do powrotu. Hołownia będzie tylko przyglądał się Polsce z oddali.

Różne rzeczy się mogą zdarzyć. Czasami w polityce jest tak, że po prostu przegrywa się bitwę pomimo początkowych sukcesów i pozostaje oczekiwanie na błąd innych. Wiele zależy od konkurencji. Piłsudskiego też pewnie inaczej byśmy zapamiętali, gdyby Budionny i Stalin nie ruszyli w 1920 r. na Lwów, tylko – zgodnie z rozkazami Tuchaczewskiego – poszli bezpośrednio na Warszawę. Dziś widać, że Tusk nie jest w stanie spuścić z tonu i „zakończyć wojnę polsko-polską”, retoryka w polityce się zaostrza. Dlatego Hołownia robi krok w bok.

Na linii Tusk-Hołownia iskrzy od dłuższego czasu, ale teraz widać, że zwycięsko z tego starcia wychodzi premier. On wygrał bitwę czy wojnę?

Na razie wygrał bitwę – o tym, czy wygrał wojnę, przekonamy się dopiero w 2027 r.

Co mu daje zwycięstwo w tej bitwie?

Ciągle wysoka lojalność Platformy i jej medialnego zaplecza. Lecz wcale bym się nie zdziwił, gdyby to było pyrrusowe zwycięstwo. Pytanie, co się wydarzy do wyborów. Czy w tym czasie objawi się jakiś nowy Hołownia, który da szansę Tuskowi na zachowanie władzy w 2027 r.? A może pojawią się inne zdarzenia, które mu to umożliwią? Generalnie polską polityką rządzi uniwersalna reguła: gdy ktoś wygrywa, z radości popada w szaleństwo, dopiero porażka uczy go pokory. Widać to na przykładzie Jarosława Kaczyńskiego, który po utracie władzy w 2023 r. wyraźnie złagodniał i nieźle mu poszły wybory samorządowe. Wtedy się rozochocił i wrócił do ostrzejszej retoryki – i w wyborach europejskich obe-

rwał po uszach. Nabrał znowu pokory i w wyborach prezydenckich wygrał jego kandydat. I teraz znowu widzimy, że z pokorą u niego krucho – wystarczy posłuchać, co mówi o Mentzenie, Bosaku, albo jak przekonuje mieszkańców Zielonej Góry, że się zmienili. Jeśli utrzyma ten ton, to wcale nie można wykluczyć sytuacji, w której kolejnym sukcesem PiS-u będzie dopiero reelekcja Nawrockiego w 2030 r.

Z drugiej strony notowania premiera i rządu szorują po dnie. Gdzie obóz rządzący może szukać odbicia?

Być może Tusk musi się po prostu wycofać na wzgórze, a przodem wysłać Sikorskiego. Może nadśledził czas, by on zajął w polityce takie miejsce, jakie od pewnego czasu sprawuje Kaczyński.

Tylko teraz Pan proponuje wymianę łyżeczki, którą miesza się herbatę. Nie trzeba do tej herbaty dosypać jeszcze cukru?

Wie pan, analizowałem ostatnie badania CBOS-u. Wszyscy patrzyli na nie pod kątem bardzo niskich notowań rządu.

On miał zaledwie 29 proc. poparcie, rekordowo nisko.

Ale mało kto zwrócił uwagę na to, jak Polacy odpowiadali na inne pytanie, choćby dotyczące jakości życia czy sytuacji



FOT.: PAP/LESZEK SZYMANSKI

Flis: Donald Tusk wygrał z Szymonem Hołownią bitwę, lecz wcale bym się nie zdziwił, gdyby to było pyrrusowe zwycięstwo. Pytanie, co się wydarzy do wyborów. Czy w tym czasie objawi się jakiś nowy Hołownia, który da szansę Tuskowi na zachowanie władzy w 2027 r.?

gospodarczej. Tutaj notowania były dużo lepsze. Może nie tak dobre jak w 2019 r., ale na pewno wyraźnie wyższe niż w 2023 r. Widać więc wyraźnie, że jedyne, co Polaków uwiera, to sam Tusk i jego styl rządzenia. Dlatego pewnie potrzebna jest zmiana premiera. Nawet niekoniecznie na Sikorskiego. To może być ktoś w rodzaju „lepszego Ewy Kopacz”.

Tusk przy kolejnych wyborach będzie chciał stworzyć wspólną listę razem z partiami, z którymi tworzy obecnie rząd – zrealizować projekt, który mu się nie udał w 2023 r. Przyniesie to oczekiwany przez niego efekt?

Efektom tego będzie bolesna porażka w kolejnych wyborach. Tusk odejdzie w niesławie i będzie jeszcze musiał użerać się ze ścigającymi go prokuratorami. Jedna lista nie jest żadnym gwarantem zwycięstwa. Mówiłem to już przed wyborami w 2023 r. Teraz to cały czas aktualne.

Jedna lista dałaby premię od D'Hondta za zwycięstwo wyborcze.

Ta premia ma swoje ograniczenia – jak pokazał rok 2023, największy nie musi wywalczyć większości. Nagroda rośnie, gdy konkurencja się rozdrabnia, jak w 2015 roku. Można liczyć na taki cud, jaki był wtedy

udziałem PiS. Lecz realnie wspólna lista musiałaby zdobyć sporo powyżej 40 proc. głosów, by myśleć o samodzielnej władzy. Dziś nic na to nie wskazuje. Stare powiedzenie mówi, że jeśli Pan Bóg chce kogoś ukarać, to mu spełnia marzenia – ono świetnie pasuje do marzeń o wspólnej liście.

Wspólna lista otworzyłaby też przestrzeń dla nowego ugrupowania w centrum. Jest na nie miejsce?

Nie za bardzo widać, do jakiej melodii miałby zabrznieć nowy TUP. Nowoczesna powstawała w rytmie techno. Polska 2050 była dla pokolenia w dzieciństwie słuchającego Arki Noego. Teraz takich melodii nie słychać.

Słychać bębny wojenne.

Ten dźwięk nikogo nie wyróżnia. Dziś tak naprawdę jedyne pytanie dotyczy samorządowców. Wygrana Nawrockiego przesądziła, że zostanie zachowane ograniczenie dwóch kadencji dla nich. W 2027 r. 1600 wójtów, burmistrzów i prezydentów miast będzie miało pełną świadomość tego, że zostało im ostatnie półtora roku rządów – i że warto rozejrzeć się za nową robotą. W Czechach powstała nawet partia samorządowców Starostowie i Niezależni. W Polsce podobną formację próbuje budować Wa-

dim Tyszkiewicz, pytanie tylko, czy jest w tym skuteczny.

W Polsce nowa partia potrzebuje wyrazistego lidera – po stronie samorządowców nikogo takiego nie widać.

Być może ktoś taki znajdzie się wśród tych 1600 samorządowców, których czeka zmiana pracy. W końcu są to ludzie, którzy regularnie ćwiczą się w wystąpieniach publicznych.

Generalnie polityka w świecie zachodnim skręca mocno w prawo, popularność liberalno-lewicowych partii mocno topnieje. Ten trend ustawi też polską politykę w najbliższych latach?

Zawsze są przypływy i odpływy, warto o tym pamiętać. Kaczyński też wierzył, że będzie rządził wiecznie – jego przykład świetnie pokazuje, że każdą przewagę da się przehulać. Proszę przypomnieć sobie niedawną sytuację w Kanadzie. Tamtejszy premier Justin Trudeau stał się skrajnie niepopularny, po władzę w kraju szli konserwatyści. Ale Trudeau ustąpił, premierem został Mark Carney – człowiek spoza codziennej polityki – i rzutem na taśmę, w ostatniej chwili zdołał jednak wygrać wybory. Jeśli Tusk zachowa się jak Trudeau, to wcale nie można wykluczyć, że efekt będzie podobny.

REKLAMA

0011404149



SOLANKI
Uzdrowisko Inowrocław

Czas na zdrowie

Jesienna oferta jubileuszowa



150 LAT
UZDROWISKA
INOWROCŁAW
1875-2025



Zakwaterowanie



Śniadania i kolacje w bufecie szwedzkim, obiady serwowane do stolika



Konsultacja lekarska



4 zabiegi dziennie (oprócz niedziel i dni świątecznych)



90 min. dziennie w Strefie Relaksu (sauna, jacuzzi, grota solna, siłownia)



Voucher do Integracja Cafe



52 35 63 101, 52 35 63 100, 52 35 63 320



medicalspa@solanki.pl, recepcja@solanki.pl



www.solanki.pl



– Dopóki Ukraina zajmuje Rosję, niszczy jej siłę żywą, my mamy bufor bezpieczeństwa – ocenia pułkownik Maciej Matysiak, były wiceszef Służby Kontrwywiadu Wojskowego

Mikołaj Woźniak

PŁK MACIEJ MATYSIAK: ROSJA TRAKTUJE NAS JAKO SWOJEGO PRZECIWNICKA

Jak Rosja działa w Polsce?

Najprościej mówiąc – w każdym zakresie, w którym może. Dlaczego jesteśmy celem i wrogiem dla Rosji? To proste pytanie i prosta odpowiedź. Mamy różnice w sposobie sprawowania władzy. Rosja jest państwem quasi demokratycznym. Ma jedną z lepiej napisanych konstytucji, która nie jest stosowana. Putin jest dyktatorem. Ma swoją sferę wpływów: część oligarchii i społeczeństwa, która sprawuje władzę. Reszta jest przez nich zarządzana. To państwo typu mafijnego i takimi metodami się posługuje. Jeżeli sprawuje władzę, to co jest dla Putina najważniejsze?

Jej utrzymanie.

A co jest zagrożeniem dla dyktatora wskazującym na możliwość utraty władzy? Kto może mu ją odebrać?

Zwykle władzę dyktatorom odbierają ludzie.

A skoro władza ludu, to demokracja. Największym zagrożeniem dla Putina jest, żeby społeczeństwo rosyjskie nie doszło do wniosku, że ma go dość, a krajem da się zarządzać nie przez dyktatora, ale polityków, których można wybierać. Dlatego dyktatorzy, w tym Putin, izolują szeroką masę społeczeństwa od obiegu informacji. Resztę korumpują – choćby oligarchów. System demokracji, pełen dobrobytu, bo w takim stanie żyjemy, pokazałby, że władza nie jest nieusuwalna. Dlatego jako kraje demokratyczne jesteśmy głównym problemem dla Putina. To starcie jest starciem systemów wartości: dyktatorskiego i demokratycznego. Proszę spojrzeć, kto bezpośrednio wspiera Rosję?

Chiny, Korea Północna... Czy to są demokracje?

Nie. Podobnie jak np. Iran. Indie nie wspierają, ale kupują



Jeśli upadnie Ukraina, Polska będzie stanowiła bufor przed Rosją dla Niemiec. Płk. Matysiak: – Geografii nie zmienimy

od Rosji i odnoszą korzyść. Bezpośrednim wejściem na Ukrainę Putin i Rosja spowodowali zachwianie się systemu bezpieczeństwa. Stworzył się podział na kraje koncentrujące się na osi konfliktu po stronie Rosji, z przewodnią rolą Chin. Po drugiej stronie jest demokracja. Polski wniosek o zwołanie Rady Bezpieczeństwa złożony na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych poparło niecałe 50 krajów. To jedna czwarta! Trzy czwarte nas nie popiera i zmierza w kierunku nie-de-

mokracji. To niemal 90 proc. populacji świata, która nie wyznaje takiego systemu wartości, jak my. Europa i USA stanowią zdecydowaną mniejszość. Dlatego Rosja oddziałuje na nas w każdy możliwy sposób. Polityczny, gospodarczy, sięga po szantaż, w tym także nuklearny, zastraszanie, działania sabotażowe i terrorystyczne. Tyle że w stosunku do nas nie stosuje bezpośredniego ataku kinetycznego, jak w przypadku Ukrainy. Jesteśmy krajem sojusznikiem, we wspólnym, silnym i wydol-

nym systemie. Absolutnie silniejszym niż Rosja.

Mowa o NATO?

Tak, ale także Unii Europejskiej. W ramach NATO osłabione jest działanie administracji amerykańskiej, ale siły nadal są wystarczające, żeby pokonać Rosję. Nie zrobimy tego atakując, bo jesteśmy sojuszem defensywnym, a nie agresywnym. Nie chcemy prowadzić wojen zaborczych, zajmujących terytoria i niszczących strukturę innego kraju. Chcemy się bronić i nie dopuścić, by potencjalny agresor, jak Rosja, mógł sobie z nami pozwolić na takie działania. Rosja oddziałuje na kraje pojedyncze i osłabione, ja Gruzja, Czeczenia, Ukraina czy Syria. Wysła też swoich ludzi do Afryki, żeby stosowali tam korupcję.

Często słyszymy, że Rosja prowadzi wojnę hybrydową. Jak to rozumieć?

Prowadzi działania na naszą szkodę, ale poza formalnym progiem wojny. Nie ma ataku bezpośredniego na terytorium naszego kraju ani ostrzału rakietowego z pewnej odległości, jak było to np. w wojnie między Izraelem a Iranem. Te państwa strzelały do siebie wzajemnie, ale nikt nie wyszedł poza swoją granicę. Wobec tego możemy wyobrazić sobie konflikt kinetyczny, ale bez lądowego przemieszczania się żołnierzy, zajmujących terytorium innego kraju. Taki konflikt Rosja prowadzi z Ukrainą, a dla nas rodzi to określone zagrożenia.

Jakie?

Rosja w tym momencie jest w trybie konfliktu zbrojnego,

a nas traktuje jako swojego przeciwnika, bo jesteśmy zagrożeniem i wspieramy Ukrainę. Politycznie, finansowo i militarnie – wysyłając broń czy zapewniając rozpoznanie. Na forum międzynarodowym głośno mówimy: wspieramy Ukrainę, Rosja jest napastnikiem, działa niezgodnie z prawem. Dlatego Rosja będzie w stosunku do nas prowadziła negatywne działania, będące elementem wojny hybrydowej. Zawierają się w niej także metody kinetyczne, ale nie wojenne. Dokonuje zamachów terrorystycznych czy aktów sabotażu, jak choćby podpalenia. Terroryzm to nie tylko wybuchająca bomba czy człowiek z pasem szahida. To także atak nożownika czy wspomniane podpalenie. Rosja działa wobec nas także bardzo agresywnie zbierając informacje. Pozyskuje źródła osobowe, rozstawia kamery – śledząc i inwigilując np. transporty biegnące przez Polskę do Ukrainy. Przekracza drokami naszą przestrzeń powietrzną. Prowokuje i obserwuje, latając w strefie przygranicznej Polski, Litwy, Łotwy, Estonii, Norwegii, Finlandii, Islandii, Rumunii, Bułgarii. W Europie Rosja dokonuje zabójstw swoich przeciwników politycznych, czyli Rosjan, którzy nie zgadzają się z Putinem. Dochodziło do podkładania ładunków wybuchowych w samolotach cargo czy inspirowania do dokonywania sabotaży na liniach kolejowych – np. w Niemczech. W Norwegii wykryto składy amunicji, broni i środków do prowadzenia walki dywersyjnej i partyzanczej, przygotowane przez rosyjskie służby specjalne. Jednocześnie Rosja prowadzi wojnę informacyjną – oddziałuje dezinformacją. To właśnie działania hybrydowe. Połączenie metod klasycznych i dodatkowych. Wielu sposobów negatywnego oddziaływania.

*W TARGNIĘCIE ROSYJSKICH DRO-
NÓW? PO RAZ PIERWSZY UŻYLI-
ŚMY BRONI. POKAZALIŚMY, ŻE STAĆ
NAS NA ZDECYDOWANE DZIAŁANIE*

Co jest celem Rosji w takim działaniu?

Zniechęcenie nas i ograniczenie pomocy Ukrainie. Podział, czyli rozbić polityczne i skłócenie nas wewnętrznie. Podzielenie na małe kawałki i pojedyncze neutralizowanie.

Rosja może bezpośrednio oddziaływać na polityków?

Ruch Trumpa Make America Great Again (pol. Uczynimy Amerykę znowu wielką - dop. red.), partia Marine Le Pen we Francji, Vox w Hiszpanii, Robert Fico na Słowacji, Victor Orban na Węgrzech. Podejmują działania, które mówią: z Rosją nie jest tak źle, wyjdźmy z Unii, wyjdźmy z NATO, po co nam ta wojna, Ukraina to strefa wpływów Putina. Głoszona narracja jest zgodna z celami Rosji.

Do tej wyliczanki można jeszcze dodać AfD w Niemczech. Jak takie ruchy powstają? Nie wydaje się to łatwe w państwach o demokratycznych podstawach.

Prześledźmy historię. Rosja będąc państwem komunistycznym, kiedy zarządziła blokiem państw socjalistycznych, a nawet wcześniej - przed II wojną światową, oddziaływała na państwa kapitalistyczne, wykorzystując organizacje lewicowe i skrajnie lewicowe. Były spójne ideologicznie z głoszonymi w niej hasłami. Wiele z tych organizacji i partii politycznych inspirowała do powstania. Tam, gdzie ludzie wyznawali wartości socjalistyczne, jak powszechna równość i opiekuńczość państwa, podgrzewały i wzmacniały przekaz. Pośrednio lub bezpośrednio finansowano lewicowy terroryzm: Bader Meinhof, Czerwone Brygady, IRA, organizacje baskijskie. Rosjanie maczali palce w każdej z nich, oddziałując na kapitalistyczny Zachód.

A dziś?

Narracje separatystyczne i anarchistyczne wyznają dziś osoby, dla których znaczenie mają wartości skrajnie prawicowe oraz konserwatywne. Tymczasem Rosja ustami Putina, głoszonymi choćby na Klubie Władajskim ma taki przekaz: kultura Zachodu chyli się ku upadkowi, tylko Rosja stoi na straży tradycyjnych wartości, których musimy bronić: rodziny, nietolerowania mniejszości seksualnych; my Słowianie powinniśmy trzymać się razem. Stąd bierze się Grzegorz Braun, Konfederacja, populiści, mówiący: po co nam ta wojna, skupmy się na sobie. Braun wprost mówi: dogadajmy się. Marine Le Pen namawiała do wystąpienia z NATO, a pieniądze od Putina brała za pośrednictwem węgierskiego banku. Wśród doradców prezydenta Trumpa są ludzie

zgodni z narracją Putina. Który amerykański dziennikarz przeprowadzał z nim wywiad?

Tucker Carlson.

Z którym politykiem jest blisko?

Z Trumpem.

No i mamy strefę wpływów, oddziaływania na polityków. Nie trzeba najeżdżać kraju, żeby osiągnąć pozytywne dla siebie rezultaty. Wystarczy zmienić rządzących na takich, skłonnych działać, jak chce Putin. To np. Fico na Słowacji czy Orban na Węgrzech. Dlaczego o Orbanie mówi się jako agencie Putina w UE? Bo głosi tezy zgodne z narracją Rosji i próbuje torpedować działania przeciwko niej.

Rosjanie najpierw wyszukują sobie cel i zaczynają na niego oddziaływać czy szukają osób, które od początku mają ciągoty ku Wschodowi?

Bardzo różnie. Korzystają z nadarzających się okazji lub szukają i werbują ludzi do współpracy. Podał pan przykład AfD. To partia, która zdominowała wschodnie Niemcy, czyli dawną strefę wpływów rosyjskich, gdzie na pewno została jej agentura. Działanie Rosji nie wzięło się z wczoraj na dziś. Trwa nieprzerwanie od przejścia aktywów, a potem kontrolowania działalności carskiej przez Rosję radziecką. Teraz to działanie się nasiliło z uwagi na przejście w tryb wojenny. A Rosja na tej wojnie traci. Mieniać się drugą potęgą świata, została obdarta z tego anturazu, bo nie może pokonać Ukrainy - kraju słabszego i z mniejszym potencjałem. To jaka to potęga? Ta sytuacja zadaje kłam propagandzie rosyjskiej. Wobec tego posługuje się ona tymi działaniami, którymi może i oddziałuje politycznie. Wykorzysta każdą sytuację - np. pandemię do narracji antyszczepionkowej. Pojawiło się wtedy coś, co nas dzieli, więc Rosja wzmacniała przekaz, silnie inwestując w taką narrację.

Każdą szkodliwą społecznie narrację uznajemy za rosyjską?

Nie każda wzięła się z działania Rosji, ale jeśli w jej ocenie okaże się skuteczna, skorzystają z okazji i będą wzmacniać przekaz. Nikt nie wskaże, gdzie jest granica narracji społecznej czy politycznej, a w którym miejscu dokładnie zaczyna się wpływ Rosji. W dodatku w ostatnich kilku latach dokonała się rewolucja komunikacyjna. Jest więcej narzędzi docierania nie tylko do wybranych grup społecznych, ale obywateli wszystkich krajów. Każdy ma telefon, będący źródłem wiedzy i okienkiem na świat.

W sferze informacyjnej dzieje się bardzo dużo. Kiedyś, żeby dotrzeć do ludzi, trzeba było wywołać ferment, były w zasadzie tylko gazety. Dziś wiemy, co dzieje się w każdym momencie. Rosjanie wykorzystują słowo pisane, obraz, newsy, tworzą narrację. Jesteśmy w stanie to potwierdzić, widząc choćby z jakich kierunków i kont ona pochodzi. Jeśli nagle widzimy wzmożoną akcję podbijania narracji niekorzystnej dla nas, a korzystnej dla Rosji, realizowaną przez tzw. farmy trolli lub występuje nagły ruch w cyberprzestrzeni - z dużym stopniem prawdopodobieństwa stoi za tym Rosja.

Jako pojedynczy użytkownik internetu jesteśmy w stanie jakkolwiek się bronić?

Nie ma jednej recepty czy zło tego środka. Oddziaływanie dezinformacyjne dotyka wielu stref. Wtargnięcie dronów rosyjskich do Polski nie było tylko naruszeniem naszej przestrzeni powietrznej, ale działaniem mającym również wywołać strach i dać możliwość do snucia narracji niekorzystnej dla Polski, ale dobrej dla Rosji. Jak się bronić przed dezinformacją? Przede wszystkim mieć świadomość, że istnieje. Potrzebna jest tu edukacja wczesnoszkolna, komunikacja społeczna. Każdy musi myśleć krytycznie, mając świadomość, że to, co dociera do niego środkami bezpośredniego przekazu, nie zawsze musi być prawdą. Obecnie do tworzenia fake newsów, fałszywych obrazów zaprzęgnięta jest sztuczna inteligencja. Cyfrowy świat składa się z nas - indywidualnych ludzkich „klocków”. My tworzymy ten obraz. Jeśli 30 mln Polaków poda jakąś informację, to ci, którzy tego nie zrobili, pomyślą, że to prawda. Trzeba być ostrożnym, bo rzeczywistość zmieniła się na cyfrową. Musimy o tym mówić i pisać.

Był pan zaszokowany, kiedy po wtargnięciu do Polski rosyjskich dronów pojawiły się pierwsze dane dotyczące struktury komentarzy w mediach społecznościowych? Większość, bo ponad 30 proc. wpisów obarczało winą Rosję, ale niewiele mniej - Ukrainę. Wiele osób się na to nabrało. Nie jestem zaszokowany - widzę taką działalność od wielu lat. Narasta, bo w Polsce i Europie nie prowadzi się skutecznych działań w zakresie przeciwdziałania dezinformacji. A jej prowadzenie jest łatwiejsze niż jej przeciwdziałanie. Ci, którzy dezinformują są aktywni, nadają ton, wybierają czas i miejsce. Dezinformacja jest też używana dla korzyści nie tylko przez Rosję, ale także innych ludzi, w tym polityków wszelakiej maści.

Przykładem jest poseł Marek Jakubiak, który po wtargnięciu rosyjskich dronów podawał dalej bzdury, że nie wiadomo, czy to Rosja, czy może Ukraina. Po to, żeby podbić sobie klikalność. To cyniczne działanie. Musimy powalczyć z dezinformacją patrząc na siebie, stosując dobre praktyki i korzystając z wiarygodnych źródeł. Przy dronach mówiono: trzeba słuchać oficjalnego przekazu, bo nie jesteśmy w stanie stwierdzić, skąd bierze się inny, stojący z nim w sprzeczności.

Jakie wnioski wyciąga pan po reakcji Polski i NATO na wtargnięcie dronów?

Poradziliśmy sobie. Rosja nie osiągnęła zakładanych rezultatów. To nie były drony, które miały nas zaatakować materiałami wybuchowymi. Celem było wzbudzenie strachu, zamieszania i sprawdzenie, jak zareaguje Polska i cała struktura sojusznicza. Przy okazji doszło do uruchomienia systemów bezpieczeństwa, narracji wprowadzającej w błąd, przygotowania do podziału, bo od razu ruszyła akcja dezinformacyjna, że sytuacja jest winą Ukrainy. W zakresie działania daliśmy mocną odpowiedź. Po raz pierwszy użyliśmy broni i strąciliśmy drony, a że nie wszystkie jest rzeczą wtórną. Udowodniliśmy, że stać nas na zdecydowane działanie. Przekaz informacyjny był szybki i w miarę sprawny. Może nie idealny, ale w takich sytuacjach nigdy nie będzie. Pokazaliśmy spójność wewnętrzną wszystkich stron politycznego podziału, który dziś mamy. Szybka była również reakcja sojusznicza - udział w zwalczaniu dronów brały struktury międzynarodowe. Efektem rosyjskiej prowokacji była dalsza, wspólna reakcja polityczna i militarna - zarówno NATO, jak i UE. Użytkaliśmy deklarację wsparcia od wszystkich istotnych graczy, łącznie z potępieniem tego działania przez Orbana. Wydano komunikaty, że jesteśmy wspólnotą i będziemy bronić każdego członka NATO. Państwa członkowskie deklarowały przemieszczenia wojsk i akcję „Wschodni Strażnik”. Reakcją była tutaj jak najbardziej po naszej myśli, czyli jednocześnie - nie po myśli Rosji Putina.

Oczekiwałby pan bardziej jednoznacznej reakcji USA?

Mamy chyba świadomość, czym kieruje się prezydent Trump. Pokazał to w czasie pierwszej prezydentury, głosił określone hasła w kampanii wyborczej, dzięki którym wygrał i dalej realizuje swoją politykę. Czy jest dla nas korzystna? Mogłaby być lepsza, jednak jest jak jest i musimy sobie z tym poradzić. Trump zwywał Europę do silniej-

szego działania. Budząc nas, spowodował zwiększenie wysiłków na obronę. Czy robił to z przyczyn egoistycznych, materialnych czy biznesowych, to jego sprawa. Jest demokratycznie wybranym prezydentem naszego największego i najważniejszego sojusznika w NATO. Nie pozostaje nam nic innego, jak dostosować się i robić swoje.

Powiedział pan, że Europa nawet bez USA byłaby w stanie przeciwstawić się Rosji.

Wystarczy policzyć, ilu mieszkańców posiada Rosja, a ilu Europa. Jakie PKB posiada UE, a jakie Rosja. Policzyć liczbę czołgów, samolotów i innych sił. Rosja ma przewagę tylko w jednym elemencie - jest mocarstwem nuklearnym. To czynnik, gdzie wskazanym jest utrzymywanie dobrych relacji i sojusznika w postaci USA, bo bezdyskusyjnie balansuje potencjalne działanie Rosji.

W przyszłości mamy się spodziewać podobnych prowokacji, jak wtargnięcie dronów?

Na razie nic podobnego się nie wydarzyło. Może ich być więcej, bo Rosja będzie szukała naszych słabych punktów. Nie będzie oddziaływała na nas tam, gdzie jesteśmy mocni. Zrobiła to za pomocą dronów, bo oceniła, że nie mamy potencjału odstraszenia i chciała zobaczyć, jak sobie poradzimy. Teraz nie będzie już uderzała w nas tam, gdzie w jej ocenie nie odniesie efektu. Ale, że działa i będzie działała na naszą szkodę to pewnik, bo zachowuje się tak od wielu lat.

Kiedy rozmawiałem z amerykańskimi, zwrócił uwagę na rosyjsko-białoruskie manewry Zapad. Przypomniał, że gdyby przetłumaczyć ich nazwę, brzmiałaby ona Zachód. Stąd wniosek, że Rosjanie regularnie ćwiczą inwazję na Zachód. To prawda czy mają inny cel?

Po pierwsze ćwiczą dla podniesienia sprawności. Po drugie Zapad to element zastraszania: patrzcie, przygotowujemy się do ofensywy. Założenie ćwiczeń jest takie, że Rosja atakuje, a nie broni. Po trzecie Rosja zgodnie ze swoją doktryną wykorzystuje ćwiczenia wojskowe, jako element maskowania potencjalnej inwazji, to nie tajemnica. Musimy się liczyć, że może to wykorzystać w takim zakresie i obszernie, czy ma ku temu potencjał. Manewry Zapad w 2021 roku poprzedziły wejście Rosji na Ukrainę w lutym 2022 roku. Ćwiczenia zostały przedłużone i były maskowaniem gromadzenia żołnierzy. Dodatkowo testowane są nasze systemy bezpieczeństwa. Monitorując działania Rosjan rozbudzamy je, wyciągamy

wojsko z koszar i ćwiczymy, żeby pokazać, że też jesteśmy gotowi. To poniekąd zabawa w kotka i myszkę.

Widziałem rozmowę z panem sprzed roku, w której pojawiła się teza: jeśli upadnie Ukraina, przyjdzie kolej na Polskę. Podtrzymuje ją pan?

Oczywiście. Taki jest cel działania Rosji. Od jednego do drugiego. Ukraina jest dla nas buforem. Ktoś pyta: co jeżeli jutro Rosja zaatakuje nas? Taka narracja wynika ze strachu i niewiedzy. Pytam - w jaki sposób technicznie? Słyszę, co jeśli będą strzelać rakietami? Tutaj zauważam, że nawet na Ukrainie wykorzystują już głównie drony. A jak do nas wjadą? Tylko, którądy i skąd wezmą czołgi? Podkreślam - dopóki Ukraina zajmuje Rosję, niszczy jej siłę żywą, konsumuje środki, my mamy bufor bezpieczeństwa. Jeśli natomiast Ukraina straci niepodległość, zostanie opanowana, zajęta lub w inny sposób zneutralizowana - my jesteśmy następni w styku z Rosją i Białorusią, stanowiąc bufor dla Niemiec. Geografii nie zmienimy.

U niektórych wtargnięcie dronów i następujący po nim natłok informacyjny wywołał strach do tego stopnia, że zaczęli sposobić się do wojny. Przyda się element wyjaśnienia: jak blisko otwartego konfliktu w tradycyjnym rozumieniu jesteśmy?

Nikt nie odpowie panu na to pytanie. Niektórzy mówią: trzy lata, pięć. Ja proszę wtedy: przedstawcie mi bardziej precyzyjną kalkulację. Nie wiemy, ale ze względu na wojnę na Ukrainie, wtargnięcie Rosji, odarcie jej z narracyjnego kłamstwa, zakładamy, że jest to bardziej niż mniej prawdopodobne aniżeli było 12 lat temu.

CV



Płk. Maciej Matysiak
Absolwent Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Pancernych w Poznaniu. W 1993 r. został oficerem kontrwywiadu wojskowego. W latach 2014-2016 Zastępca Szefa Służby Kontrwywiadu Wojskowego. Uczestnik misji: w Chorwacji, Kosowie, Bośni i Hercegowinie, Iraku. Dziś ekspert fundacji Stratpoints.

FOT. FUNDACJA STRATPOINTS

Tym razem członkowie sejmowej komisji, która ma wyjaśnić sprawę zakupu i inwigilacji systemem szpiegowskim Pegasus, poczekali na Zbigniewa Ziobro. Policjanci zatrzymali byłego ministra sprawiedliwości na lotnisku, kiedy wracał do Warszawy z Brukseli. W samo południe rozpoczęło się przesłuchanie najważniejszego chyba świadka w tej sprawie.

Zaraz na początku Magdalena Sroka, przewodnicząca komisji, oświadczyła, że zarówno Pegasus, jak i system Hermes były „polityczną bronią”.

- To była broń skierowana przeciwko opozycji, sędziom, prokuratorom, dziennikarzom. Materiały zdobywane przy okazji wykorzystania tych metod nie służyły wymiarowi sprawiedliwości. Służyły nękanii, dyskredytowaniu i tworzeniu kampanii propagandy - stwierdziła.

Jak dodała, „to są fakty i dowody”.

- Zgromadzone przez komisję materiały, decyzje, opinie służb i zeznania świadków potwierdzają to, o czym mówię, dlatego bardzo potrzebne są publiczne wyjaśnienia i rozliczenie - zaznaczyła.

Przypomnijmy, bo sprawa swój początek ma pod koniec grudnia 2021 roku. Wtedy amerykańska agencja prasowa Associated Press, powołując się na ustalenia działającej przy Uniwersytecie w Toronto grupy Citizen Lab, podała, że za pomocą opracowanego przez izraelską spółkę NSO Group oprogramowania Pegasus inwigilowany był senator KO Krzysztof Brejza, adwokat Roman Giertych i prokurator Ewa Wrzosek. Potem Amnesty International poinformowała, że niezależnie od grupy Citizen Lab potwierdziła, iż „potężne oprogramowanie szpiegowskie izraelskiej firmy NSO Group” zostało użyte do zhakowania senatora Brejzy, gdy prowadził kampanię wyborczą opozycji w wyborach parlamentarnych w 2019 roku.

Politycy Zjednoczonej Prawicy na początku zaprzeczali, jakoby w Polsce korzystano z Pegasus. Michał Woś, ówczesny wiceminister sprawiedliwości, twierdził nawet, że w ogóle nie wie, czym jest Pegasus.

Tymczasem, jak ustaliła „Gazeta Wyborcza” 15 września 2017 roku na posiedzeniu sejmowej komisji finansów publicznych jej członkowie zajęli się, między innymi, „zaopiniowaniem wniosku ministra sprawiedliwości w sprawie zmian w planie finansowym Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej na 2017 rok”. Dzięki tym zmianom CBA miało dostać 25 mln zł na zakup Pegasus. Posłowie nie wiedzieli jednak, że chodzi o system szpiegowski. Wniosek na komisji przedstawiał nie kto inny, a wiceminister sprawiedliwości Michał Woś.

ZBIGNIEW ZIOBRO STANAŁ WRESZCIE PRZED KOMISJĄ

Chciałoby się powiedzieć: do dziewięciu razy sztuka. Były minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro stanął wreszcie przed komisją, która ma wyjaśnić sprawę zakupu i inwigilacji systemem szpiegowskim Pegasus

Dorota Kowalska



Ziobro przyznał, że był inicjatorem tego zakupu i jest z tego dumny, bo Pegasus służył do „wykrywania międzynarodowych szajek”. Atakował przy tym polityków KO

Politycy Zjednoczonej Prawicy zmienili więc narrację, już nie zaprzeczali, że używali Pegasus, ale podnosili, że służby na każde użycie metod kontroli operacyjnej w Polsce uzyskują zgodę sądu.

Tyle tylko że we wniosku do sądu o zgodę na kontrolę nie podaje się rodzaju sprzętu, którego chce się użyć. Wydając zgodę na inwigilację, sądy nie wiedzą i nie żądają podania, czy ktoś będzie podsłuchiwany Pegasusem czy innym sprzętem służącym do kontroli operacyjnej. Wielu prawników, ale też byłych oficerów służb specjalnych podkreśla także, że w ustawowych granicach kontroli operacyjnej nie mieści się wykorzystanie oprogramowania Pegasus. Pegasus jest bowiem narzędziem szpiegowskim umożli-

wiającym totalną kontrolę nad zainfekowanym urządzeniem, przejmuje właściwie całą jego zawartość: zdjęcia, nagrania wideo, e-maile, SMS-y, listę kontaktów. Pegasus śledzi i nagrywa jego otoczenie w wersji audio oraz wideo, podsłuchuje szyfrowaną transmisję dźwięku oraz odczytuje zaszyfrowane wiadomości z różnorodnych aplikacji na urządzeniu. Umożliwia nieograniczone śledzenie w czasie rzeczywistym lokacji aparatu w czasie prowadzonej kontroli, pozwala też na zainfekowanie telefonu oprogramowaniem inwazyjnym.

Kiedy ówczesna opozycja doszła do władzy, powołano komisję, która ma wyjaśnić sprawę zakupu systemu Pegasus. Zbigniew Ziobro próbował bez-

skutecznie przesłuchać osiem razy. Wreszcie się udało.

Podczas przesłuchania przed komisją Ziobro chciał skorzystać z prawa do swobodnej wypowiedzi. Zapytany o zakup Pegasus stwierdził, że był jego inicjatorem, a bezpośrednio za sprawę odpowiadał wiceminister Michał Woś.

- Jestem bardzo rad, że podjął taką decyzję. (...) Nie wnikałem w szczegóły działania tego oprogramowania, bo się na tym nie znam. Po uzyskaniu wiedzy z różnych źródeł, że jest brak w posiadaniu takich narzędzi walki z najgroźniejszą przestępczością, podjąłem starania, żeby polskie organy nie były w tyle za przestępstwami - podkreślił Zbigniew Ziobro.

Czy to on indywidualnie podejmował decyzję przekazania

25 milionów złotych z Funduszu Sprawiedliwości do CBA na zakup Pegasus?

- Potwierdzam prawdziwość zeznania pana ministra Michała Wosia. On podejmował już te decyzje na poziomie konkretnych rozstrzygnięć - odpowiedział Ziobro.

Dopytany, czy to on wydawał polecenia Wosiowi w tej sprawie, był szef MS oenił, że „gdyby wydał polecenie, to on by podjął decyzję”.

- Skoro on podjął decyzję, to znaczy, że nie było mojego polecenia - dodał.

Potem było o tym, jak bardzo przysłużył się Pegasus. Ziobro stwierdził, że w 2020 roku pomógł chociażby w zatrzymaniu Sławomira Nowaka, byłego polityka Platformy Obywatelskiej, w sprawie korupcji.

- W zakupie Pegasus miałem swój udział. I jestem z tego dumny. Do takich spraw, do wykrywania międzynarodowych szajek był on stosowany - podkreślił polityk.

- Czyli pan ma wiedzę, że przeciwko Sławomirowi Nowakowi był stosowany Pegasus? - zapytała przewodnicząca Magdalena Sroka.

- Tak, mam taką wiedzę - odparł Zbigniew Ziobro.

Poseł PiS wspominał też o aferze z wyprowadzeniem pieniędzy z Polnordu, giełdowej spółki deweloperskiej, o której było głośno w związku ze śledztwem prokuratury przeciwko adwokatowi Romanowi Giertychowi - obecnie posłowi KO, które dotyczyło działań na szkodę spółki. Ziobro przyznał, że w tej sprawie również używany był Pegasus.

- Podobno ścigaliśmy niewinnego Giertycha - mówił.

Według Ziobry, Pegasus cieszył się zainteresowaniem komisji śledczej, gdyż był „niezwykle skutecznym narzędziem”, które pomogło wykryć, jak oenił, „wielką korupcję człowieka, który był bliskim współpracownikiem Donalda Tuska”.

Jego zdaniem Nowak, dzięki bliskim kontaktom z Tuskiem, czerpał korzyści majątkowe i ułatwiał korzyści majątkowe dla wielu osób, a teraz jest „uniewinniany” przez „prokuraturę”.

Dalej był minister sprawiedliwości stwierdził, że nie zna sprawy inwigilacji Jacka Karnowskiego, ale sprawy Beaty Morawiec i Ewy Wrzosek na poziomie prokuratury były uzasadnione, ale upadły ze względu na niemożność uchylecia im immunitetów.

- Krzysztof Brejza skutecznie chował się za immunitetem poselskim. (...) Nie głosicie propagandy na ten temat - dodał.

Przewodnicząca komisji Magdalena Sroka pytała Ziobro, czy ówczesny szef CBA Ernest Bejda informował go o negatywnej opinii Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego dotyczącej systemu Pegasus. Były szef MS oenił, że pierwotne uwagi ABW wynikały z braku dostępu

do wszystkich informacji. Zbigniew Ziobro stwierdził, że choć organy, takie jak policja czy ABW miały wątpliwości co do tego systemu, to później po wspólnej dyskusji zmieniły zdanie.

- To świadczy o profesjonalizmie polskiego państwa - oenił.

Sroka pytała dalej, czy Ziobro wiedział o negatywnej opinii policji w sprawie legalności systemu Pegasus. Były szef MS odparł, że wiedział o dyskusjach, które ostatecznie skończyły się pozytywnym zaopiniowaniem. Stwierdził, że jedna negatywna opinia do niego dotarła, ale nie wie dokładnie skąd.

Po zeznaniach Ziobry w sieci zawrzało.

Jacek Sasin, polityk Prawa i Sprawiedliwości, stwierdził, że były minister sprawiedliwości „robi dziś najlepszą kampanię informacyjną dot. przekrętów ludzi Tuska. Precyzyjnie, merytorycznie i w oparciu o prawdę”.

Według posła PiS Dariusza Mateckiego Ziobro „nielegalnie zatrzymany i siłowo doprowadzony do piwnicy Sejmu przed oblicze nielegalnie funkcjonującej grupy posłów partii rządzących - wjeżdża z kawusią i rozjeżdża bandę cymbałów”.

Nieco inaczej widzi to druga strona sceny politycznej.

Krzysztof Brejza pisze, że „narracja Z. Ziobry sypie się jak domek z kart”, podkreśla też, że komisja była świetnie przygotowana, a merytoryczne pytania wystarczą.

„Przypomnijmy. Ziobro ucieka przed pytaniami o inwigilację opozycji politycznej, dziennikarzy, adwokatów, prokuratorów i innych, którzy byli krytykami rządu PiS. Pegasusem kontrolowali wybory w 2019. To była zbrodnia na demokracji. Musi być kara!” - oeniła europosłanka KO Kamila Gasiuk-Pihowicz.

Wspomniany już wcześniej Roman Giertych zapowiedział złożenie zawiadomienia do prokuratury, bo, jego zdaniem, Ziobro „składa fałszywe zeznania, zniesławia i znieważa”.

Giertych napisał, że poseł PiS przegrał z nim w sądzie sześć razy.

„Mścił się za to, że go nie przyjąłem do pracy, to wymyślił aferę. Podsłuchiwał mnie Pegasusem i na końcu nawet CBA mu powiedziało, że nie znalazło żadnych przestępstw” - tłumaczył.

W kolejnym wpisie Giertych stwierdził: „Fajnie, że Ziobro się przyznał do wydania polecenia zakupu Pegasus. Czas na zarzuty o sprawstwo kierownicze. Przyznanie się jest królową dowodów”.

„Symboliczny koniec PiS-owskich świętych krów” - to z kolei europoseł KO Borys Budka.

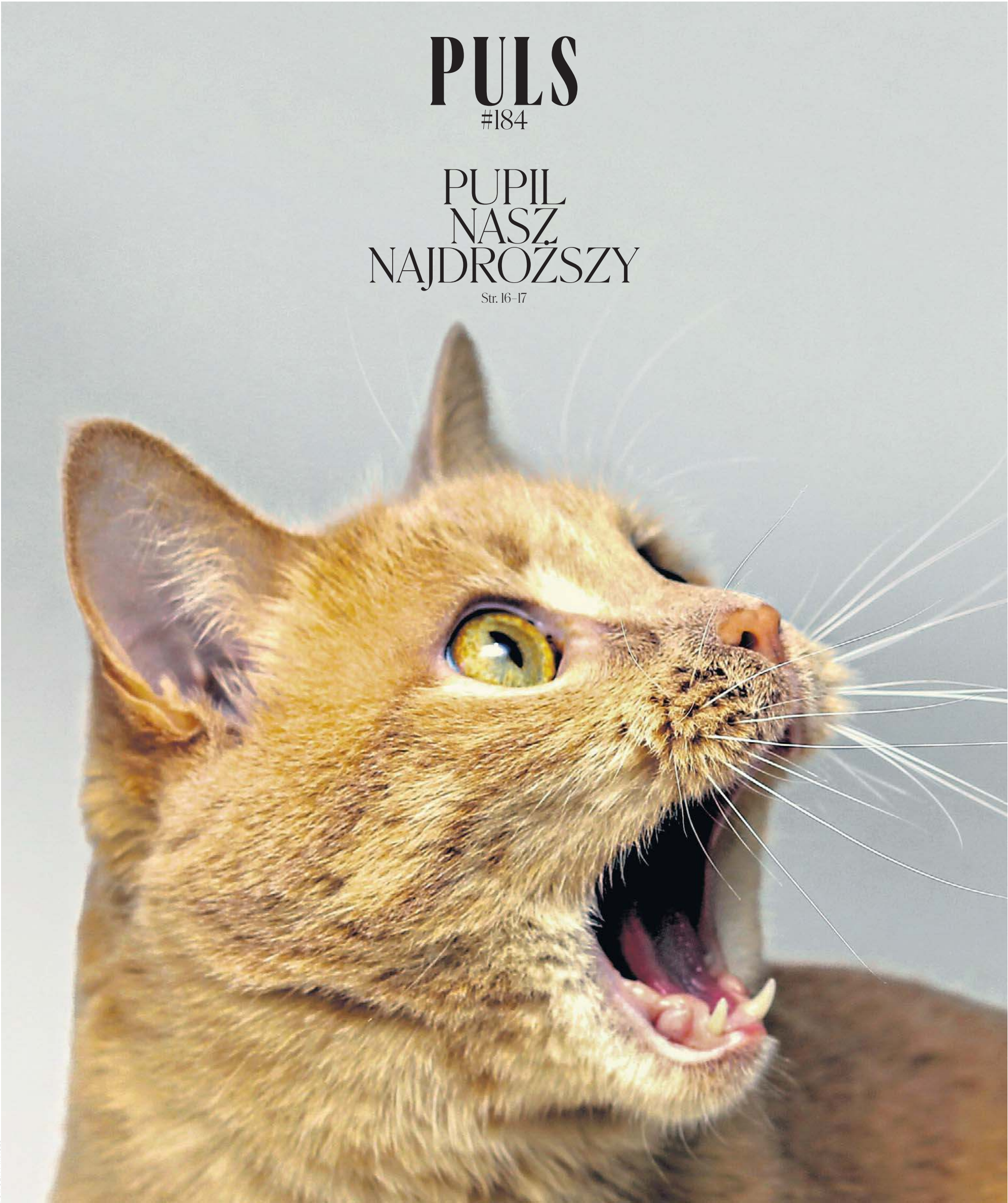
Członkowie sejmowej komisji śledczej ds. Pegasus chcą przygotować końcowy raport i zakończyć jej prace do końca tego roku. PAP

PULS

#184

PUPIL NASZ NAJDROŻSZY

Str. 16-17



Marek Twardóg

SZYMONOWI HOŁOWNI
ŻYCZENIA WIECZNEJ ZABAWY

Szymon Hołownia podobno od początku uznawał swoją karierę polityczną jedynie za przygodę, trudno było się z nim dogadać - słyszę od wczoraj. Znaleźli się nawet młodzi dziennikarze, którzy już od dwóch lat nie dostrzegali w oczach Hołowni dawnego blasku. Ale prawda jest taka, że dla wszystkich rozsądnie myślących o polityce to kompletne zaskoczenie. Nie dlatego, że Hołownia dał sobie spokój z polityką, tylko w jakim momencie i w jakim stylu dał sobie spokój.

Scenariusz był prosty. Hołownia, który stracił polityczny zmysł i poparcie, nie jest głupcem, w związku z czym zdawał sobie sprawę, że musi przemyśleć swoją obecność w polityce. Funkcja wicepremiera była szyta na miarę pod warunkiem, że nie będzie musiał za dużo robić o zbyt wielu sprawach decydować (podobnie jak na stanowisku marszałka Sejmu). Ten warunek miał zostać spełniony, bo Donald Tusk przecież nie dawałby mu zbyt wiele pola do popisu. Hołownia ostatecznie pociągnąłby jeszcze kilka lat, pewnie już bez jakiegokolwiek własnego zaplecza, ale z pewnym doświadczeniem medialnym i jakim takim czarem mógłby odgrywać pewną rolę na tak zwanej scenie politycznej, gdzie czas dwóch starych liderów powoli, ale nieuchronnie się kończy.

Ale Hołownia nie jest politykiem. Po udanej erze dziennikarza-pisarza-ewangelisty początkowo był aktywistą - jednym z wielu w ostatniej historii - który nagle zamarzył o Polsce bez podziałów, o jakimś magicznym nowym rozdaniu. W 2020 roku ten beznadziejny romantyzm przeszkodził w wygranej Trzaskowskiemu. Wybory 2023 były jedynymi, kiedy Hołownia cokolwiek znaczył. Czar trzeciej drogi wtedy bowiem zapłonął spektakularnie, by jednak - jak to z takimi czarami bywa - szybko prysnąć. Współczesna Polska nie chce bowiem żadnej trzeciej drogi, chce konfliktu, wyrazistości, populizmu, mamienia obietnicami, wzięcia za twarz, żadnych stanów pośrednich.

Następnie przez chwilę był kimś na kształt stańczyka. Gdy Kaczyński nudził o nienawiści do Tuska albo o jakichś ideach naprawy państwa, z czego zrealizował głównie zdewastowanie porządku prawnego i medialnego, a PO jechało na słusznych obawach elektoratu o przyszłość, na Hołownię zawsze można było liczyć: bon mot, rozkładanie rąk, chciałem dobrze, ale wiecie, oni się kłócą, wszystko z miną najważniejszego w grupie starszaków prywatnego przedszkola na Wilanowie. Ostatecznie został jedynie partyjnym obciążeniem zarówno w swoim ugrupowaniu, jak i w koalicji. Nikt bowiem mu nie ufał, ani wewnątrz, ani zewnątrz.

Najważniejsze: od początku do końca pozostał politycznym dzieckiem, chłopcem, który nie wie, czego chce. Szymkiem z telewizji, który prowadził program, ale jak uciekał mu myśl albo znudziło mu się przepytywanie gwiazdy, to zawsze mógł uciec w anegdotę, uszczypnąć w tyłek współprowadzącego lub zrobić dziwną minę i też szafa grała. Gdy znudziła mu się telewizja, poszedł w politykę, gdy znudził mu się marszałkowski show, zapomniał o swoich ponoć edukacyjnych występach na YouTube, gdy znudziła mu się odpowiedzialna polityka, spotkał się z Bielanem, udając, że to jakiś większy plan, a gdy znudziła mu się polityka w ogóle, wysłał aplikacje do ONZ na komisarza ds. uchodźców. Na miejscu rekruterów, ambasadorów, urzędników i negocjatorów w ONZ obawiałbym się, że za rok znudzą mu się uchodźcy i z dnia na dzień zostawi miliony Syryjczyków rozsianych po świecie. I poprowadzi „Taniec z Gwiazdami”.

Polska nie zasługuje na Szymona Hołownię. „Może przyjdzie jeszcze 75 byłych prezydentów i premierów, 48 marszałków Sejmu, mogą mi mówić, co chcą. Ale oni już byli, a teraz czas na to, co będzie. Teraz kolej na mnie” - mówił Szymon Hołownia w słynnym nagraniu sprzed pięciu lat, płacząc nad konstytucją. Szybko mu przeszło.

Adam Bula

REWOLUCJE W KLIMACIE
ODPUSTOWEGO KICZU

Nadziałem się na rolę Tobiasza Bocheńskiego. Jedyny w miarę przystojny polityk PiS, podniecony jak 10-latek na pierwszych wagarach, zachwyca się występem sekretarza wojny USA, wyglądającym jak spicz motywacyjny diamentowego sprzedawcy Amwayu do tłumu dystrybutorów nowej patelni. Tak dzisiaj wygląda polityka.

Rozradowany Bocheński nawija do trzymanego kawałek przed twarzą telefonu, idąc przy tym szybko, nie wiadomo tylko, skąd dokąd. Bo po co, to już nawet nie warto pytać. Ważne, że jest dynamicznie, a dobrej jakości sprzęt daje na jego leciutko niedogolonej buzi niepokojące refleksy, spychające pewnie część tiktokowej publiczności w rejony rojenia o 51. twarzy Greya...

Nie, stop, skupmy się znów, jak kiedyś, na treści. Bocheński zachwyca się: „Coś pięknego, wraca normalność. Amerykańska armia wraca do gry”. To komentarz do przemówienia Peta Hegsetha do kilkuset zwołanych na szybko dowódców armii. Bocheński dał w swoim filmiku jego najgłośniejszy fragment, gdy szef Pentagonu mówi: „skończymy z tym gównem”.

Bocheński nie tłumaczy, niestety, do jakiej gry wraca Ameryka. Ani nawet, dlaczego to tak dobra wiadomość dla nas. Jak „rewolucja zdrowego rozsądku” głoszona przez Trumpa i cały ruch MAGA, po dotarciu do sił zbrojnych spowoduje, że USA będą miały większe szanse z Chińczykami na wodach wokół Tajwanu? Albo gdziekolwiek. Zwłaszcza gdy najczęściej wrzucanym komentarzem pod jego nagraniem jest puste, 15-hektarowe pole po amerykańskiej bazie w Jassionce...

Oczywiście, nawet w sieci wciąż znajdziemy dość miejsc, gdzie można o tym porozmawiać poważniej. To, że żołnierze za oceanem będą musieli się golić, a polityczna nadbudowa armii będzie „walczyć z ideologią woke”, likwidując w jednostkach inicjatywy, takie jak „miesiące tożsamości, biura różnorodności i inkluzywności”, ganiając za „facetami w sukienkach”, to nie jest dla sił zbrojnych kluczowe. Nawet „koniec

z kultem zmian klimatycznych” w armii nic w sumie nie znaczy, bo nie słyszeliśmy dotąd, by Amerykanie mieli plany wymiany silników w F-35 na bardziej ekologiczne.

To, co istotne, i czego nie znajdziemy w refleksji na poziomie małpującego trendy Tobiasza, pojawi się w kolejnym kroku. Zdrowa już moralnie, pełna bogobojnych i wystrzyżonych, normalnych amerykańskich chłopców armia musi się zmierzyć z prawdziwym wrogiem USA. Wrogiem wewnętrznym, całym tym g..., które według MAGA niszczy „Wielkość Ameryki”. Dlatego Trump wysyła i będzie wysyłał wojsko na ulice amerykańskich miast, gdzie mają zrobić porządek i zaprowadzać „normalność”. Zwłaszcza tam, gdzie rządzą liberalni demokraci.

Dlatego trwa wielki przegląd strategicznej obecności wojsk USA na świecie, po którym siły zbrojne zwiną się, skąd tylko się da. Dlatego Trump, ogrywany przez Putina, nie ma już nic przeciwko, by Ukraina odbiła wszystkie swoje ziemie, pod warunkiem, że zrobi to z pomocą Europy, bo „amerykańscy chłopcy” mają robotę w domu. Donald może nawet tej Ukrainie podrzuci wreszcie Tomahawki, oczywiście, jak je od niego kupimy...

Gdyby próbować być już całkiem na poważnie, robi się groźnie, gdy uprzytomnimy sobie, że kilkanaście godzin przed jarmarkowym eventem w Stanach Jarosław Kaczyński wyskoczył z ideą „Pax Americana”. Zamiast „tracić suwerenność” w zjednoczonej Europie, „zdominowanej przez Niemcy”, Polska powinna robić wszystko, by być wiernym wasalem USA, najlepiej tak jak reszta świata.

Jest tylko jeden problem: Ameryka Trumpa ma świat tam, skąd pochodzi to, z czym Hegseth kończy właśnie w jej armii.

To jest nasza wojna, bo wojna w Ukrainie jest tylko częścią tego upiornego projektu, który raz na jakiś czas pojawia się na świecie. I celem tego politycznego projektu jest zawsze to samo. Jak zniewolić narody, jak odebrać wolność poszczególnym ludziom, co zrobić, żeby zatriumfowały autorytaryzmy, despoty, okrucieństwo, brak praw człowieka

FOTOkomentarz tygodnia



2 PAŹDZIERNIKA WARSZAWA

Rozpoczął się XIX Konkurs Chopinowski, jedno z najważniejszych wydarzeń w świecie muzyki klasycznej. 84 pianistów (w tym 13 z Polski) do 23 października będzie przedzierać się przez kolejne etapy zmagania - aż na końcu jeden z nich poczuje się tak jak Kanadyjczyk Bruce Liu (na zdjęciu za fortepianem) pięć lat temu. Konkurs Chopinowski to jedno z tych wydarzeń, które skupia na sobie uwagę całego globu. Jedną z nielicznych okazji, aby pokazać światu Polskę z innej strony niż kraj przyfrontowy. Tym bardziej warto cieszyć się tym konkursem

FOT. MATERIAŁY PRASOWE KONKURSU CHOPINOWSKI



30 WRZEŚNIA, IZRAEL/USA. W Strefie Gazy trwają walki między Izraelem i Palestyńczykami, ale pojawiła się perspektywa ich szybkiego zakończenia. Donald Trump uzgodnił z Benjaminem Netanjahu plan przerwania walk, który zyskał od razu poparcie krajów Europy i Bliskiego Wschodu. Przełom?

FOT. PAP/EPH/MOHAMMED SABER



1 PAŹDZIERNIKA, CZECHY. Telewizyjna debata między poprzednim premierem Andrejem Babisem (po lewej) i obecnym Petrem Fialą. Według sondaży po sobotnich wyborach rząd utworzy ten pierwszy

FOT. PAP/EPH/MARTIN DIVISEK



1 PAŹDZIERNIKA, KRAKÓW. Wykładowcy Uniwersytetu Jagiellońskiego z rektorem Piotrem Jedynakiem idą w orszaku profesorskim. Znak, że kolejny rok akademicki na uczelniach wyższych właśnie się zaczął

FOT. PAP/ART SERVICE

Na osiedlu właścicieli psów znam z widzenia, czasami zamienimy kilka słów, zawsze się pozdrawiamy. Ci, którzy chodzą ze swoimi czworonogami na dłuższe spacery do pobliskiego lasu, to już grupa dobrych znajomych. Zaraz przy wejściu do zagajnika spotkam właściciela dużego owczarka niemieckiego, posłuszny i dobrze wychowany psiak. Szybkim krokiem las przemierza pani z dwoma haskimi, które mój pies uwielbia i z którymi przemaszewowałyśmy dziesiątki kilometrów. Czasami mijam kobietę w szarej kurtce ze swoim dużym psem, mówimy sobie „Dzień dobry”, pana z biglem, też jesteśmy na „Dzień dobry”, właściciela białej labradorki - zrobiliśmy kilka wspólnych spacerów.

Ewa mieszka przy samym lesie. Ma siedem kotów i Pokera, którego odziedziczyła po zmarłej sąsiadce. Gdyby nie ona, biedak pewnie trafiłby do schroniska. Poker jest mieszańcem, dość młodym, ale ułożonym. Czasami idziemy na spacer do lasu razem. I gadamy.

- Dzisiaj znowu weterynarz! Tym razem jadę z Kicią, to ta czarna, mała kotka - wzdycha. Ewa na swoje zwierzęta wydaje majątek. Kicia jest po operacji ucha (w sumie 3 tys. złotych), wcześniej Leon, to inny kot, miał kłopoty żołądkowe (w sumie 800 złotych), najwięcej wydała na Mie, która wpadła pod samochód (w sumie 7 tys. złotych). Bo przecież płaci się nie tylko za zabieg czy operację, ale także za wszystko to, co przed i po nich: wizyty kontrolne, leki, kroplówki, badania.

- Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie dobra emerytura i oszczędności - mówi. Dla zwierząt zrobi wszystko, pewnie gdyby musiała, zaciągnęłaby kredyt na ich leczenie.

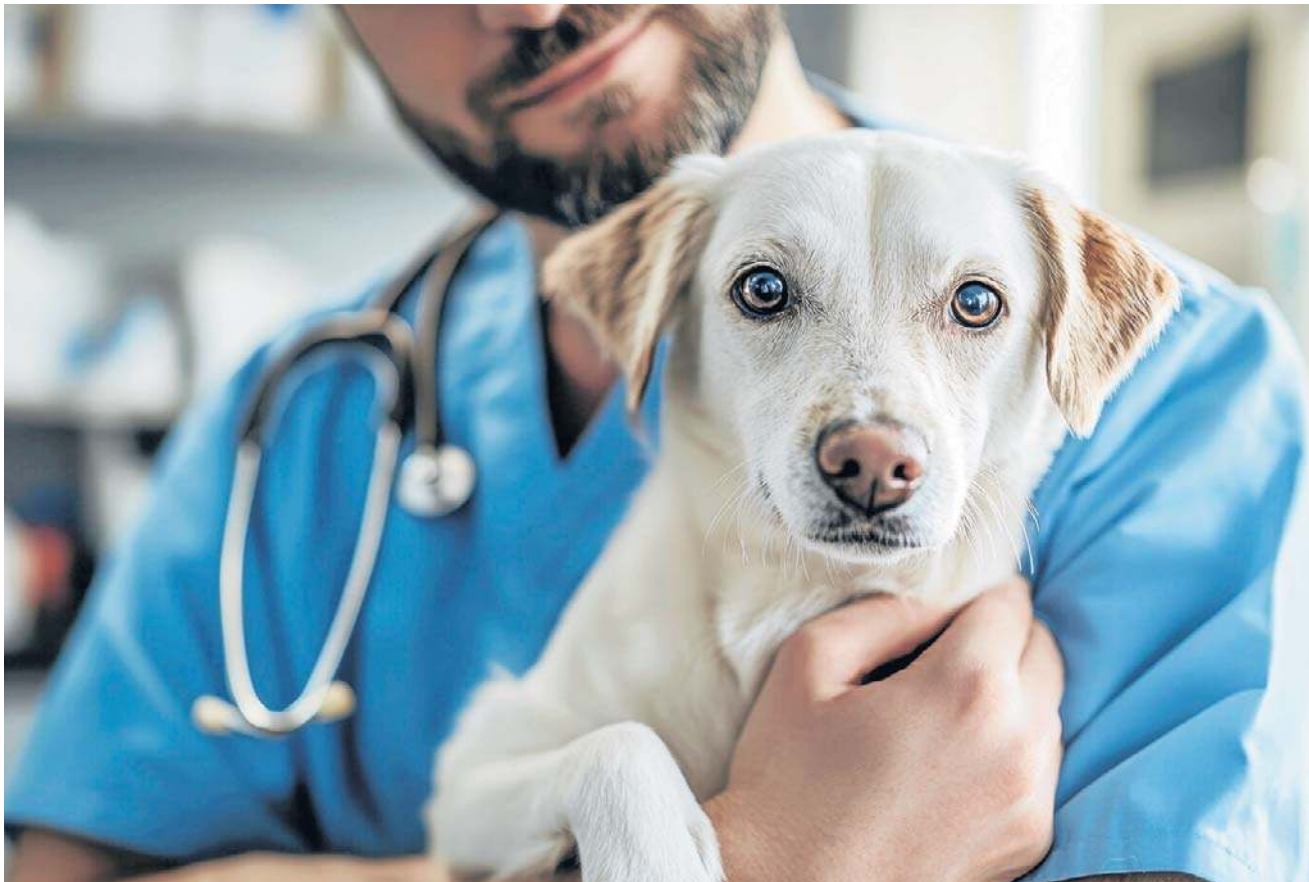
Wiesław, szczuplutki, wysoki, po sześćdziesiątce nie brał kredytu, ale żeby zdiagnozować Maksa, sprzedał samochód. Pies źle się czuł, kaszlał, słabł w oczach. Chodził z nim od weterynarza do weterynarza, zrobił dziesiątki badań. W końcu okazało się, że to zwłóknienia na płucach. Maksa nie da się wyleczyć, można polepszyć komfort jego życia. Tyle.

- Dzisiaj wizyta u weterynarza zaczyna się od dwustu złotych, ale ja najczęściej płaciłem po trzysta, czterysta, bo lekarz zawsze coś przy Maksie robił. Do tego badania, leki, zabiegi. Tak naprawdę nawet nie wiedziałem, za co z wyszczególnieniem płacę, po prostu dostawałem rachunek i tyle - opowiada. Wiesław to znany w okolicy grzybiarz, kiedyś po lesie biegał z Maksem, dzisiaj na spacerach chodzi sam. Maks jest bardzo słaby, wychodzi na podwórko, robi siusiu i natychmiast słania się na nogach. Ale chce żyć, je, przymila do właściciela.

Posiadanie psa czy kota to nie tylko wspólne spacery, przytulania, przekomarzania, ale i spory wydatek. Nie wszystkich stać na to, aby zwierzęka wyżywić, a co dopiero leczyć. Dlatego niektórzy pozbywają się swoich mniejszych przyjaciół, albo, kiedy te chorują, nie idą do weterynarza.

Nie z okrucieństwa, z braku pieniędzy. 4 października obchodzimy Światowy Dzień Zwierząt, trzeba o tym pisać

Dorota Kowalska



Weterynarze doskonale zdają sobie sprawę, że właściciele psów czy kotów zrobią wszystko, by je ratować

DROGIE NASZE ZWIERZAKI. KIEDY PIES STAJE SIĘ DOBREM LUKSUSOWYM

- Nie będę go męczył. Jeśli weterynarz uzna, że czas Maksa uśpić, zrobię to - deklaruje i smutnieje. Nie z powodu wydanych pieniędzy. Kocha tego zwierzęka.

Anna też chodziła kiedyś do lasu z Kapslem. Dzisiaj robi

kółeczko wokół bloku. Trzy miesiące temu wrócili do domu, a Kapsel, 8-letni mieszaniec, leżał i nie mógł się podnieść. Wzięli go na ręce, zawieźli do całonocowej kliniki weterynaryjnej.

- Okazało się, że wypadł mu dysk. Operacja miała kosztować 9 tys. Zapytałam weterynarza, jaka jest gwarancja, że po operacji Kapsel będzie zdrowy. Nie było żadnej. Zdecydowaliśmy się na blokadę - opowiada. Za dwudniowy pobyt Kapsla w psim szpitalu, badania, leki zapłacili około 3 tys.

Psia chodzi i wciąż zaczepia inne psy w okolicy. Kiedy po godzinie wychodzę z lasu - spotykam tych, którzy wchodzą do niego ze swoimi psiakami. Ci sami ludzie, te same psy. Wszyscy się tu znają, pozdrawiają, rozmawiają ze

sobą. Kiedy trzeba, ostrzegają się wzajemnie. Późną wiosną wchodząc do lasu zobaczyłam kartkę przywieszoną do drzewa: „Uwaga, po lesie grasuje stado dzików, lochy są bardzo agresywne. Atakują psy i ludzi”. I rzeczywiście, kilka dni później spotkałam Adama, właściciela czarnego labradora i suczki, która w zaroślach natchnęła się na dziki - nieźle ją pokiereszowały. Weterynarz stwierdził, że cudem przeżyła. Założony przez niego szew ciągnął się przez pół pyska. Adam nie liczy pieniędzy, które wydał na leczenie czworonoga w ciągu dwóch tygodni. Najważniejsze, że sunia żyje. Co miał zrobić? Zostawić psa w lesie? Pozwolić mu umrzeć?

- Powiem tylko tyle: To granda, tak nie powinno być. I bardzo mi przykro z tego powodu - mówi Dorota Sumińska, lekarz weterynarii, publicystka, autorka książek i propagatorka dobrego traktowania zwierząt. Nie chce rozwijać tematu.

Oddać psa
Bo prawda jest taka, że dzisiaj nie każdy może sobie pozwolić na posiadanie psa czy kota. I nie chodzi o wielkość mieszkania, wolny czas, ale o pieniądze. Wizyta u weterynarza to spory wydatek, czasami szokujący dla właścicieli czworonogów. Ci często bywają rozdarci: chcą pomóc pupilom, ale najzwyczajniej w świecie nie mają na to pieniędzy. Czasami podejmują drastyczne decyzje.

Najgorzej było tuż po pandemii: rosły ceny zabiegów weterynaryjnych, galopowała inflacja, a schroniska wypełniały się zwierzętami. Ich pracownicy opowiadali historie emerytów, którzy ze łzami w oczach, a czasami po prostu płacząc, oddawali im swoje stare, często schorowane pociechy. Nie starczało im pieniędzy na karmę, a co dopiero na lekarstwa. Dramat.

- To prawda, coraz mniej osób stać na to, żeby utrzymać kota lub psa, a w razie choroby zapewnić mu leczenie weterynaryjne - przyznaje Joanna Repel, rzeczniczka prasowa Krakowskiego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami.

Dlatego pomagają jak mogą. Co miesiąc dostają kilkadziesiąt wniosków z prośbą o dofinansowanie leczenia jakiegoś konkretnego zwierzęcia. Oprócz leczenia, wydają najbardziej potrzebującym karmy dla ich pociech, dokarmiają bezdomne psy i koty. Widzą, że jest źle, coraz gorzej.

- Z roku na rok coraz więcej osób zwraca się do nas z prośbą o pomoc finansową w związku z ich zwierzętami. Chodzi o ich leczenie, ale też wyżywienie - podsumowuje Repel.

W ich oknach życia, bo takie stworzyli, wciąż znajdują pozostawione zwierzęta. Takie okna są tylko u nich, dlatego

przyjeżdżają tu ludzie z całej Polski. Trzeba wejść do budynku KTOZ i tam rozstać się ze zwierzęciem, ale często właściciele nie mają odwagi spojrzeć im w oczy. Zostawiają psiaka przywiązanego do pobliskiej barierki.

Walczą do końca

Nie każdy potrafi. Niektórzy traktują psy i koty, jak równoprawnych członków rodziny. Żyją wśród zwierząt, nie obok nich, z nimi. I wydają na zwierzęta wszystkie pieniądze.

- Zwierzęta zawsze były ze mną. Zarówno fizycznie, jak też metafizycznie. Choćby w postaci opowieści o tych wszystkich psach, kotach, wieściach, a także kurach, które - oswojone, kochane, tulone - przewijały się przez historię mojej rodziny - opowiada Mira Suchodolska, dziennikarka, publicystka, obecnie w Polskiej Agencji Prasowej.

Jak opowiada pies Amor wychował jej matkę, Wandę Suchodolską-Paszkę, która ubierała Amora w ciuszki niemowlaka, wsadzała go do wózka dla lalek i wozila wokół domu. A Amor sapał i się ślinił, ale robił wszystko, żeby zadowolić swoją małą opiekunkę. Po latach ta psia opiekunka została uwielbianą przez uczniów nauczycielką.

- Kiedy miałam jakieś pięć lat, uczennica mojej mamy przyniosła nam szczeniaka. Był bardzo waleczny, z charakterem, dostał na imię Kuba. Z Kubą był taki problem, że rzucał się na łydki przyjaciółek mojej babuni - opowiada. Mały piesek, biały w czarne łaty, siał postrach w okolicy. Kiedyś dobrał się do sztucznej szczęki babuni.

Po psie Kubie było jeszcze wiele innych psiaków. Zazwyczaj ratowanych ze złego otoczenia, przegarnianych bezdomniaków. Przychodziły i odchodziły. Za każdym z nich płakała, obiecywała sobie, że już nigdy więcej.

- Tyle że życie bez psa to nie jest życie - wzrusza ramionami.

Kiedy przeniosła się ze Śląska do Warszawy, postanowiła, że wybuduje dom. Dla rodziny, ale głównie dla wymarzonego zwierzaka. Z ogrodem, żeby ten miał gdzie biegać. I tak się stało.

- W naszym życiu pojawiła się Kira, labradorka - opowiada. Sąsiedzi byli przerażeni: nowy dom, nowy trawnik, a suka biega wokół budynku, jak oszalała, wydeptując ścieżki.

- Pies powinien spać w budzie - tłumaczyli.

Żeby się lepiej wpasować w tło, zakupili budę. Dużą. Ale Kira nie przespała w niej ani jednej nocy, może bezdomne koty się w niej czasem zatrzymywały. Kira była łóżkowym psem. Miała 10 lat, kiedy za-

chorowała. Nerki zaatakował gronkowiec antybiotykooporny. Wydzwaniła po specjalistach, walczyła o psa przez pół roku. Nie było ratunku.

- Ile wydałaś na leczenie Kiry? - dopytuje.

- Kupiłabym za to samochód - przyznaje.

Szybko okazało się, że chodzenie po lesie bez psa nie ma sensu. Nie minął miesiąc, kiedy w jej domu pojawiła się Amba. Blachara, dziewczyna z blokowiska. Jeśli komuś wydaje się, że każdy labrador jest słodkim psiakiem, takim, jak je postrzegamy z amerykańskich filmów familijnych, jest w błędzie. Jeśli wziąć pod uwagę światowe statystyki, to najwięcej pogryzień ludzi przez psy jest autorstwa właśnie labradorów i retriverów. Głównie w USA, ale nie tylko. Dlaczego? Z tego samego powodu, dla którego ratlerki, yorki, buldożki nie są traktowane przez swoich opiekunów poważnie. Natomiast każdy pies, niezależnie od swoich gabarytów, bardzo poważnie podchodzi do swojego stada. Właśnie tak stada. Bo psy są zwierzętami stadnymi. Tak samo, jak wilki, z których się wywodzą. W stadzie natomiast obowiązuje zasada, że musi mieć ono swojego szefa, który nadaje kierunek, wprowadza zasady, jakimi stado się kieruje.

Obecnie w jej domu żyją trzy psy (dwa labradory i dog niemiecki, plus dwa koty). I towarzystwo się nawzajem szanuje. Ale to ona ustala zasady.

- Saszka, dog niemiecki, pojawiła się w naszym życiu przypadkiem - opowiada Mira. - Jest psem z fundacji. Pewnego dnia obudziłam się, wzięłam do ręki smartfona i zobaczyłam tę czarną, nieco posiwiałą, psią twarz o przesmutnych oczach - opowiada.

Przeszłość tej suki w typie doga niemieckiego, była trudna, ekstremalnie. Pies był bity, głodzony, ponad dwa lata spędził w klatce, bez chociażby ściery, na której mógłby się położyć.

- Przyszło do mnie dzikie, przestraszone stworzenie. Sasza nie umiała chodzić po schodach, nie umiała się bawić, niczego nie umiała. Dzisiaj mam psa, który nie tylko mnie kocha, jest w stanie przejechać z mną w dym, ale przede wszystkim mam najlepszego przyjaciela. Ułożoną, kochaną Saszkę, której nie muszę się wstydzić, gdziekolwiek jestem - wzrusza ramionami dziennikarka.

Też o nią walczy. U Saszy zdiagnozowano nowotwór. Nie można go usunąć. Ale Sasza, jak Maks, wciąż chce żyć: chodzi na spacer, je, bawi z pozostałymi psami. Raz, dwa razy w miesiącu jeździ z nią doznego psiego onkologa. Za każdą wizytę płaci 1300 złotych.

- Trochę mnie ta suma zszokowała - przyznaje. - Wetery-

narz chyba dostrzegł moje zdumienie, bo powiedział: „Ja panią kosztuję 300 złotych”. Pokazał wyliczenia, reszta to cena leków, które Sasza przyjmuje - opowiada Mira.

Doskonale zdaje sobie sprawę, że nie wszystkich stać na taki miesięczny wydatek, że ludzie pozbywają się psów i kotów, albo najzwyczajniej w świecie, kiedy są chore, nie leczą ich i pozwalają umrzeć. Nie z okrucieństwa, z braku pieniędzy.

Weterynarze protestują

Ostatnio o usługach weterynaryjnych zrobiło się głośno za sprawą dziennikarki Moniki Richardson. Paco, ukochany spaniel, którego Richardson miała od dwóch lat, zjadł gumową zabawkę. Został zawieziony do całonocnej kliniki weterynaryjnej, z częścią szpitalną. Po czterech godzinach, jak pisze Monika Richardson, Paco zmarł, nie udało się go uratować.

Pierwszy wpis w mediach społecznościowych był smutnym pożegnaniem pupila. W kolejnym poście prezen-terka opublikowała informacje o klinice, imię i nazwisko jej dyrektora i „zestawienie sprzedaży”.

Z rachunku wynika, że Richardson zapłaciła łącznie prawie 1853 złote, z czego 300 złotych to cena kremacji zwierzęcia, kolejne 300 złotych kosztowała konsultacja, a sześciogodzinna hospitalizacja - 130 złotych. Pozostałe składowe ostatecznej kwoty to różnego rodzaju leki i zastosowane środki terapeutyczne.

„Wiecie, ja się nie znam oczywiście, ale wydaje mi się, że czegoś tutaj zabrakło. Jakiejś elementarnej przyzwoitości, odrobiny empatii. Mam wrażenie, że coś się zepsuło podczas zamiany pacjenta na klienta, a opis leczenia na „raport sprzedaży”” - napisała prezen-terka.

Post wywołał prawdziwą burzę. Zareagowali lekarze weterynarii.

„Ale w czym jest problem? Że jako lekarze weterynarii nie ratujemy za darmo? Że leki kosztują, usługi kosztują, a zdjęcie wykazu leków i wykonanych usług z programu »klinika« jest suche i program tam kondolencji? Mam nadzieję, że pomimo tak podłego postu sugerującego nieprofesjonalne zachowanie lekarza następnym razem kolejny nie odprawi pani z kwitkiem.

Dzięki takim osobom jak pani i takim komentarzom, na-gonce, hejtowi, ludzie zapominają, że pracujemy w lecznicach nie tylko dla przyjemności, ale, uwaga: pracujemy, bo to nasz zawód i źródło utrzymania naszych rodzin” - napisała jedna z osób korzystających z Instagrama. Inni wypowiadali się w podobnym tonie.

Środowisko weterynaryjne wydało oficjalny komunikat i zażądało od dziennikarki usunięcia wpisów oraz przeprosin, ale przeprosin nie było. Krajowa Izba Lekarsko-Weterynaryjna wydała właśnie oświadczenie, w którym poinformowała, że 25 września sprawa trafia na wokandę. Powodem są między innymi mocne słowa Richardson, która miała porównać wszystkich lekarzy weterynarii do „zorganizowanej szajki, która nie cofnie się przed niczym”.

Witold Katner, rzecznik Krajowej Izby Lekarsko-Weterynaryjnej, w odpowiedzi na pytania TVN24 podkreślił, że opublikowany przez Monikę Richardson rachunek „nie odbiega od standardowych cen rynkowych stosowanych w przypadku intensywnej terapii psa w stanie zagrożenia życia”.

- Należy pamiętać, że całodobowe zakłady lecznicze dla zwierząt świadczą usługi weterynaryjne wymagające natychmiastowego działania, zaawansowanej diagnostyki, obecności zespołu specjalistów oraz specjalistycznego sprzętu - co znajduje odzwierciedlenie w kosztach leczenia - tłumaczył Katner. I dodał, że ceny usług weterynaryjnych w Polsce „są wyraźnie niższe niż w większości krajów Unii Europejskiej, przy zachowaniu porównywalnego poziomu zaawansowania technologicznego, zakresu usług oraz kwalifikacji lekarzy weterynarii”.

Sprawę komentowali właściciele psów, wśród nich dziennikarka Karolina Korwin-Piotrowska.

- Zanim to się stało modne, traktowałam moje zwierzęta jako członków rodziny, o które zdrowie dbać po prostu trzeba. Opieka nad zwierzętami nie podlega pod NFZ, leki i diagnostyka kosztują - mówiła Plejadzie. - Richardson świadomie, cynicznie i z rozmysłem nakreśliła straszny hejt na grupę zawodową, która podlega ogromnym obciążeniom, co trzeci z nich ma wypalenie zawodowe, ilość samobójstw wśród weterynarzy jest rekor-

dowa. Nie przez zwierzęta, ale przez ich koszmarnych „opiekunów”, którzy zachowują się haniebnie, roszczeniowo, bez empatii - dodała.

Bez wyjścia

Jarosław Falkowski od 15 lat prowadzi w Legionowie swoją prywatną praktykę, od 25 lat leczy zwierzęta. Ma kilka tysięcy pacjentów, dziennie przyjmuje ich około setki.

- Skąd takie ceny usług weterynaryjnych? - dopytuje.

- Po pierwsze, ceny leków weterynaryjnych są zdecydowanie wyższe niż tych ludzkich. Poza tym, te leki nie są refundowane. Kolejna sprawa: musi pani wziąć pod uwagę, że my działamy trochę jak prywatna medycyna ludzka. Ile pani płaci idąc na prywatną wizytę do kardiologa, czy ginekologa? No właśnie! - tłumaczy.

Podobnie jest z badaniami, u ludzi - niektóre są refundowane przez NFZ, inne nie. U zwierząt takiej refundacji nie ma. Poza tym weterynarz musi kupić aparat do badania krwi, czy moczu. Koszty idą w dziesiątki tysięcy złotych. Podobnie sprawa wygląda z innym medycznym sprzętem. Do tego dochodzą pozwolenia - za to wszystko muszą płacić z własnej kieszeni.

- Następna bardzo istotna rzecz: tak naprawdę lekarz weterynarii jest lekarzem ogólnym. Jestem chirurgiem, proktologiem, ginekologiem, robię cesarskie cięcia, przyjmuję internistycznie, przeprowadzam operacje. W medycynie ludzkiej doszło do bardzo wąskiej specjalizacji - tłumaczy.

- I jaki to ma wpływ na ceny usług weterynaryjnych? - pytam.

- Musimy cały czas się szkolić. Jeżeli jadę na kurs weekendowy, to muszę za niego zapłacić 5 tys. zł, do tego przynocować 2 dni w hotelu, coś zjeść. Tak naprawdę wydaję około 7 tys. zł, jakoś te pieniądze trzeba odzyskać, prawda? - odpowiada doktor Falkowski.

I dodaje, że ceny usług w jego lecznicy nie zmieniły się od 2 lat, tymczasem horrendalnie w górę poszły ceny leków, a zgodnie z ustawą farmaceutyczną weterynarze mogą używać leków ludzkich, jeżeli nie ma ich odpowiednika weterynaryjnego.

- Dam taki przykład: padaczkę u zwierząt leczylimy kiedyś ludzkim lekiem przeciwpadaczkowym, który jest stosunkowo tani. Odkąd jednak pojawiły się jego odpowiedniki weterynaryjne, zgodnie z ustawą nie możemy już tego robić, podobnie jest chociażby z niedoczynnością tarczycy u zwierząt - tłumaczy.

Dlaczego leki weterynaryjne są droższe? Firmy farmaceutyczne decydują o ich cenie, poza tym, o czym już było, nie ma za nie żadnej refundacji.

- Jeśli chodzi o diagnostykę, medycyna weterynaryjna w ciągu ostatnich 20 lat zrobiła milowy krok do przodu, tylko zasobność portfela naszego klienta się nie zmieniła - konstatuje doktor Falkowski.

Tak, nie ma stałego cennika usług weterynaryjnych, bo jak tłumaczy, u weterynarzy obowiązują ceny umowne. Przecież inne są koszty utrzymania lokalu w Warszawie, a inne w Wyszkowie.

Oczywiście, weterynarze zdają sobie sprawę, że jest problem. Niemal codziennie ma w gabinecie ludzi, których nie stać na leczenie swoich zwierząt. Jak im pomóc? Pewnym wyjściem jest polisa dla psa czy kota, bo dzisiaj można już ubezpieczyć zwierzęta i otrzymać zwrot kosztów ich leczenia. Problem polega na tym, że nie wszyscy ubezpieczyciele chcą ubezpieczać zwierzęta stare, a to z nimi najczęściej chodzi się do weterynarza. Czasami też nie chcą zwracać pieniędzy, zgłaszając zastrzeżenia do przedstawionych dokumentów.

Ludzie radzą sobie więc jak potrafią. Zapożyczają się, przeprowadzają internetowe zrzutki na leczenie swoich pupili. Oni, lekarze, też kombinują: tną koszty, wybierają półśrodki. Starają się jakoś problemowi zaradzić, ale nie są w stanie sponzorować leczenia swoich klientów. Tak, słyszał o historii Moniki Richardson. Sam też ma przeróżnych klientów.

- Jako grupa zawodowa jesteśmy w czołowie ludzi popełniających samobójstwa, bo my naprawdę lubimy to, co robimy, powiem więcej - kochamy swoją robotę, natomiast kontakt z właścicielami naszych pacjentów jest mega trudny - przyznaje.

Pewnie, są wśród nich osoby nieuczciwe, dla których najważniejsze są pieniądze. Weterynarze doskonale zdają sobie sprawę, że właściciele psów czy kotów zrobią wszystko, by je ratować i skrupulatnie to wykorzystują, ale w każdym zawodzie, jak tłumaczy, znajdują się czarne owce. Większość kolegów, których zna, żyje swoją pracą i to zwierzęta są dla nich najważniejsze.

- Więc jakie jest wyjście z tej sytuacji? - pytam.

- Nie ma z niej wyjścia. Systemowo nie da się jej rozwiązać, bo nie można prawnie zakazać komuś kupna zwierzęcia, jeśli chce je posiadać, a nie każdy powinien być właścicielem psa czy kota - pada odpowiedź.

Można jedynie apelować o przemyślane decyzje. Kiedy zapraszamy zwierzaka do swojego domu, ten staje się członkiem rodziny. Musimy go kochać. Dbać, by miał co jeść, pić, by dobrze się czuł w naszym towarzystwie. Troszczyć, kiedy zachoruje. Być cierpliwym, kiedy posiwieje. I pamiętać, że może liczyć tylko na nas.

*ŁUDZIE RADZĄ SOBIE WIĘC JAK
POTRAFIĄ. ZAPOŻYCZAJĄ SIĘ,
PRZEPROWADZAJĄ INTERNETOWE
ZRZUTKI NA LECZENIE
SWOICH PUPILI*

– Narcyz błyszczący, zachwyca i przyciąga uwagę, ale z czasem okazuje się, że rani, manipuluje i nie potrafi kochać naprawdę. Wszyscy mamy w sobie element narcyzmu, ale u niektórych urasta on do poziomu, który niszczy relacje. O tym, jak cienka jest ta granica – mówi psycholog, prof. Marcin Zajenkowski, laureat tegorocznego Ig Nobla

Anita Czapryn

IG NOBEL ZA NARCYZA. WSZYSTCY MAMY GO W SOBIE, CZYLI O CIENKIEJ GRANICY MIĘDZY SAMOOCENĄ A TOKSYCZNOŚCIĄ

Zaczne od gratulacji za Ig Nobla. To nagroda, która z jednej strony bawi, a z drugiej skłania do refleksji. Jak pan zareagował, kiedy dowiedział się o tym wyróżnieniu?

Rzeczywiście, w pierwszej chwili byłem trochę sceptyczny, bo nie do końca wiedziałem, czym tak naprawdę jest ta nagroda i jak wygląda. Ale kiedy zacząłem o niej czytać i rozmawiać z ludźmi, wszyscy reagowali bardzo entuzjastycznie. Mówili, że to świetne wyróżnienie. I rzeczywiście, gdy się wgłębiłem, zobaczyłem, że Ig Nobel przyznaje się za badania opublikowane w renomowanych czasopiśmie naukowych, ale za takie, które mają dodatkowy element humorystyczny. Mogą wywołać uśmiech, ale później także refleksję. Kiedy rozmawiałem z innymi tegorocznymi laureatami, miałem wrażenie, że u podstaw tej nagrody leży jedno – to ciekawość poznawcza świata. I chyba właśnie za to jest ta nagroda przyznawana.

Dopóki jesteście ciekawi, dopóty możemy się rozwijać. Jak to się stało, że pana badania zostały zauważone i nominowane do Ig Nobla? Z tego, co wiem, wygląda to tak, że Komitet Ig Nobla co roku przegląda podobno około 10 tysięcy artykułów naukowych i wskazuje te, które ich zdaniem kwalifikują się do nagrody. Następnie kontaktują się z autorami i pytają, czy przyjąłoby to wyróżnienie. Do mnie zgłosił się profesor Dariusz Jemielniak, członek komitetu, z pytaniem, czy przyjmę nagrodę, zgodzę się zostać laureatem. Po chwili namysłu odpowie-

działem „tak”. To było w maju tego roku, ale poproszono mnie, żebym utrzymał wszystko w tajemnicy aż do oficjalnego ogłoszenia wyników.

Trudno było zachować sekret?

Podzieliłem się tą informacją tylko z rodziną.

Nie jest pan pierwszym Polakiem, który otrzymał Ig Nobla.

To prawda. Ale jestem pierwszym polskim naukowcem z dziedziny psychologii uhonorowanym tą nagrodą. W przeszłości wyróżnienia trafiały już do Polaków z innych dziedzin. Kilka lat temu laureatem został na przykład naukowiec z obszaru medycyny.

Czytałam też, że byli polskie Ig Nobla z ekonomii. Ale, co bardzo ciekawe, było i tak, że Ig Nobel był jako wstępem do prawdziwego Nobla. Tak było w przypadku naukowca, który najpierw dostał Ig Nobla za badania nad lewitującymi żabami, a potem za odkrycie grafenu. Myśli pan, że pana prace nad narcyzmem mogą mieć podobny potencjał?

Trzeba pamiętać, że nie ma Nagrody Nobla w psychologii. Jedyni psychologowie-nobliści otrzymywali wyróżnienia w innych dziedzinach, głównie w ekonomii. Z samej psychologii Nobla nie da się dostać. Ale oczywiście, zobaczymy, co przyniesie przyszłość. Może moje badania znajdą zastosowanie w pokrewnych obszarach, jak ekonomia czy medycyna. Nigdy nie wiadomo.

Chciałabym skupić się na pana badaniach, które opublikował pan w czasopiśmie naukowym. Dlaczego w ogóle zainteresował się pan narcyzmem? A może początkowo wcale nie chodziło o narcyzm, tylko o coś zupełnie innego?

Dobre pytanie, bo rzeczywiście początkowo zajmowałem się inteligencją, a dokładniej tym, jak ludzie postrzegają własną inteligencję. Interesowało mnie, czy potrafimy trafnie ją ocenić, czy wiemy, na jakim poziomie jest nasza zdolność poznawcza. Okazało się, że w ogóle mamy tendencję do patrzenia na siebie bardziej pozytywnie, niż wynika to z obiektywnych pomiarów. Ale szczególnie wyraźne było to u osób o cechach narcystycznych; one jeszcze silniej postrzegały siebie w korzystnym świetle. I to zwłaszcza w obszarze inteligencji. Dlaczego właśnie tam? Bo inteligencja łączy się z poczuciem sprawczości i wysokim statusem społecznym. Wiąże się z zarobkami, pracą, edukacją, a więc z czymś, co jest społecznie pożądane. Dla osób narcystycznych to niezwykle ważne. To mnie skłoniło, by zająć się samym narcyzmem: co to za cecha, która sprawia, że człowiek tak bardzo pozytywnie myśli o sobie? Z jednej strony buduje poczucie wyjątkowości, a z drugiej psycholo-

gia definiuje narcyzm jako nadmierne skupienie na sobie, roszczeniowość i przekonanie, że należy im się więcej niż innym.

Ponieważ narcyz z góry zakłada, że jest lepszy od innych?

Dokładnie. I to też mnie zastanowiło, bo społecznie to bardzo istotne. Gdybyśmy żyli w świecie, w którym wszyscy są narcystyczni, funkcjonowanie byłoby niezwykle trudne.

Mam intuicyjne poczucie, że dzisiaj osób z narcystycznymi skłonnościami jest coraz więcej. Psychologowie, ale też osoby, które były w bliskich relacjach z narcyzami, często mówią: „Jeśli spotkasz narcyzę, to uciekaj, bo są toksyczni, ranią, manipulują i wykorzystują innych”. Zgodzi się pan z takim stwierdzeniem?

Tak, to prawda; relacje z osobami narcystycznymi bywają bardzo trudne. Ciekawy jest tu pewien efekt: w krótkoterminowych relacjach, na przykład na początku związku, narcyz często działa niezwykle silnie na otoczenie. Jest czarujący, uwodzicielski, roztaacza wokół siebie aurę uroku. Na pierwszej randce potrafi zrobić ogromne wrażenie. Ale z czasem wychodzą na wierzch trudniejsze cechy:

skrajne skupienie na sobie, brak empatii, brak zdolności przyjęcia perspektywy drugiej osoby. A kiedy zwróci mu się uwagę, reaguje agresywnie i manipuluje. To klasyczne odwracanie ról: „To twoja wina, nie moja, to ty źle zrozumiałeś, ja jestem w porządku”. I to jest problem w takich relacjach. Początkowy urok bywa tak silny, że trudno dostrzec tę antagonizującą, agresywną stronę. Często ujawnia się dopiero po dłuższym czasie. To sprawia, że wiele osób tkwi w takich relacjach zbyt długo.

Pana badania wskazują, że wystarczy powiedzieć osobie narcystycznej, że jest inteligentna, albo po prostu skierować do niej komplement i natychmiast rośnie jej poczucie wyjątkowości. A jeśli usłyszysz krytykę, to poczucie natychmiast spada?

Tak właśnie jest.

Można więc powiedzieć, że narcyzi są uzależnieni od pochwał, od podziwu i uznania innych?

Dokładnie tak. To w ogóle jest taka cecha osobowości, która nie istnieje bez otoczenia. Narcyzm zawsze opiera się na porównywaniu się z innymi, więc osoba narcystyczna potrzebuje publiczności. Potrzebuje ludzi, którzy na niego patrzą. Czasami, zwłaszcza w tzw. narcyzmie wielkościowym, ta publiczność nie musi nawet chwalić, wystarczy, że go obserwuje. Sam fakt, że ktoś patrzy, daje narcyzowi przestrożę, by się popisować. Ale jeśli ktoś zaczyna podważać jego obraz samego siebie, kwestionować przekonanie o jego własnej wyjątkowości, to cała konstrukcja się chwieje i wtedy narcyz potrafi reagować agresją, obroną albo manipulacją.

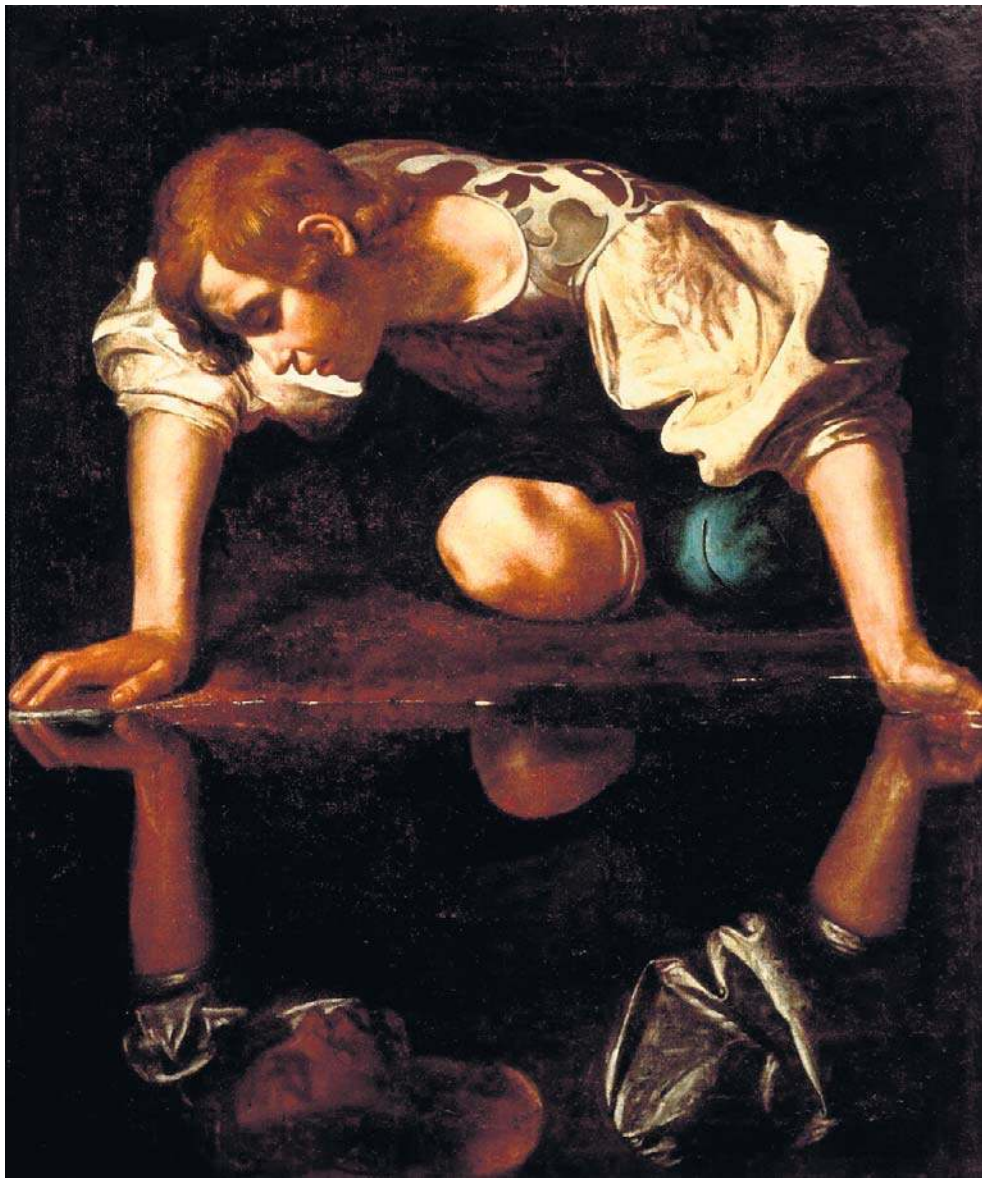
wał agresją, obroną albo manipulacją.

To rodzi pytanie: czy narcyz naprawdę kocha siebie? Psychologowie powtarzają dziś: „Kochaj siebie, stawiaj siebie na pierwszym miejscu, troszcz się o siebie”. Jak to się ma do narcyzmu? Czy narcyz naprawdę siebie kocha, czy raczej próbuje się o tym przekonać, szukając potwierdzenia w oczach innych?

To rzeczywiście dotyka bardzo ważnej różnicy. Psychologia mówi o czymś takim jak zdrowa miłość do siebie, która wiąże się ze zdrową samooceną. Zdrowa samoocena polega na tym, że myślę o sobie: „Jestem w porządku, jestem wartościowym człowiekiem, lubię siebie takim, jaki jestem”. I to jest absolutnie potrzebne dla zdrowia psychicznego. Natomiast w narcyzmie jest dodatkowy element. Narcyz też ma pozytywną samoocenę, ale żeby poczuć się naprawdę dobrze, musi być lepszy od innych. I to jest ta kluczowa różnica. W zdrowej samoocenie nie ma znaczenia, ile kto ma pieniędzy, sukcesów czy osiągnięć; ja po prostu czuję, że jestem wartościową osobą. W narcyzmie wartość opiera się na porównaniu: „Jestem wspaniały, bo inni są gorsi”. To niebezpieczne, bo uzależnia od stałego porównywania się i rywalizacji. Zdrowa samoocena daje spokój i poczucie własnej wartości niezależne od otoczenia, narcyzm natomiast sprawia, że jego „ja” wciąż musi być lepsze, większe, bardziej podziwiane.

Kilka razy byłem świadkiem sytuacji, w których osoby o skłonnościach narcystycz-

*.GDYBYŚMY ŻYLI W ŚWIECIE,
W KTÓRYM WSZYSTCY
SĄ NARCYSTYCZNI,
FUNKCJONOWANIE BYŁOBY
NIEZWYKLE TRUDNE*



FOT. CC

Prof. Marcin Zajenkowski: Zdrowe poczucie własnej wartości polega na tym, że czuję się ze sobą dobrze niezależnie od tego, co robią inni i jakie mają osiągnięcia

nych wręcz uwielbiały zawstydzac innych. Zamiast zapytać: „Czy czytałaś ten wiersz?”, „Znasz tę książkę?”, wydziwiali i robili zgorzzone miny: „No co ty, nie znasz tego? Jak można nie znać takich rzeczy, to elementarna wiedza”. Albo: „Jak można nie umieć jeść pałeczkami?”. Tak, właśnie tak się dzieje.

Co to oznacza? To taka opowieść pod tytułem: „Ty nie wiesz tego, co ja wiem, więc jestem od ciebie lepszy”? A może chodzi o to, że narcyzi w gruncie rzeczy sami bardzo się boją zawstydzania? Trafnie pani to zauważyła. Zawstydzanie kogoś od razu pokazuje hierarchię: „Ja jestem lepszy, bardziej jestem w świecie, znam się, a ty jesteś kimś gorszym, mniej wartościowym”. To szybki sposób na podcięcie własnej samooceny. Ale pytanie, czy oni sami nie czują się w podobny sposób. I tu wkraczamy w ciekawy obszar. W psychologii mówi się, że u podłoża narcyzmu często leży właśnie wstyd. Wstyd to tak zwana emocja samoświadoma; żeby ją przeżyć, musimy mieć już jakiś obraz siebie. Wielu narcyzów mogło doświadczać zawstydzania w dzieciństwie. Ten wstyd jest bardzo bolesny,

bywa wręcz dewastujący: „Jestem nikim, nie mam wartości”. Żeby go przykryć, pojawia się maska wielkości: „Jestem wyjątkowy, wspaniały, lepszy od innych”. To mechanizm obronny, który pozwala zepchnąć wstyd w cień. Nie mam jednoznacznej odpowiedzi, czy narcyzi zawstydzają innych dlatego, że sami tak się czują. Ale to możliwe. Ostatnio rozmawialiśmy o tym ze studentami, być może to właśnie taki mechanizm: narcyz zna wstyd i bardzo się go boi, więc próbuje przerzucić go na innych. Wywołuje u kogoś poczucie wstydu po to, by samemu na chwilę od niego uciec.

Nie ma pan wrażenia, że dzisiejszy świat sam w sobie jest narcystyczny? Że promuje, a nawet wymaga narcystycznych cech? Wystarczy spojrzeć na media społecznościowe: każdy może być twórcą, celebrytą. Są badania pokazujące, że jeśli ktoś napisze post bez zdjęcia, to prawie nikt go nie przeczyta. A kiedy dołoży zdjęcie, zwłaszcza własne, to zainteresowanie natychmiast rośnie. Współczesny świat promuje też sukces, wyjątkowość i samouwielbienie. Jak więc rozpoznać, gdzie kończy się zdrowa

pewność siebie, a zaczynają toksyczne zachowania czy wręcz zaburzenia? Wspomniałem już wcześniej, że ważne jest to, na ile w naszym obrazie siebie istotni są inni ludzie. Zdrowe poczucie własnej wartości polega na tym, że czuję się ze sobą dobrze niezależnie od tego, co robią inni i jakie mają osiągnięcia. Oczywiście każdy z nas porównuje się czasem do innych. To naturalne, ale nie może to być fundament naszej wartości. Mogę myśleć o sobie: „Jestem naukowcem, jestem ojcem, jestem kolegą”, i w różnych obszarach mam lepsze lub gorsze doświadczenia, ale ogólnie czuję się w porządku. To jest zdrowa samoocena. Natomiast narcyzm pojawia się wtedy, gdy moje poczucie wartości staje się uzależnione od tego, żeby wciąż udowodniać, że jestem lepszy. I to we wszystkim: w pracy, w sporcie, w byciu rodzicem, a nawet w hobby. Każda dziedzina staje się areną rywalizacji.

Że już nie wspomnę o poczuciu wyjątkowości w roli kochanka. Jak najbardziej, oczywiście.

Na czym polega trudność w relacji z narcyzem? Na tym, że druga osoba zawsze będzie

niewystarczająca? Cokolwiek by zrobiła, jak wielu komplementów by nie powiedziała, jak bardzo by nie podziwiała to i tak osobie narcystycznej nie wystarczy, bo on nieustannie potrzebuje więcej? Co można zrobić w takiej sytuacji?

To bardzo dobre pytanie, bo relacje z osobami narcystycznymi naprawdę bywają niezwykle trudne. Pojawia się też pytanie: czy w ogóle można zmienić osobę narcystyczną?

Można?

Mówi się, że przy silnym nasileniu narcyzmu można wyróżnić pewne fazy. Najbardziej znana to faza wielkościowa: popisywanie się, przekonanie o własnej wyjątkowości, arogancja. Ale obok niej pojawiają się momenty pustki i obniżonego nastroju. W pierwszej fazie osoby narcystyczne zwykle nie szukają pomocy. Uważają się za wspaniałe, więc nie widzą problemu. Ale kiedy przychodzi stan pustki, depresyjności, to może być moment, w którym zaczynają szukać wsparcia. Nie wiem, czy w relacjach też można liczyć na podobną dynamikę, ale być może tak. I może właśnie w tych chwilach kryzysu łatwiej jest się z narcyzem skomunikować i sprawić, by dostrzegł problem. A to jest absolutna podstawa: dopóki narcyz nie zauważy, że istnieje problem, trudno mówić o jakiegokolwiek zmianie.

No właśnie, to pytanie zasadnicze: czy narcyza można wyliczyć z narcyzmu? Czy istnieją terapie, które sprawią, że przestanie być osobą toksyczną, raniącą innych, manipulującą, używającą ludzi wyłącznie dla własnej korzyści? To chyba najtrudniejszy aspekt: kiedy narcyz traktuje drugiego człowieka instrumentalnie.

Tak właśnie jest. Szczerze mówiąc, nauka wciąż wie na ten temat stosunkowo niewiele. Badania nad skutecznością terapii w przypadku narcyzmu są trudne i nie dają jeszcze jednoznacznych odpowiedzi. Wiemy natomiast, że charakterystycznym mechanizmem narcyzmu jest manipulacja, czasami bardzo subtelna. To odwracanie sytuacji drobnymi gestami czy słowami, w taki sposób, że nagle to druga osoba czuje się winna, a narcyz przedstawia się jako ofiara. I jest to niezwykle obciążające w relacjach. Czy da się to zmienić? Trudno powiedzieć. Wiemy, że w terapii można nad tym pracować. Jednym z głównych celów jest to, by osoba narcystyczna zaczęła przyjmować perspektywę innych ludzi, bo właśnie z tym ma największy problem. Pytanie brzmi: na ile jest to możliwe? Być może czę-

ściowo tak, ale nie mamy jeszcze wystarczających danych, by mówić o pewności czy trwałości efektów.

Ale pana badania pokazują też, że każdy z nas nosi w sobie element narcyzmu.

Tak, ponieważ zajmuję się narcyzmem jako cechą osobowości. A to oznacza, że każdy z nas tę cechę ma, w mniejszym lub większym stopniu. Jedna osoba może mieć bardzo niski poziom, inna przeciętny, jeszcze inna bardzo wysoki. To naturalne spektrum. Czym innym są natomiast zaburzenia osobowości o charakterze narcystycznym. Te dotyczą skrajnie wysokiego nasilenia narcyzmu i powodują poważne trudności w codziennym funkcjonowaniu czy relacjach. Ja sam badam raczej populację ogólną, w której narcyzm jest obecny na różnych poziomach, od niskiego po wysoki. I w tym sensie każdy z nas ma w sobie coś z narcyza.

Wracając do relacji z osobami o cechach narcystycznych, to przecież nie zawsze muszą być związki romantyczne. Czasem to szef w pracy, który nie potrafi znieść sukcesu swoich pracowników. Albo ktoś, kto widząc nawet obcych, ale szczęśliwych ludzi, odczuwa wściekłość i natychmiast musi ich zdeprecjonować, poniżyć. Dlaczego narcyz nie może znieść, że ktoś się dobrze wiedzie? Że ktoś zdobył górski szczyt, napisał bestseller, że czyjś film dostał Oscara? To dlatego, że on sam nie jest chwalony?

To bardzo trafne przykłady. Tak właśnie działa ten mechanizm. Narcyz nie znosi sytuacji, w której nie jest w centrum uwagi. I to dosłownie. Wystarczy, że sukces odniesie ktoś zupełnie niezwiązany: znany reżyser, artysta czy sportowiec, a narcyz odbiera to jako zagrożenie dla własnej wyjątkowości. Taki sukces skrada mu część wielkości. Dlatego reakcją bywa zdeprecjonowanie, umniejszanie, podważanie wartości dokonań innych. Chodzi o to, by odzyskać poczucie, że „To ja jestem na świeczniku”. Podejrzewam, że na tym właśnie polega mechanizm obronny narcyzmu.

Jeśli chodzi o pana badania, to w którą stronę będą one teraz zmierzały?

Chcę kontynuować ten wątek. To ciekawe, bo narcyzm ma w psychologii już ponad sto lat tradycji, a to, jak na tę dziedzinę, bardzo długo. Ale dopiero w ostatnich latach pojawiła się intensywna fala badań empirycznych. Wciąż wiemy stosunkowo niewiele i jest bardzo dużo do odkrycia. Mnie interesuje przede wszystkim umysł narcy-

styczny. Zastanawiam się, w jaki sposób takie osoby postrzegają świat: jak działa ich pamięć, jak funkcjonuje uwaga, na jakie słowa i informacje reagują. Co sprawia, że budują w sobie właśnie taki obraz: obraz narcystyczny. To jest temat mojego najnowszego projektu badawczego.

W jaki sposób prowadzi pan badania? Bo przecież nie ogłasza pan: „Proszę, aby zgłaszały się do mnie osoby narcystyczne”.

No właśnie, dokładnie tak to nie wygląda. Skupiam się na narcyzmie jako cesze osobowości, a więc na czymś, co w mniejszym lub większym stopniu ma w sobie każdy z nas. Badamy więc po prostu wszystkich, którzy się zgłoszą do udziału w eksperymencie. Na początku określamy poziom narcyzmu, a potem porównujemy grupy: tych, którzy mają wynik wyższy, i tych, u których jest on niższy. Dzięki temu możemy obserwować różnice w funkcjonowaniu. Ale trzeba dodać, że badanie narcyzmu jest naukowo bardzo trudne. To cecha, która przejawia się często w subtelnych manipulacjach, drobnych reakcjach, delikatnych przesunięciach w sposobie myślenia. Wymaga to niezwykle precyzyjnych narzędzi badawczych, a także cierpliwości. Podobnie w relacjach: rozpoznanie takich zachowań wymaga u drugiej osoby dużej samoświadomości i odwagi, by odejść, jeśli narcyzm zaczyna ją ranić. I może właśnie to jest najważniejsza refleksja. Narcyzm fascynuje badaczy, bo dotyka czegoś bardzo ludzkiego: potrzeby bycia widzianym, docenianym, kochanym. W małej dawce to naturalne i nawet potrzebne. Ale kiedy przeradza się w dominację nad innymi, staje się destrukcyjne. Dlatego tak ważne jest, byśmy rozumieli, gdzie przebiega granica.

CV



Prof. Marcin Zajenkowski
Kierownik Pracowni Badań nad Inteligencją i Procesami Poznawczo-Emocjonalnymi na Wydziale Psychologii UW. Laureat tegorocznego Ig Nobla. To humorystyczny odpowiednik Nagrody Nobla za prace naukowe, które najpierw śmieszą, a potem skłaniają do myślenia.

SEKTA, KTÓRA MIAŁA ZBUDOWAĆ RAJ BEZ WOJEN. JAK HISTORIA WISSARIONA OPOWIADA O ROSJI PUTINA I NASZYCH LĘKACH?

W 1991 roku, gdy rozpada się ZSRR, były milicjant drogówki ogłasza się nowym Chrystusem. Tysiące ludzi porzucają dotychczasowe życie, by w tajdze budować świat bez przemocy. Tak rodzi się wspólnota wissarionowców – utopia, która z czasem okazuje się lustrzanym odbiciem systemu, przed którym miała chronić. Jędrzej Morawiecki, reporter i dokumentalista, w książce „Szykuj sanie latem” pokazuje, że losy Wissariona i jego wiernych to coś więcej niż opowieść o egzotycznej sekcie – to przestroga i metafora dzisiejszej Rosji, ale też ostrzeżenie dla nas samych

Jolanta Tęcza-Ćwierz

Historię „syberyjskiego Chrystusa”, Wissariona, śledził Pan przez ponad dwie dekady. Co sprawiło, że sekta stała się dla pana punktem wyjścia do napisania książki „Szykuj sanie latem”?

Tą sektą zająłem się jeszcze na studiach i od tamtej pory stała się ona bardzo ważnym elementem mojego życia. Pisałem doktorat o tej grupie, powstał też film „Syberyjski przewodnik”, współreżyserowany przez Macieja Migasa. Okazało się, że wissarionowcy stali się dla mnie czymś więcej niż tylko przedmiotem badań – oni są dla mnie punktem odniesienia, czymś, co mnie w jakimś sensie uformowało. W marcu 1999 roku po raz pierwszy spotkałem Siergieja Toropa, rosyjskiego mistyka, nazywanego Wissarionem. Był bardzo spektakularny – wyglądał jak Chrystus, tylko w takiej kiczowatej wersji. Poleciałem wtedy na Syberię, bo wcześniej, podróżując po Rosji, usłyszałem o nim: o byłym milicjancie drogówki, który nagle zrozumiał, że jest zbawicielem. I co więcej – udało mu się zebrać wokół siebie wiernych i utrzymać ich razem, na jednym obszarze. W połowie lat 90. XX wieku stworzył na południu Kraju Krasnojarskiego tzw. Strefę z Nowym Jeruzalem, gdzie mieszkało około trzech tysięcy osób.

Dlaczego właśnie teraz zdecydował się pan opublikować książkę o wissarionowcach – ponad dwadzieścia lat po pierwszej wyprawie do Strefy?

Po pierwsze dlatego, że poczułem, iż chcę do tego tematu wrócić i zmierzyć się z nim jeszcze raz, ale już w zupełnie nowej perspektywie i w nowych warunkach. Wtedy istniał jeszcze tamten Wschód – taki, w którym wielu ludzi wy-



W marcu 1999 roku spotkałem Siergieja Toropa, nazywanego Wissarionem. Miał przynieść świat bez wojen

obrażało sobie, że świat może pójść w jakąś lepszą stronę, że jest nadzieja na coś innego. A dziś widzimy, że poszedł w bardzo złym kierunku. Oczywiście nigdy nie było jednego Wschodu, teraz doskonale to rozumiemy. Kiedy zaczynałem jeździć do wissarionowców, wielu ludzi wrzucało Ukrainę, Białoruś, Rosję, Azję Centralną do jednego worka. Dziś jesteśmy w zupełnie innym momencie. Trwa wojna. I pomyślałem o Wissarionie ponownie – patrząc na to, jak ci ludzie wierzyli, że stworzą świat bez wojen, że Rosja stworzy świat bez wojen. A teraz nagle okazuje się, że to wszystko jest opowieścią o czymś szerszym. Nie wiem, czy można to nazwać alegorią, ale na pewno jest to metafora tego, co stało

się ze Wschodem i z Rosją. Doszliśmy do momentu, w którym istnieją dwie strefy, dwie zony. Słowo zona kojarzy się Rosjanom z więzieniem, i dla nich samych było to dziwne, że używają tego słowa, nazywając tak miejsce w tajdze. Ja zazwyczaj tłumaczę to jako strefa, ale oni sami mówili zona. I dziś tą szerszą zoną stał się Ruskim Mir. To był mój punkt wyjścia – postanowiłem spojrzeć na tę historię jeszcze raz i osadzić ją w nowym kontekście, wiedząc, że do Rosji już nie mogę wjechać. Pomyślałem, że właśnie teraz trzeba o tym opowiedzieć. Bo to jest opowieść o bankructwie nadziei, o iluzjach, o bardzo mrocznym świecie, który powstał. I w finale – to jest historia zarówno wissarionowców, jak i szerzej całego świata,

który ostatecznie stał się Ruskim Mirem, do którego kiedyś jeździłem.

Był pan w Strefie pięciokrotnie. Jakie emocje wracają do pana najmocniej i co najbardziej zaskoczyło Pana w ludziach, którzy porzucili wszystko, by podążać za „syberyjskim Chrystusem”?

W książce starałem się odwołać różnorodność tych emocji. Na początku czułem ekscytację i strach. Wyobrażałem sobie, że wjeżdżam do sekty totalitarnej, że będę musiał obserwować życie jej członków, a później może nawet uciekać. To było naiwne. Szybko zrozumiałem, że nie ma ucieczki – droga w tajgę prowadzi tylko w jednym kierunku. Trzeba było z tymi ludźmi grać uczci-

wie i przyznać się, kim jestem. Powiedziałem, że nie obiecuję opowieści idealnej, ale nie zamierzam ich oczerniać. To otworzyło wiele drzwi i pozwoliło mi zdekonstruować klasyczny stereotyp sekty. Chciałem zrozumieć początkową euforię tych ludzi. To był też czas bardzo intensywnych doznań, od takich najprostszych – ostre, syberyjskie powietrze, szerokie niebo, smaki wegańskich potraw. Do tego świadomość, że tajga ciągnie się setki kilometrów, i że w tym świecie tracę punkty odniesienia zewnętrznego. Chciałem pojąć, jak możliwe było, że ci ludzie zostali w Strefie, wierząc w Wissariona, który dla nich był Chrystusem, mimo że ich rodziny mówiły „nie”. W pewnym momencie sam przesta-

wałem rozróżniać, co jest realne. Przeżyłem tamtą Rosję, zupełnie inną niż ta dzisiaj. Nie da się tego sprowadzić do prostych schematów: „Ruscy tak mają, więc napadają na innych”. Każdy z nas mógłby zostawić swój świat i wejść do innego. Każdy nosi w sobie tęsknotę za poczuciem bezpieczeństwa – oni zdecydowali się zapłacić za to bardzo wysoką cenę. Pod koniec moich wyjazdów do Strefy towarzyszył mi smutek. Wiedziałem, że kiedy już wrośłem w tę rzeczywistość i poznałem ludzi, moje zdanie w pewnym stopniu zaczynało wpływać na ich decyzje. To były dylematy etyczne. Smutek brał się z tego, że widziałem, jak ludzie, którzy za-inwestowali w Wissariona całe życie, nagle obserwują odtwarzanie świata, od którego uciekali.

W czym wspólnota wissarionowców przypomina dzisiejszą Rosję pod rządami Putina?

Kiedy zaczynałem jeździć do Strefy, bardzo starałem się unikać takiego porównania. Od początku wielu Rosjan pytało mnie, czy nie widzę, że to, co tworzą wissarionowcy, wierząc w byłego milicjanta drogówki ogłaszającego się Chrystusem, przypomina Związek Radziecki. Ten klucz interpretacyjny wydawał mi się zbyt prosty. Chciałem raczej zrozumieć, co ci ludzie próbują stworzyć, dlaczego porzucili swoje kariery i dotychczasowe życie. Ale te podobieństwa wciąż powracały. W książce przywołuję scenę, gdy znajomy jednego z pionierów religijnych mówi mi: „Ale to wszystko, co opowiadasz, to przecież kotłochoz, my to już przeżyliśmy”. I miał rację. Źródłem było kilka – z jednej strony tęsknota za Związkiem Radzieckim, z drugiej ucieczka od chaosu lat 90., kryminalnych struktur, nierówności. Jednak wissarionowcy wierzyli, że tworzą utopię.



Wissarion był bardzo spektakularny – wyglądał jak Chrystus, tylko w takiej kiczowatej wersji

Z czasem, jak to w sektach bywa, od euforii przeszli do komercjalizacji i odtwarzania nierówności społecznych. Zgadzali się na twardą władzę, choć przyszli po wolność. Oddawali ją – łącznie z wolnością myśli – w imię nadrzędnego autorytetu. I to właśnie przypomina dzisiejszą Rosję: autocenzura, godzenie się na sprzeczności, na niespójny system, w którym dziki kapitalizm miesza się z nostalgią za ZSRR i pochwałą stalinowskiego terroru. Pamiętam, jak Tania Denisowa, artystka związana z Bułatem Okudżawą (w każdym razie tak o sobie mówiła), oburzyła się, że w filmie pokazujemy chłopca z niepełnosprawnością. Powiedziała: „Nie wolno takich rzeczy pokazywać, trzeba pokazywać ładne dzieci”. To była klasyczna cenzura, jaką znamy z komunizmu. I tak jak część wissarionowców nie widzi sprzeczności, popierając dziś Putina, tak ich świat, który miał być alternatywą, okazał się idealnie wpasowany w system.

W tytule przywołuje pan powiedzenie „szykuj sianie latem” i pisze, że szykować można tylko samego siebie. Czy ta książka jest formą przygotowania siebie i czytelników na przyszłość?

To zdanie wypowiedziała jedna z moich bohaterów, która doświadczyła rozpadu swojego świata, tej zimy, która przyszła. Niektórzy mówią, że te „sianie” to coś innego i próbują się jakoś przygotować. Podobnie jak dziś ludzie, bojąc się wojny, pakują plecaki ewakuacyjne. Ja sam nie wiem, czy da się przygotować na przyszłość. Być może „szykowanie sian” jest przekleństwem – bo część bohaterów, również wśród wissarionowców – pogodziła się z katastrofą. Kiedy Wissarion został aresztowany przez

Putina i skazany na jedenaście lat, powiedzieli: tak miało być, przyszła zima, klęska, trudno. Podobnie jest z Ukrainą – tam świat płonie, ludzie uciekają i nie ma tu łatwych ocen. Ale dla tych, których katastrofą było nadejście systemu totalitarnego, to usprawiedliwienie: mówią, że jedyne, co można zrobić, to znaleźć kryjówkę, przygotować się na nieuniknione, bo katastrofa i tak przyjdzie. To nie jest książka z tezą. Nie wiem, czy można się przygotować na wojnę. Bardziej boję się, że system autorytarny może przyjść także do nas – i że część ludzi odda wolność za „bajkę”, tak jak wissarionowcy. W Strefie czuli się bezpiecznie, bo rzeczywistość była prosta, bez trudnych pytań i zagorzałych dyskusji o wartościach. Myślę, że taka może być ta „zima”. Tyle że w przeciwieństwie do zimy przyrodniczej mamy na nią większy wpływ i można mieć nadzieję, że jednak nie nadejdzie. Ta opowieść jest o świecie, który rozpadł się na wschód od nas. I mimo, że ja osobiście ciągle uważam, że świat nie jest deterministyczny, to ci, którzy ostrzegali: „Przyjdzie katastrofa”, dziś mogą powiedzieć: „A nie mówiłem?”.

Czy i w jaki sposób doświadczenia z tajgi pomagają panu dziś rozumieć rosyjską inwazję na Ukrainę?

Wissarionowcy byli wspólnotą utopijną i pacyfistyczną, ich fundamentem był świat bez wojen. Dlatego kiedy postanowiłem odnaleźć wissarionowców, nie miałem pojęcia, jak oni tłumaczą sobie to, że Rosja zaatakowała Ukrainę. Szczerze mówiąc, byłem ciekaw, jak zareagują, gdy rzeczywistość całkowicie zaprzeczy ich wierzeniom. Wissarion został aresztowany przez Putina, potem uwięziony, a wojna trwa. To wszystko wydawało się zde-

konstruować ich świat. Podróżując po Rosji, teraz nazywanej Ruskim Mirem, widziałem coś, co dziś widać wyraźnie – przekonanie wielu ludzi, że Rosja „wyzwała świat”. Spotykałem osoby, które uważały, że cały świat to szachownica, „Solidarność” była stworzona przez CIA i wszystko jest grą służb. Wissarionowcy mieli podobną „kosmiczną grę”, tylko że kluczową figurą był Wissarion. Teraz część ludzi uznaje, że takim symbolem jest Putin. To, co pomaga mi zrozumieć Rosję dzisiaj, to mechanizm oddawania wolności. W Strefie obserwowałem autocenzurę: ludzie powtarzali, że są wolni, a jednocześnie kontrolowali się nawzajem, donosili na siebie, uczestniczyli w zebraniach przypominających kolektywną spowiedź. Wierzyli, że formują nową psychikę i mentalność, i godzili się, by kolektyw nad nimi panował. Z wolności lat dziewięćdziesiątych w tajdze szybko zrezygnowali na rzecz struktury wyższej władzy. W książce przytaczam przykład ojca żyjącego w Moskwie, który mówi do córki bombardowanej w Odessie: „My was wyzwalamy”. Ona odpowiada: „Przecież lecą bomby”. A on: „Nie masz racji”. Rozumiem, skąd to się bierze – to efekt rezygnacji z wolności, podporządkowania się jednemu kanałowi informacji i przekonaniu, że to, co mówi władza, jest prawdą.

Wissarion obiecywał świat bez przemocy, Putin obiecuje mocarstwo – a oba projekty kończą się opresją. Co te dwie obietnice mówią o współczesnej rosyjskiej duszy?

Uciekam od określenia „rosyjska dusza”. Bywało używane albo z zachwytem, jako coś tajemniczego i niewytłumaczalnego, albo deterministycznie – że Rosjanie „tacy są” i pewne zachowania mają w genach. A przecież nie ma jednej rosyj-



Wszyscy ukłękli na śniegu, tworząc krąg i obejmując świat, żeby nie było tego, co w Afganistanie czy Czeczenii

skiej duszy: żyją tam mniejszości, jak Jakuci, Buriaci, Tuwińcy, są ci, którzy uciekli z Rosji, są również tacy jak moja bohaterka, która mieszkała długo w Ukrainie, ale ma też rosyjskie obywatelstwo, a jej ojciec mówił, że ją „wyzwał”. O duszy kogo mówimy – jego czy jej? Jest jednak coś, co łączy doświadczenie wissarionowców i szerszego Ruskiego Miru. To silne ukształtowanie przez Związek Radziecki: pamięć terroru, zgoda na przemoc, pogarda dla elit i przekonanie o własnej niewielkiej sprawczości. Wissarionowcy próbowali się z tego wyrwać – wierzyli, że mają moc stworzyć świat bez wojen. Ale przegrali i zanurzyli się z powrotem w logice Ruskiego Miru. Ta porażka dziecka rzeczywistości nie determinuje jednak wszystkiego – przykładem jest Ukraina. Ci sami ludzie, ukształtowani w tym samym świecie, spróbowali pójść inną drogą. I płać dziś za to ogromną cenę. Dla Putina to nie do zaakceptowania: sukces Ukrainy podważyłby jego wizję nowej Strefy, którą zbudował. Dlatego Ukraincom nie może się udać.

Pisze pan, że niektórzy z nich chcieli mówić „bez końca”. Dlaczego ludzie uciekający od świata tak bardzo pragną opowiedzieć swoje historie? Jak pan się czuł jako reporter, który jednocześnie był świadkiem ich marzeń i ich tragedii?

Najbardziej chcieli mówić ci, którzy doświadczyli wojny. W moim życiu były dwa punkty graniczne, które mnie tego nauczyły. Pierwszy to wyjazd do wissarionowców, drugi – wyjazd na Donbas, jeszcze przed pełnoskalową wojną w Ukrainie. To były momenty, kiedy musiałem się nauczyć rozmawiać z ludźmi na nowo. Tak jak w sekcje – najpierw obserwować, zrozumieć, kim sam tam jestem i jak powinienem się zachowywać. Na Don-

basie okazało się, że wojna, choć w pewnym sensie – jakby to strasznie nie zabrzmiało – jest doświadczeniem banalnym, bo towarzyszy nam przez całą historię, to jednocześnie jest czymś niewytłumaczalnym i strasznym. I mimo że wojny ciągle są obok nas, nie chcemy o nich słuchać. Zwłaszcza o tym, co w nich najbardziej, najboleśniej, nieheroiczne. Nie o obrazach znanych z gier, z kina czy z bohaterkich narracji, ale o tym, o czym opowiadały uchodźczynie, które spotykałem w drodze do wissarionowców: o PTSD, o traumach, o rozdwojeniu rzeczywistości, o fantomowym bólu świata, którego już nie ma, a w którym wciąż próbujesz się odnaleźć. One mówiły i mówiły, bo nikt ich nie słuchał. Nikt nie chciał tych opowieści przyjąć, bo to nie są fajne, łatwe tematy. O wojnie zaczynamy słuchać tylko wtedy, gdy się jej boimy, gdy jest blisko. Potem znów odrzucamy jej perspektywę. Tymczasem to są historie ludzi z różnych światów, o różnym statusie społecznym, ale połączonych doświadczeniem rozpadu: mówią, że ich świat już nie ma. Nie ma ich bloku, nie ma ławeczki, nie ma dokąd wrócić. Dlatego opowiadali bez końca. A ja w pewnym momencie nie byłem już w stanie słuchać.

Co chciałby pan, aby czytelnicy zabrali ze sobą z tej książki – po lekturze, ale może też dużo później, kiedy wróci do nich jej sens?

Oczywiście myślę o tym, że chciałbym dobrego życia dla tej książki. Żeby okazało się, że mikroświat, który stworzyłem, nie jest jednoznaczny opowieścią z tezą, tylko światem, w którym można się zanurzyć i samemu szukać znaczeń, wyciągać własne wnioski, odnajdywać się w tej przestrzeni. Trochę jak w SimRu-

sie, który celowo napisałem w poetyce gry, ale szerzej, nie tylko jako gra, raczej jako zaproszenie do doświadczenia innej rzeczywistości. Chciałbym, żeby czytelnik naprawdę dał się temu światu, choćby na chwilę, pochłonię. Jeśli będzie tak, że dzięki tej książce bardziej przekonamy się, jak groźne są twarde narracje, takie, które zamykają, które dają gotowe odpowiedzi i redukują wszystko do prostych schematów – to będzie dla mnie najważniejsze. Bo to zawsze kończy się odrzuceniem dyskusji, rezygnacją z wolności w imię bezpieczeństwa i przyjęciem bajki, która wydaje się prosta, ale w gruncie rzeczy okazuje się opowieścią autorytarną albo nawet totalitarną. Jeżeli ta książka sprawi, że ktoś się zatrzyma i pomyśli: „może jednak nie warto iść w stronę prostych odpowiedzi”, to będzie ogromnie dużo. Bo jeśli pamiętamy, jak ważna jest wolność, wieloznaczność, różnorodność perspektyw, wtedy latem nie musimy szykować żadnych sian na zimę.

CV



Jędrzej Morawiecki „Szykuj sianie latem. Syberyjski mesjasz i podróż do kresu rosyjskiego snu o zbawieniu” Wyd. Litera Nova.

ADAM ZADWORNY: TRAGEDIA HEWELIUSZA TO WCIĄŻ NIEPRZEPRACOWANA TRAUMA

Rozmowa z Adamem Zadwornym, autorem książki „Heweliusz. Tajemnica katastrofy na Bałtyku”, która ukazała się w listopadzie 2024 roku i właśnie została nominowana do finałowej piątki w konkursie na najlepszą książkę reporterską 2024 roku na X Festiwalu Reportażu w Lublinie. A na początku listopada na platformie Netflix pojawi się serial o Heweliuszu

Bogna Skarul

Od naszej pierwszej rozmowy na temat twojej książki o katastrofie Heweliusza minęło trochę czasu. Czy od tego momentu coś ciekawego się zdarzyło?

Muszę przyznać, że choć byłem zadowolony z efektu pracy nad tym tematem i znałem reakcje pierwszych osób, które czytały moją książkę, w tym ludzi z wydawnictwa Czarne, to zaskoczył mnie tak wielki ruch wokół niej. Dobrze się więc stało, że jej premiera o rok wyprzedziła premierę serialu Netfliksa, bo nikt mi nie zarzuci, że popularność mojego „Heweliusza” to zasługa dzieła Kaspera Bajona i Jana Holoubka (śmiech). Okazało się też, że wciąż muszę wkładać w ten temat nieco pracy i emocji, bo cały czas gdzieś mnie zapraszają. Jestem po ponad 20 spotkaniach autorskich w różnych miastach, byłem na kilku festiwalach i mam zaplanowane kolejne.

Dlaczego jesteś zaskoczony zainteresowaniem książką?

Chyba nie doceniłem tego, jak głęboko ta historia tkwi w ludziach, i to nie tylko na Wybrzeżu. Choć w trakcie pisania pojąłem, że Heweliusz, z jego podskórnym życiem, którym rządziła „spółdzielnia pokładowa” przemytników, z całą tą historią wypadków, płynący tej nocy - mimo ostrzeżeń z innych promów - wprost w huragan, jest trochę metaforą tamtej Polski pierwszej połowy lat 90. Widać duże zainteresowanie początkami III Rzeczypospolitej w literaturze i filmie, sięgają po nie różni twórcy, popularne są na przykład kryminały osadzone w tamtych czasach. Oczywiście to zainteresowanie moją książką bardzo mnie cieszy.



Jakie były dla ciebie te spotkania autorskie?

Bywam z reguły w instytucjach kultury, bibliotekach, na festiwalach, takich jak na przykład Non Fiction w Gdyni. Ale zaproszono mnie też na spotkanie do szczecińskiego klubu kapi-tanów żeglugi wielkiej. Trochę się go bałem, bo wilki morskie, fachowcy łatwo znajdą jakąś nieścisłość, wytkną jakieś uproszczenia, które czasami musiałem stosować, bo sprawa katastrofy Heweliusza i procesów przed Izdami Morskimi to także opinie biegłych, skomplikowane ekspertyzy. Zostałem jednak dobrze przyjęty i chyba nie tylko dlatego, że sam jestem synem kapitana. Miałem spotkania na Wybrzeżu, ale też głęboko w Polsce. Te w Gdańsku, Gdyni, Sopocie czy Świnoujściu są inne, bo przychodzi spory odsetek ludzi, którzy czują jakiś osobisty związek z tą tragedią.

Dużo ich przychodzi?

Dużo. Na przykład koledzy i koleżanki dzieci ofiar - marynarzy. Mówią na przykład, że chodzili do podstawówki z dziećmi stewardessy Teresy Sienkiewicz, która zatrudniła się na statku, żeby utrzymać dwójkę dzieci, bo wcześniej mąż, pierwszy oficer, zmarł na zawał na statku w Rotterdamie. Jej ciała nie odnaleziono. Albo pojawia się ktoś, kto znał bosmana czy mechanika. Przychoǳą także dalekie rodziny ofiar katastrofy, zarówno tych z załogi, jak i pasażerów. Na spotkaniach są też ludzie, którzy pływali na bałtyckich promach, a także piloci śmigłowców z bazy Marynarki Wojennej w Darłowie, którzy w dniu katastrofy nie mogli na czas wy-

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

startować, bo wciąż bezradnie czekali na rozkaz przełożonych i do dzisiaj to przeżywają. Nawet na ostatnim spotkaniu, w połowie września, podczas Gdańskich Targów Książki w Europejskim Centrum Solidarności, podszedł do mnie po spotkaniu mężczyzna, który powiedział, że on właśnie siedział w jednym z tych helikopterów i czekał na pozwolenie na start. Albo kilka dni temu odnalazł mnie starszy pan, który - jak się okazuje - był nadzorcą budowy promu m/f Jan Heweliusz w norweskiej stoczni. Później pływał jako starszy mechanik na tym promie.

Co ci powiedział?

Użył słów „Panie, ten prom cały czas nam się przewracał”. Podczas innego spotkania podszedł do mnie pewien kapitan żeglugi wielkiej, który jest też ławnikiem w Izbie Morskiej. Powiedział mi, że jedna z teorii, która się pojawia w mojej książce, taka, której nie znajdziemy w oficjalnych aktach, może być prawdziwa.

O jaką teorię chodzi?

O tę, która mówi, że na statku była pewnego rodzaju zmowa niektórych marynarzy, wynikająca z chęci ułatwienia sobie pracy.

Czyli?

Jej uczestnicy czasami nie zamykali zaworu systemu antyprzechyłowego, bo aby go zamknąć, trzeba było zejść na sam dół statku i ponad osiemdziesiąt razy obrócić takim wielkim stalowym pokrętkiem. Według niektórych ludzi, z którymi rozmawiałem, ci marynarze uważali, że to nie jest konieczne i zaworu nie zamykali. I jest taka teoria, że tej nocy, podczas huraganu, kiedy zbiegło się kilka czynników, to niezamknięcie tego zaworu mogło przyczynić się do katastrofy.

Ciekawe...

Ten ławnik, kapitan, powiedział, że jego zdaniem niezamknięcie zaworu i w konsekwencji tego grawitacyjne przelanie się wody rurami systemu antyprzechyłowego na przechyłoną już o 30 stopni lewą burtę gwałtownie pogłębiło ten przechył. A rosnący przechył, jak wiemy, spowodował przewrócenie się tirów i wagonów kolejowych - to doprowadziło do położenia się promu na lewej burcie, a potem wywrócenia statku do góry dnem.

To może w ten sposób masz materiał na kolejną książkę o katastrofie Heweliusza?

Rzeczywiście pojawiają się nowe pytania, ale nie łudzę się już, że ktoś znajdzie na nie odpowiedzi. Nie ma w tym potencjału na odrębną książkę,



a ja nie zamierzam stać się specjalistą od katastrof. Chciałem napisać książkę o tamtej Polsce, dysfunkcyjnym państwie, oficjalnych kłamstwach, o tym, jak ludzie zachowują się w sytuacjach skrajnych, o krzywdzie wdów, o tym, jak powstają teorie spiskowe. Chciałem też oddać sprawiedliwość pasażerom, którzy przez lata byli tylko anonimową liczbą 35, choć w rzeczywistości zginęło ich 36...

Pewnie czytelnicy będą zadowoleni!

Zainteresowanych uspokoję. To nie jest całkowity koniec mojej pracy nad Heweliuszem.

Oooo!

Dostałem propozycję pracy nad filmem dokumentalnym, a konkretnie nad jego scenariuszem. Produkcja trwa, reżyseruje Ernest Saj ze Szczecina.

Kiedy premiera?

Późną jesienią tego roku. Mogę jedynie zdradzić, że znajduję się w nim niektóre nowe wątki, które pojawiły się już po ukazaniu się książki, a ważną częścią osi narracyjnej tego filmu będzie wyprawa na miejsce katastrofy, między innymi z ekipą nurków, ale nie tylko.

Czy ty też będziesz nurkował?

Mimo to że jestem nurkiem, to tym razem nie zanurkuję. Bo to nurkowanie, ze względu na temperaturę wody na tej głębokości, musi odbywać się w suchym skafandrze, a ja nie mam takich uprawnień. Nurkuję na podobnych głębokościach, ale w ciepłych wodach, na przykład Morzu Czerwonym.

Ten film dokumentalny jakoś się zbiegnie z emisją filmu fabularnego Netfliksa?

Tak, on będzie miał premierę na jedynce w TVP i prawdopodobnie nałoży się z premierą Netfliksa, który, jak widzimy, umiejętnie stopniuje napięcie związane z tą superprodukcją.

A w czasie spotkań autor-skich czytelnicy pytali cię o film o katastrofie?

Bardzo często. Zostałem na przykład zaproszony do Biblioteki Miejskiej w Nowej Soli. Trochę byłem tamtejszym niezwykle żywym zainteresowaniem Heweliuszem zaskoczony, bo Nowa Sól, jak wiadomo, nad morzem nie leży. Lecz na miejscu okazało się, że Magdalena Rózcza jest nowosolanką, a to ona gra ważną rolę w serialu Netfliksa. Gra żonę kapitana Andrzeja Ułasiewicza walczącą o honor męża w salach sądowych, w izbach morskich w Szczecinie i w Gdyni. I Nowa Sól o tym wie, zresztą pani Rózcza bywa regularnie w swoim rodzinnym miasteczku.

Widziałeś choć fragment serialu o katastrofie?

Jeszcze nie, poza trailerem, ale słyszałem od naszego kolegi Czarka Łazarewicza, który widział wszystkie odcinki, że ten serial jest bardzo dobry. Pamiętajmy jednak, że każdy scenariusz filmu fabularnego to fikcja literacka. Wiemy, że Borys Szyc gra kapitana Andrzeja Ułasiewicza i występuje w filmie pod prawdziwym nazwiskiem dowódcy Heweliusza. Ale w filmie będą też zapewne postaci wymyślone. Filmmowcy muszą stosować uproszczenia i nie ma w tym nic złego, bo taki jest język filmu. Czasami lepiej jakąś postać z kilku innych, prawdziwych postaci, lub nadają jej tylko pewne cechy, które miał pierwowzór. W mojej książce,

a to reportaż literacki, a nie na przykład beletrystka, są konkretni ludzie i wyłączenie sceny, które miały miejsce. Te, których nie byłem pewien, wyrzuciłem. Z niecierpliwością czekam jednak na ten serial, który na pewno będzie hitem.

A masz jakiś wątek, jakąś sprawę, której jesteś ciekawy - jak została w filmie pokazana, jak oni w filmie sobie z tą sprawą poradzili?

Mam. To zresztą dla mnie jako syna kapitana było bardzo ważne i dużo się nad tym zastanawiałem. Interesuje mnie, jak mogły wyglądać ostatnie chwile Andrzeja Ułasiewicza. Bo mamy do czynienia z jedynym po II wojnie światowej polskim kapitanem marynarki, który, nie tylko moim zdaniem, światu poszedł na dno ze swoim statkiem. Wiemy, że trzeci oficer Janusz Lewandowski zapytał go, czy może się ewakuować. Wziął skafander termiczny za zgodą kapitana, który zdążył jeszcze pożegnać swojego oficera słowami: „A idź pan, panie Jasiu, tylko uważaj pan na szyby”. A szyby na mostku były już zbite wielkimi falami. Pozostał sam na pokładzie z UKF-ką w ręku. Z tą UKF-ką w zaciśniętej dłoni wyłowiono go po dwóch tygodniach z wraku. Zastanawiałem się więc, jeszcze na etapie pisania książki, jak te chwile mogły wyglądać. Kiedy on podjął taką decyzję? No i, wracając do twojego pytania, jestem bardzo ciekaw, jak to zagra Borys Szyc.

A teraz, po licznych spotkaniach z czytelnikami, po tym, jak sam zauważyłeś spore zainteresowanie i tym serialem, i książką, nie zastanawiasz się, czy aby to wszystko, co się dzieje wokół

tragedii Heweliusza sprzed przecież 32 lat, czegoś o naszym społeczeństwie nie mówi? Może mówi, że lubimy mity, a może, że lubimy tajemnice i odkrywanie historii.

Każda wielka produkcja telewizyjna wzbudza emocję, kręci ludzi. Pamiętam, że jako mały chłopak przysłuchiwałem się wielkiej dyskusji z lat 70. nad tym, kto ma zagrać Izabelę Łęcką w serialowej „Lalce”. I to, że grała ją Małgorzata Braunek, to się nie spodobało części ówczesnego społeczeństwa. Ale sprawa tragedii Heweliusza to nie powieść, tylko prawdziwa historia, dla niektórych bardzo bolesna. Zauważ, że przy poprzednich serialach tego duetu filmowego Bajon-Holoubek, czyli świetnej „Wielkiej Wodzie”, opowiadającej historię powodzi z 1997 r. we Wrocławiu, czy

kryminalnym „Rojście” nie było aż tak wielkich emocji przed premierą. Myślę, że w Heweliuszu jest coś więcej, w jego historii, jak w powieści szkatułkowej, jest zamkniętych więcej ważnych historii. Zainteresowanie Heweliuszem to także efekt nagromadzenia tajemnic wokół tej sprawy. Jeśli ludzie czują, że państwo i jego instytucje coś skrywają, to jest to dobry klimat dla teorii spiskowych. A żyjemy w czasach, kiedy coraz mniej ludzi wierzy w szczepionki, a coraz więcej w to, że ziemia jest płaska. Na każdym spotkaniu jestem pytany o teorie spiskowe, na przykład broń na pokładzie Heweliusza, choć to kompletna bzdura.

Czy może po napisaniu książki o katastrofie Heweliusza nie złapałeś już tego bakcyla odkrywania tajemnic?

Raczej nie. Heweliusza pomalutku odkładałem na półkę i skupię się na nowej książce, którą piszę dla tego samego wydawnictwa Czarne. To będzie coś w rodzaju antybalady o Szczecinie, także non fiction, ale z akcją na wielu płaszczyznach czasowych.

Kiedy premiera?

Umówiłem się z wydawnictwem na konkretny termin, ale źle oszacowałem czas potrzebny do napisania tej książki, więc jeszcze trochę to potrwa.

Będziesz na szczecińskiej premierze serialu Netfliksa o Heweliuszu?

Jeszcze nie wiem, ale myślę, że Szczecinowi ta prapremiera się należy, bo sprawa tej katastrofy to ważny element naszej historii najnowszej i nieprzepracowana trauma.

©P

SZCZECINIANIE PIERWSI ZOBACZĄ SERIAL

Zanim 5 listopada „Heweliusz” zadebiutuje na Netflixie, to właśnie mieszkańcy Szczecina i regionu jako pierwsi na świecie będą mogli obejrzeć dwa pierwsze odcinki serialu oraz spotkać twórców i obsadę.

W sobotę 18 października o godz. 17 w Filharmonii im. Mieczysława Karłowicza w Szczecinie odbędzie się przedpremierowy pokaz wyczekiwanej produkcji Netfliksa.

Po projekcji z widzami spotkają się m.in. reżyser Jan Holoubek, producentka Anna Kępińska, scenarzysta Kasper Bajon oraz odtwórcy jednych z głównych ról – Magdalena Rózcza i Konrad Eleryk.

Przedpremierowa projekcja w Szczecinie ma szczególny wymiar – to tutaj serialowa historia „Heweliusza” po raz pierwszy spotka się z miejscem, gdzie pamięć o tragedii oraz losach ludzi morza jest szczególnie obecna, a sama opowieść zyskuje wyjątkowe znaczenie właśnie nad Bałtykiem.

Bezpłatne zaproszenia na pokazy serialu Heweliusz będzie można odebrać (odpowiadając na jedno proste pytanie) 11 października w godzinach 12-16 w Filharmonii im. Mieczysława Karłowicza w Szczecinie. Jedna osoba może otrzymać maksymalnie dwa zaproszenia na jeden z pokazów. Liczba miejsc jest ograniczona.

Agata Maksymiuk

PETTEGREE: KSIĄŻKI TO JEDNA Z GŁÓWNYCH OFIAR WOJNY

Procedury dotyczące ochrony starodruków zaczęto tworzyć pod koniec I wojny światowej – mówi prof. Andrew Pettegree, historyk na Uniwersytecie St Andrews, autor książki „Książka na wojnie. Czytanie w ogniu walki”

Agaton Koziński

Co łączy książki i wojnę?

Ten związek staje się czytelny od przełomu XIX i XX wieku. Wcześniej zdecydowana większość ludzi na Ziemi nie umiała czytać, więc książki nie mogły mieć zbyt dużego wpływu. Zaangażowanie można osiągnąć tylko wtedy, gdy społeczeństwo jest piśmienne. Właśnie w tym kontekście książki stały się ważne w czasie dwóch wojen światowych.

Trwa wojna na Ukrainie, a także między Iranem a Izraelem. Ale nie ma mowy o książkach, jedynie o nalotach, dronach i liniach frontu.

Jedną z interesujących rzeczy dotyczących wojny na Ukrainie jest to, że pod wieloma względami jest to wojna XXI wieku – widać to choćby po wykorzystaniu nowych rodzajów broni jak na przykład drony. Ale pod wieloma względami jest to też to wojna bardzo XX-wieczna, jakby wyjęta z książek o tamtym stuleciu. Co chwila czytamy historię o ludziach, którzy uciekając przed zbliżającym się frontem, porzucają własne domy, prywatne kolekcje. Czytamy o Rosjanach atakujących biblioteki, tak jak robili to w pierwszej fazie wojny, czy wywożących ukraińskie książki z bibliotek publicznych. Czytamy też o Ukraińcach oddających swoje książki do makulatury, jeśli są one w języku rosyjskim. A jeszcze przed rozpoczęciem wojny Rosjanie wydali całą serię antyukraińskich książek. Dokładnie tak samo jak Niemcy, którzy przed 1939 r. masowo wydawali publikacje kolportujące antypolskie idee.

Podkreśla Pan rolę książek w kształtowaniu opinii publicznej na temat ideologii. Ale czy nadal uważa je Pan,

za tak samo ważne jak przed II wojną światową?

Oczywiście, dziś one nie mają już takiego znaczenia jak w XX wieku – ale też nie da się powiedzieć, że dziś nie odgrywają już żadnej roli. Znaczenie historii dla kształtowania opinii w teraźniejszości jest cały czas bardzo duże, co widać na przykładzie Rosji. Przecież w tym kraju do więzienia trafiają historycy tylko dlatego, że opisywali fakty z przeszłości niewygodne dla obecnej władzy. Brzmi to może okrutnie, ale te aresztowania to najlepsze potwierdzenie istoty książek – przecież nie wsadzano by tych historyków za kraty, gdyby władza nie traktowała ich publikacji jako zagrożenia. To najlepiej potwierdza, że książki są nadal ważne wśród osób kształtujących opinię publiczną.

Co dzieje się z książkami podczas wojny? „Rękopisy nie płoną” – pisał Bułhakow w „Mistrzu i Małgorzacie”. Rzeczywiście?

Podczas II wojny światowej książki bardzo często padały ofiarą konfliktu. Najczęściej płonęły w wyniku bombardowań. Szczególnie często tracono bezpowrotnie zbiory z bibliotek publicznych. One zwykle są lokowane w prestiżowych budynkach w centrach miast, dlatego też bardzo często cierpiały podczas bombardowań. Pod koniec wojny blisko jedna trzecia zasobów mieszkaniowych Niemiec została całkowicie zniszczona lub stała się niezdadna do zamieszkania. Przy okazji przepadała też ogromna liczba książek, które znajdowały się w tych mieszkaniach.

Cena, jaką Niemcy płacili za rozpętanie wojny.

Kolejna znaczna część książek zniknęła w latach 1945 i 1946,

kiedy Niemcy szukali wszelkiego dostępnego paliwa, aby ogrzać swoje domy. Wtedy wiele książek nazistowskich, które stały się właściwie obowiązkowe w okresie III Rzeszy, zostało zniszczonych przez ich właścicieli.

Czy w czasie I lub II wojny światowej zginęła jakaś wyjątkowo cenna książka, jakiś biały kruk?

Podczas I wojny światowej, pod koniec konfliktu, kiedy dysponowano już samolotami, zaskakująco często bombardowano obiekty cywilne. I już wtedy rozumiano, że konieczne jest opracowanie jasnych procedur ochrony starodruków. Najlepsze rozwiązanie opracowano we Włoszech, gdzie stworzono cały system wywożenia cennych książek poza miasta. W pierwszej kolejności wywożono inkunabuły, czyli druki z okresu początków drukarstwa, po nich wszelkie inne unikalne przedmioty. Ten system ewakuacji sprawił, że w czasie bombardowań Włochy nie ponieśli żadnych poważnych strat w swoich zbiorach.

Skoro Włosi mogli zabezpieczyć swoje zbiory, to czemu nie udało się to Niemcom?

Niemcy również wysłali swoje zbiory poza główne miasta. Ale ponieważ spodziewali się przede wszystkim uderzenia z Zachodu, wysłali książki na wschód – i w ten sposób wpadły one w ręce sowieckiej



Zbiory podczas porządkowania w Bibliotece Ossolineum we Wrocławiu w 1948 r. Te książki zostały przywiezione po wojnie ze Lwowa

armii. Poza tym część niemieckiego terytorium została po wojnie włączona w granice Polski. W ten sposób miliony książek z takich miejsc jak Hamburg i Lubeka nigdy nie wróciły na swoje pierwotne miejsce. Niedawno byłem w Bibliotece Centralnej w Lubecie i rozmawiałem o tym z pracownikami. I oni mi opowiadali, że do dziś nie udało im się ustalić, czy ich książki przepadły w czasie wojny, czy znajdują się obecnie w rosyjskich lub białoruskich bibliotekach.

O jakich książkach konkretnie mówimy?

Zginęły wtedy m.in. starodruki z XV wieku. Znany jest los jednego z najstarszych psalterzy, obecnie jest tylko około 20 egzemplarzy na świecie. Ów egzemplarz został zabrany do Stanów Zjednoczonych przez amerykańskiego żołnierza. Nie wiadomo kompletnie nic o losach biblioteki z Królewca. Tam był wspinały zbiór, ale nie pozostało po nim kompletnie nic, nawet katalog.

Polska poniosła dużo większe straty w czasie wojny niż Niemcy, nie my też rozpoczęliśmy tamten konflikt. Szacuje się, że z naszego kraju wywieziono co najmniej 160 tys. starzych książek, duża część z nich nigdy nie wróciła. Jak się szuka zaginionych książek? Jakie są szanse ich odzyskania?

Wszystkie te biblioteki były skatalogowane, dzięki czemu stosunkowo łatwo było je zwrócić poprzednim właścicielom. Choć inaczej to wyglądało w rosyjskiej strefie okupacyjnej, z której Rosjanie wywozili jako reparacje właściwie wszystko, i urzędnicy przemysłowi, i książki. Miliony książek trafiły do Związku Radzieckiego. Niektóre nigdy nie trafiły do biblioteki. Po upadku Związku Radzieckiego w nieczynnej cerkwi prawosławnej odkryto ogromną stertę książek, które po prostu zamienili się w miazgę i trzeba było je wyrzucić.

Książki traktuje się trochę inaczej niż sztukę. Obrazy czy rzeźby to dzieła jedyne w swoim rodzaju, niepowtarzalne. Tymczasem książki drukuje się w jakimś nakładzie. Nawet jeśli jest to tylko 300 sztuk, to zdecydowanie więcej niż jedna. Ma to swoją zaletę, ponieważ nawet jeśli w pożarze biblioteki spłonie jeden egzemplarz danej książki, to często można znaleźć inny w prywatnej kolekcji. Poza tym po wojnie wiele księgozbiorów udało się uporządkować. W latach 1945-46 przeprowadzono udaną operację odzyskiwania zrabowanych książek z Francji, Polski, Białorusi, Rosji i Holandii. Niemcy najpierw próbowali zniszczyć polską cywilizację, niszcząc wszystkie książki. Potem zmienili zdanie. Zamiast je zniszczyć, postanowili stworzyć w Niemczech serię ogromnych bibliotek, kierując się zasadą „poznaj swojego wroga”. Mieli więc jedną poświęconą socjalizmowi, jedną judaizmowi, jedną komunizmowi i jedną masonerii. Wszystkie te biblioteki były skatalogowane, dzięki czemu stosunkowo łatwo było je zwrócić poprzednim właścicielom. Choć inaczej to wyglądało w rosyjskiej strefie okupacyjnej, z której Rosjanie wywozili jako reparacje właściwie wszystko, i urzędnicy przemysłowi, i książki. Miliony książek trafiły do Związku Radzieckiego. Niektóre nigdy nie trafiły do biblioteki. Po upadku Związku Radzieckiego w nieczynnej cerkwi prawosławnej odkryto ogromną stertę książek, które po prostu zamienili się w miazgę i trzeba było je wyrzucić.

Jakie książki się czyta w czasie wojny?

Głównie wspomnienia, relacje naocznych świadków. Na przykład w Wielkiej Brytanii bardzo

popularne były książki pilotów, którzy walczyli przeciw Niemcom. Ludzie szukają też książek pozwalających uzupełnić im wiedzę. Kiedy USA przystąpiły do wojny w 1941 roku, władze zdały sobie sprawę, że nie mają pojęcia o większości azjatyckich wysp, na których będą walczyć. Mieli bardzo mało informacji na ich temat. Dlatego zwrócili się z apelem do Amerykanów posiadających pocztówki, zdjęcia z wakacji, wszelkiego rodzaju podręczniki techniczne i książki podróżnicze o tamtym rejonie świata – i uzupełniali na tej podstawie wiedzę. Bardzo ważne były również wszelkie informacje na temat fabryk w krajach wrogów.

A na koniec. Gdyby Pan miał możliwość znalezienia jednej książki, która zaginęła w czasie wojny, to co by to było?

Prawdę mówiąc, ja już taką swoją książkę odnalazłem. To była książka znajdująca się w bibliotece obozowej. Gdy Niemcy likwidowali obozy, wyprawiali z nich więźniów, ale książki pozostawały – i w zdecydowanej większości przepadły. Szacuje się, że w obozowych bibliotekach znajdowało się ok. 3-4 mln tytułów, tylko bardzo mała ich część przetrwała. Ale dwa lata temu na targach antykwarycznych w Yorku znalazłem pozycję, która nie zaginęła w poździe wojny. Chodzi o książkę autorstwa arcybiskupa Canterbury. W czasie wojny trafiła do obozu oficerskiego w Bawarii, mimo że była napisana w języku angielskim. Podejrzewam, że ta książka została wyjęta z biblioteki i prawdopodobnie przywłaszczona przez niemieckiego oficera mówiącego po angielsku. W ten sposób przetrwała wojnę, a dwa lata temu stała się częścią mojej kolekcji.



Barbara Poczwardowska i jej skarby z rekwizytorni Teatru imienia Wilama Horzycy w Toruniu. To rzeczy znajdujące się tu od wielu lat i cały czas przybywa kolejnych

FOT. GRZEGORZ OLKOWSKI

LASKA I TAJEMNICE REKWIZYTORNI

Co spektakl, to inne przedmioty są potrzebne, by stworzyć jego klimat. Przez lata nagromadzono ich tyle, że teatralna rekwizytornia pęka w szwach

Marek Nienartowicz



FOT. GRZEGORZ OLKOWSKI

Oto laska ze spektaklu „Noce i dnie”. Grawer na jej ręczce to dowód, że ma 100 lat; więcej o niej nie wiadomo

Wchodzimy do Sceny na Zaplecze, czyli młodszego z dwóch budynków Teatru Wilama Horzycy. Wędrujemy zakamarkami tutaj i tymi w głównym obiekcie. Szybko można stracić orientację. Trudno się połapać, z której strony jest główne wejście do teatru, a z której sąsiadujący z nim gmach Collegium Maius UMK. Przewodniczka w tej sprawie daje znać, kiedy jesteśmy pod sceną i którędy aktorzy podczas spektakli, znieśnacka dla widzów, na niej się pojawiają.

Pod dowództwem starszego mistrza

W końcu docieramy do teatralnej rekwizytorni. To króle-

stwo Barbary Poczwardowskiej. – Formalnie pracuję na stanowisku starszy mistrz pracowni rekwizytorsko-plastycznej. A mówiąc tak po prostu: jestem teatralnym rekwizytorem i plastykiem – wyjaśnia pani Barbara.

Jest absolwentką Liceum Plastycznego w Bydgoszczy. Przez 14 lat pracowała w Teatrze „Baj Pomorski”. 17 lat temu przeniosła się na drugą stronę toruńskiej starówki. Dbając o rekwizyty niezbędne w spektaklach Teatru imienia Wilama Horzycy.

– Jako plastik muszę zrobić rzeczy, których nie można kupić. To na przykład różnego rodzaju maski albo brzuchy do kostiumów – mówi Barbara Poczwardowska.

Rekwizytor jest jedną z tych osób, które przemykają za sceną, niewidoczne dla widzów. Zarazem są niezbędne do przygotowania spektaklu i jego wystawienia.

Magazyn rekwizytorski – czy też po prostu rekwizytornia – w Teatrze Horzycy to z kolei pomieszczenie większe i dwa mniejsze. I to w innym punkcie Torunia. Znajduje się przy teatralnej stolarni, działającej przy ulicy Bociana w lewobrzeżnej części miasta. Tu przechowywane są rekwizyty o większych rozmiarach.

– Ile w sumie ich mamy? Tyś się! Mam ewidencję rekwizytów. Dobrze się w tym orientuję – mówi pani Barbara.

Jak na wystawie w muzeum techniki

Rekwizyty są elementem scenografii. Ważnym, skoro się w niej znalazły. Część można uznać za ozdoby. Inne są wykorzystywane przez aktorów.

Półki w teatralnej rekwizytorni „Horzycy” uginają się pod wazonami, kieliszkami, butelkami, tacami... Niezwykle bogata jest kolekcja aparatów telefonicznych czy fotograficznych. Można z nich stworzyć wystawę godną muzeum techniki. To aparaty sprzed dziesiątków lat i te młodsze. Jest też w magazynie pościel czy ręczniki.

– Mamy tu praktycznie wszystko. Najwięcej jest waleczek, butelek i telefonów. Wykorzystujemy w spektaklach to, co zostało wcześniej zgromadzone, ale rekwizytów systematycznie przybywa. Scenograf w ramach przygotowań do kolejnej premiery sporządza listę przedmiotów potrzebnych do przedstawienia. To, czego nie mamy na stanie, jest kupo-

wane; przede wszystkim okulary, biżuteria, także nietypowe butelki, konkretne książki. Tak przez lata przybywało i przybywa rekwizytów w magazynie. Ubywa za to niewielka ich część, w zasadzie tylko te, które są mocno zniszczone – opowiada Barbara Poczwardowska.

Oczekiwania twórców spektaklu są różne. Na przykład w granych od dwóch lat w Teatrze Horzycy „Drogiach” niezbędny jest sok pomarańczowy, który udaje... moc.

– W niektórych spektaklach potrzebne są rekwizyty spożywcze. To choćby jogurty, marchewki, jabłka. W innych rekwizytami są tylko butelka i książka. Wszystko zależy od koncepcji reżysera i scenografa. Kwestie rekwizytów są doprecyzowywane podczas prób do spektakli. Możliwe są zmiany. Któryś z rekwizytów może być uznany za niepotrzebny, innych z kolei dochodzi do scenografii – wyjaśnia pani Barbara.

Rekwizytorskie wyzwania na scenie i wokół niej

A co było dla niej jako rekwizytorki największym wyzwaniem? Okazuje się, że debiut w tej roli w Teatrze Horzycy.

– Gdy przejmowałam obowiązki od poprzednika, wyjaśnił mi, co gdzie się znajduje, jak mam się poruszać po teatrze. To było prawdziwe wyzwanie, bo system przejść i korytarzy jest zagmatwany. Potrzeba czasu, by go dobrze poznać. Na początku więc się mijałam, ale z czasem opanowałam sytuację. Nerwowo robi się tuż przed premierą, zwłaszcza podczas próby generalnej, ale to normalne – wspomina Barbara Poczwardowska.

Bywają też sytuacje, które z perspektywy czasu stają się zabawnymi teatralnymi anegdotami, chociaż gdy zaistniały, rekwizytorowi nie było do śmiechu. Jak choćby wtedy, gdy sprzątająca scenę pani uznała, że butelka z odrapaną etykietą albo pomięta gazeta nadają się do śmietnika. A były rekwizytami! Tak jak brudne talerze i kieliszki z innego spektaklu. „Grały” w pobiesiadnej scenie. Ktoś nadgorliwy je... umył. Oczywiście im bogatsza scenografia i im liczniejsza obsada spektaklu, tym wyzwanie w zakresie rekwizytów i pracy rekwizytora jest większe.

– Podczas prób aktorzy dowiadują się, z jakich rekwizytów będą korzystać i kiedy to

nastąpi. Z każdym ustalam szczegóły. Wychodząc na scenę aktor musi wiedzieć, że – dajmy na to – książkę znajdzie w lewej kulisie, a butelkę z wodą pod krzesłem. Tu nie ma miejsca na chaos i improwizację. Kwestia wykorzystania poszczególnych rekwizytów w spektaklu musi być doprecyzowana. To gwarancja tego, że przedstawienie będzie sprawnie przebiegać – mówi Barbara Poczwardowska.

I dlatego rekwizytor nie ma stałych godzin pracy. Musi być obecny w teatrze podczas prób i spektakli – co najmniej na godzinę przed rozpoczęciem przedstawienia, by przygotować wszystkie rekwizyty, które będą potrzebne.

„Urodziny” w teatrze ze stuletnią laską

Wśród rekwizytów w Teatrze Horzycy są też szczególne przedmioty. Wiążą się z nimi nierozwikłane tajemnice.

Tak jest ze stuletnią laską.

– To piękny przedmiot, jeden z tych, o których niewiele wiemy. Nie udało mi się ustalić, w jaki sposób laska znalazła się w naszym teatrze. Być może to ktoś kiedyś tu ją przyniósł. Bywało i bywa tak, że ktoś robi porządek w mieszkaniu czy domu dziadków albo rodziców. Tak najczęściej trafiają do nas walizki i zostają u nas jako „przydanie”, czyli rekwizyty, które prędzej czy później się przydadzą. A stuletnia laska jest cenna także dlatego, że tak ładny przedmiot trudno dziś kupić w rozsądnej cenie – mówi pani Barbara.

Laska „gra” w spektaklu „Noce i dnie”. To niewątpliwie rzecz pamiątkowa. Wykonana z ciemnego drewna, z metalową rączką. Ta ma ładne zdobienia. I piękny grawer: „Z okazji 25-letniej pracy w zawodzie drukarskim. Koledzy. 1 X 1925, Bydgoszcz”. Można więc wnioskować, że sto lat temu laską obdarowano zasłużonego pracownika. Gdzie on był zatrudniony? Nie wiadomo.

Piękna laska i jej nierozwikłana historia zafascynowała panią Barbarę i innych pracowników Teatru Horzycy. Postanowili więc wyprawić jej... „setne urodziny”. Zorganizowali je 1 października, zgodnie z datą wygrawerowaną na ręczce laski. Każdy mógł ją obejrzeć, dotknąć oraz poznać inne rekwizyty z toruńskiego teatru. Była okazja do pamiątkowych zdjęć. I jak to na urodzinach – nie zabrakło tortu i kawy.

– Stuletnia laska nie jest najstarszym naszym rekwizytem. Mamy księgi w języku niemieckim. Pochodzą prawdopodobnie z niemieckiego okresu teatru w Toruniu. Zalegają więc tu od ponad stu lat. Przechowujemy je, bo może przydadzą się w którymś ze spektakli – dodaje Barbara Poczwardowska.

IM BOGATSZA SCENOGRAFIA I IM LICZNIEJSZA OBSADA SPEKTAKLU, TYM WYZWANIE W ZAKRESIE REKWIZYTÓW I PRACY REKWIZYTORA JEST WIĘKSZE

BARTŁOMIEJ TOPA: WARTO CZASEM SPOJRZEĆ W LUSTRO, ABYŚMY SIĘ W NIM PRZEJRZELI Z NASZYM WADAMI I ZALETAMI

Kostiumowy serial „1670” w serwisie Netflix bije wszelkie rekordy popularności. Komediove ukazanie sarmackiej Polski okazało się strzałem w dziesiątkę. Do sukcesu tego przyczynił się na pewno Bartłomiej Topa wcielający się w groteskowego szlachcica Jana Pawła Adamczewskiego. Rozmawialiśmy z aktorem o tym, jak sprawił, że choć jego postać jest sumą wad narodowych Polaków, to wszyscy ją uwielbiają

Patryk Gzyl

W jednym z wywiadów powiedział pan o aktorstwie: „Nigdy nie przypuszczałem, że ten zawód przyniesie mi tyle radości”. To za sprawą takich produkcji, jak „1670”? Między innymi. Aktorzy pracują w obszarze dosyć radykalnych obecności. Wchodzimy w buty charakterów, które czasami są mroczne, a czasami świetliste. Im bardziej ta paleta barw jest szeroka, tym ciekawiej dla nas. Poruszając się w tym obszarze, staramy się w pełni oddać obraz ludzkiej duszy. To fascynujące i fenomenalne. Przy okazji mamy przy tym dużo zabawy i frajdy. W tym przypadku wydarzyło się to przy wsparciu fenomenalnej ekipy z wszystkich pionów i moich fantastycznych partnerów na planie. Dzięki takim ludziom dzieją się takie rzeczy, które są silne w swoim wyrazie, a potem – silne w odbiorze.

No właśnie: pierwszy sezon „1670” spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem. To właśnie ten sukces zdecydował, że podjęto decyzję o realizacji drugiego sezonu?

Nie znam szczegółów, natomiast wiem, że czekaliśmy z ostatecznymi decyzjami do premiery pierwszego sezonu. Nie wiedzieliśmy więc tak do końca, czy będziemy robić kontynuację. Być może prace literackie zostały podjęte już wcześniej – ale jak to dokładnie było, trzeba by zapytać producenta Janka Kwiecińskiego.

Kolejne sezony popularnych seriali są często słabsze niż te

pierwsze. Nie obawiał się pan, że i tutaj tak będzie?

Wszyscy jesteście oczywiście krytycznymi widzami i chcielibyśmy, aby to, co jest już znane i lubiane, można było dalej poznawać w bezpiecznej pozycji, siedząc sobie w domu na fotelu i wsuwając popcorn. Ja nie chciałbym w żadnym wypadku wartościować, który sezon jest lepszy. Po przeczytaniu scenariusza drugiego sezonu miałem poczucie, że Adamczyska się rozrasta w bardzo wielu wymiarach: w obrazie, w świetle, w barwach, w charakterach, w relacjach międzyludzkich. Jak w pierwszym sezonie brodził się po kolana w błocie, tak teraz mamy kurz, gorące słońce, które generalnie nam bardzo służyło, ale momentami również mocno doskwierało, bo pracować w 35-stopniowych temperaturach nie jest łatwo. Mam więc wrażenie, że to, co wydarzyło się w pierwszym sezonie, w drugim jest trochę szersze, wyższe, głębsze, bardziej zróżnicowane, ale też bardziej odważne w wyrazie aktorskim i w obrazie.

Drugi sezon wydaje się też mieć momentami bardziej poważny ton niż pierwszy. Odpowiadało to panu?

Kiedy wchodzi się na pewien poziom dowcipu i abstrakcji, bardzo kusząca jawi się zabawa różnymi gatunkami. I tak też się tutaj stało. Mieliśmy świadomość tego, że niektóre sceny są napisane bardzo dramatycznie i chyba trzeba je tak zagrać, po to,

żeby wprowadzić widza nie tylko w ten rodzaj śmiechu, który wywołuje poślizgnięcie się kogoś na skórcie od banana, ale też w to, że za rogiem czeka na tej drodze jakaś powaga i mroczna postać, która nas weryfikuje w naszych postawach życiowych. Cała relacja matki z córką, ojca z synem, rozpadająca się rodzina – wszystko to nie jest łatwe dla starych Adamczewskich. Rozmawialiśmy o tym ze sobą i z reżyserem i wszyscy wspólnie poszliśmy w tę stronę, bo uznaliśmy, że to są rzeczy ważne do powiedzenia. Chcieliśmy po prostu podsytać prochu z trochę innej beczki. Mam wrażenie, że to był dobry kierunek.

O ile pierwszy sezon „1670” kpił z naszych narodowych wad, tak drugi obśmiewa bardziej przywary współczesnych Polaków. Spodobało się panu, że scenarzyści poszli tym tropem?

Nie chcieliśmy wchodzić w te same, już rozchodzone buty. Ale tym razem pokazujemy, że interesuje nas inny świat, inne kontynenty i to, co się dzieje z nami Polakami podczas takich podróży. Stąd w pierwszych odcinkach wyjazd all inclusive rodziny Adamczewskich do Turcji. Wszystkim nam znane są obrazki z tamtejszych hoteli, z tego, co się dzieje przy stołach i na placach, albo po wyjściu z samolotu. To tematy, które są nam bardzo bliskie. Czasami nie chcemy się przyznać do takich zachowań, bo nie mamy pojęcia, jak inne narody pracują i że

mogą współżyć ze sobą. Wydaje nam się, że jesteśmy najważniejsi i to nasze polskie ego bucha na wszystkie strony. Oczywiście nie można generalizować. Przez to, że od ponad trzydziestu lat otwieramy się na innych i wyjeżdżamy za granicę, poznajemy inne kultury i zaczynamy inaczej postrzegać świat. Z drugiej strony wreszcie doceniamy rodzime krajoobrazy, które mamy w Polsce, bo są przecież unikatowe na skalę światową. I to jest piękne. W „1670” śmiejemy się z tych naszych zachowań, które są groteskowe, bo wydaje się nam, że warto czasem spojrzeć w lustro, abyśmy się w nim przejrzeliby z wszystkimi wadami i zaletami.

A miał pan okazję brać udział w takim szalonym wieczorze kawalerskim w Krakowie, w jakim biorą bohaterowie drugiego sezonu serialu?

Ubolewam, ale niestety nie. (Śmiech) Byłem na kilku wieczorach kawalerskich w latach 90., kiedy wylądowałem w Warszawie, ale to inne czasy. Potem nie było mi to już dane. Dziś, prawdę powiedziawszy, nie ciągnie mnie do takich imprez, mam do tego dystans. Natomiast zabawa w serialu była naprawdę przednia.

Finał drugiego sezonu to ciekawy komentarz do tego, co się dzieje w polskiej polityce z walką na przysłowiowe „haki” i kielbasą wyborczą w rolach głównych. Zgadza się pan z tą bezlitosną diagnozą?

Nie chcę tu wchodzić w politykę, ale te teksty, które napisał scenarzysta Jakub Rużyłło, to jest nasze dobro narodowe. Toż to prawdziwy wieszcz! Weźmy choćby liczenie głosów, walkę o stanowiska czy rozdawanie kielbasy wyborczej. To niezwykle wgląd w naszą rzeczywistość i ogromna wrażliwość społeczna autora tych tekstów, który miał na ten temat naprawdę bardzo dużo do powiedzenia. Pracując nad tymi scenami, nie mieliśmy zielonego pojęcia o tym, co się wydarzy za rok. Kończyliśmy zdjęcia w zeszłym roku i do wyborów prezydenckich było jeszcze dużo czasu. Dlatego dopiero później okazało się, jak Jakub przewidział przyszłość.

Zagrał pan Jana Pawła tak, że mimo iż jest egoistą i megalomanem, to lubimy go i chcemy, żeby jego plany się powiodły. Jak to się robi?

Zawsze podchodząc do tego, co mam na stole w scenariuszu, bardzo zabiegam, aby zachować w mojej postaci jakąś równowagę człowieczeństwa. W przypadku Jana Pawła spodobała mi się ta jego dziecięca naiwność i cudna głupota. I to mi mocno przyświecało. Jan Paweł jest dzieckiem w skórze dorosłego faceta i dlatego popełnia totalne błędy. Mimo tego wszystkiego chcemy go lubić, bo jest przy tym otwarty i prawdziwy, wierzy głęboko w słuszność swych osądów i decyzji. Mało tego: mam wrażenie, że jest przy tym zaskakująco refleksyjny. Od czasu do czasu odchodzi na bok nad jezioro Adamczewskie i tam, dumając, spogląda w głąb siebie. Zastanawia się kim jest, jak chce się definiować w swej rodzinie i wsi. Jasne – ma wybujałe marzenia, ale kto ich nie ma? Każdy się rozpycha w swoim środowisku, chce robić karierę, jeden po trupach, drugi – spokojniej, czekając na swój moment. Tych ścieżek jest tyle, ile charakterów. Bardzo lubię obserwować, jak ludzie dochodzą do swoich sukcesów zawodowych czy życiowych. To coś fenomenalnego. Jedni uważają, że sukcesem jest piękna i dobra rodzina, która potrafi się porozumieć, mimo tego, z czym się mierzymy na co dzień. Dla drugiego będzie to z kolei szybki samochód. Tak jak mówi to jedna z dziewczyn, które przyjechały z miasta Wilanów na wieś w pierwszym sezonie „1670”: „Interesują mnie faceci, konie i szybkie bryki” (śmiech)

Powiedział pan kiedyś, że najbardziej ceni Jana Pawła za jego stosunek do rodziny – za to, że stara się ją trzymać razem mimo różnych prze-

ciwności. Tymczasem pod koniec drugiego sezonu „1670” ta rodzina mu się rozpada. To też odbicie tego, co dzieje się współcześnie?

Tego nie wiem. Trzeba by zapytać socjologów czy psychologów społecznych i oprzeć się na jakichś statystykach. Ale mam wrażenie, że czasami są w naszych sercach i głowach ważniejsze tematy niż rodzina. Dlatego ten rodzinny wszechświat, który z moim budujemy, a który jest moim zdaniem i zdaniem scenarzystów najważniejszy, zostaje przez niektórych spychany na bok. Bo to pieniądź, kariera i stanowiska są dla nich priorytetem. Cóż – pewnie każdy przyłoży swoją matrycę do tego, co pokazujemy w drugim sezonie „1670” i zauważy to, co jest dla niego ważne. Będziemy to pewnie wartościować za jakiś czas, za tydzień czy dwa, kiedy obejrzymy cały drugi sezon. Moim zdaniem trafnie wyczuwamy nastroje społeczne i to, co jest, a co nie jest istotne dzisiaj dla Polaków i zwracamy uwagę na kluczowe sprawy.

Widzów zawsze ciekawi, czy aktor odnajduje jakąś część siebie w granej postaci. Jak jest z panem i Janem Pawłem?

Tak jak powiedziałem na początku, myślę, że ten zakres osobowościowy, na którym pracuję, jest bardzo różnorodny. Moim narzędziem pracy jest moje ciało i moje emocje. Dlatego ta robota nad sobą jest kluczem do tego, żeby wiarygodnie i transparentnie przedstawić daną postać. W przypadku Jana Pawła szukam w sobie różnych ciekawych elementów – naiwności, głupoty, nieroztropności, zakłamania czy wypierania pewnych sytuacji. Obserwuję świat, widzę różne pokusy wewnętrzne, rozmawiam z samym sobą dosyć często. I taka właśnie obserwacja jest najlepszym tworzywem do lepienia tych moich postaci, w ramach którego nie waham się wykorzystywać nawet najtrudniejszych cech, z którymi się mierzę w swoim wnętrzu. Próbuję przy tym oczywiście zachować dystans do swego bohatera. Nawet jeśli wchodzimy w mrok i jesteśmy w tym super wiarygodni – bo na tym zawsze mi zależy – to na drugi dzień zawsze jest bardziej słonecznie i wtedy nawet współczujemy temu bohaterowi i jesteśmy z nim, bo tak naprawdę spotykamy się z tymi samymi tematami w swoim życiu. On sobie tak to załatwia, a ja trochę inaczej. On wymyśla takie rozwiązania, sięga po takie inspiracje, poddaje takie sugestie, a ja – inne. Nie chciałbym, abyśmy się oczywiście wzorowali na Janie Pawle, ale to rozpoznawanie w nim własnych cech i zachowań, bywa momentami bardzo śmieszne.



FOT. MATPRAS, NETFLIX/JAROSŁAW SOSINSKI

Bartłomiej Topa: Uwielbiam absurdalny humor i czuję się dobrze w takiej konwencji, bo mam sporo dystansu do życia i świata. Żyjemy teraz w trudnym dla nas wszystkim momencie, więc chyba dobrze się stało, że możemy obejrzeć „1670” i trochę uśmiechnąć się i odreagować

To dlatego mówi pan o Janie Pawle: „Ta rola to dla mnie niewątpliwie prezent”?

Tak ją postrzegam. Ostatnio trudno mi było znaleźć materiał, który sprawiłby, że tak bardzo mi się chce. Tu się tak stało. Na początku nie byłem nastawiony jako huraoptymistycznie i nawet odmówiłem zagrania w tym serialu po pierwszej lekturze scenariusza. Ale z biegiem czasu i po rozmowach z producentami – a dziś moimi wspaniałymi przyjaciółmi – postanowiłem zaryzykować i to ryzyko się opłaciło. Myślę, że wielu z nas z tej filmowej rodziny, która stworzyła „1670”, miało podobnie. Wszyscy zaryzykowaliśmy – i to jest niezwykle, że każdy, kto miał okazję obserwować naszą robotę na planie przez te ostatnie kilka lat, nigdy nie usłyszał jakiegokolwiek narzekania. Kiedy pojawia się jakiś problem czy konflikt, jest momentalnie rozwiązywany. Idziemy na bok i tak długo gadamy, aż uzyskamy jakiś kompromis. To jest naprawdę unikalne. Praca z taką ekipą „szaleńców”, to dla mnie totalny przywilej.

„1670” pozwolił panu wreszcie w pełni zabłysnąć w komedii. I wydaje się, że czuje się pan w tym żywiole jak ryba w wodzie. Tak jest rzeczywiście?

Uwielbiam absurdalny humor i czuję się dobrze w takiej kon-

wencji, bo mam sporo dystansu do życia i świata. Żyjemy teraz w trudnym dla nas wszystkim momencie, więc chyba dobrze się stało, że możemy obejrzeć „1670” i trochę uśmiechnąć się i odreagować. Dzięki temu zachowujemy jakąś równowagę. W związku z tym ta komedia jest dzisiaj we mnie bardzo silna i stanowi ważną część mojego życia. Po prostu znalazłem w niej taki środek wyrazu, w który mogę wpisać swoją niezgodę na otaczający mnie świat.

Ten humor czasem jedzie mocno po bandzie – jak w scenie z ekskrementami w pierwszym sezonie. Nie przeszkadzało to panu?

To fakt, ten dowcip jest tutaj ostry, a momentami nawet wulgarny. Tak jak w trzecim odcinku drugiego sezonu, kiedy puszcza bąki. Ale kiedy cały świat jest nadęty, puszczenie bąka fajnie rozluźnia sytuację. Spuszczamy w ten sposób z tego balonu powietrze nadmuchane do granic. W YouTube można zobaczyć filmik sprzed wielu lat z Dustinem Hoffmanem, kiedy to promował „Rain Mana” i podczas wywiadu gdzieś we Francji puścił takiego bąka, że wszyscy byli zdziwieni, o co chodzi. Cóż – jesteśmy tylko ludźmi i czasem taki bąk może się nam wyrwać. (Śmiech) Oczywiście po-

dejrzewan, że Hoffmanowi nie wyrwało się, tylko zrobił to świadomie. I my też używamy różnych środków i narzędzi, żeby trochę spuścić z tonu. Żeby zawołać: „Hej, chłopaki jest pora obiadu, odłóżmy na chwilę broń, trzeba coś zjeść i pogadać jak ludzie!”.

Wiadomo, że komedię gra się na poważnie. Ale czy były takie momenty podczas kręcenia drugiego sezonu „1670”, że nie wytrzymywalście i pękaliście ze śmiechu?

Oczywiście, że były. Spotkania z Andrzejem Kłakiem czy Dobromirem Dymekim są dla mnie zawsze zabójcze. Kiedy więc wiem, że mamy mieć wspólne sceny, to zdaję sobie sprawę, że może być ciężko. (Śmiech) Całe szczęście produkcja zakładała trochę więcej godzin pracy, żebyśmy jednak mogli zrealizować to, co miało być zrealizowane i mieć czas, żeby się trochę pośmiać na początku. Tak było na przykład w pierwszym odcinku drugiego sezonu w scenie tłumaczenia Jana Pawła z tureckiego na polski. Przegadywaliśmy ją wręcz kilkanaście razy przed wejściem przed kamerę, bo nie byliśmy jej w stanie wypowiedzieć z pełną powagą. Dlatego to czasem był bardzo trudny proces. (Śmiech)

Znakiem rozpoznawczym „1670” jest granie do kamery.

To rzadki chwyt w polskim kinie czy w telewizji. Trudno się było panu przyzwyczaić do tej konwencji?

Kiedy za pierwszym razem wszedłem przed kamerę i reżyser powiedział „To teraz może skomentuj, co się wydarzyło”, to strasznie mi było patrzeć wprost w obiektyw. Przecież całe życie w szkole i nie tylko byłem uczony, żeby nigdy nie patrzeć w kamerę, bo to nas skreśla. Nawet kiedy przelotnie wzrok zatrzymał się gdzieś blisko ramki, wszyscy wrzeszczeli „Boże, ty chyba spojrzaleś w kamerę!” i trzeba było powtarzać jeszcze raz. A wtedy nie było tak jak dziś, że mamy monitory i można sobie zrobić przegląd tego, co się nakręciło na miejscu, tylko trzeba było wynajmować jakiegoś małego kina i przeglądać materiały z 3-4 dni. Różnie więc to bywało. To granie do kamery – czyli łamanie czwartej ściany – jest dzisiaj już częścią serialowej popkultury, bo ostatnio często się sięga po ten chwyt. Tylko mam wrażenie, że w drugim sezonie „1670” jest trochę mniej tego gapienia się w widza i bezpośredniego komentarza. Nawet w tych dramatycznych scenach, które są przejmujące, już tego nie robimy. Pojawia się to tylko wtedy, kiedy intuicja podpowiadała nam, aby tak zrobić. Nawet nie umawialiśmy się

na to z reżyserami, tylko robiliśmy to trochę intuicyjnie. I to jest fantastyczne, bo wtedy to wychodzi naturalnie i organicznie.

W serialu są też sceny wręcz musicalowe ze śpiewem i tańcem. Jak sobie pan z tym poradził?

Otrzymałem od rodziców rozległe wychowanie: chodziliśmy z bratem i siostrą do szkoły muzycznej. Śpiewałem więc w chórach i do dzisiaj lubię śpiewać. Przed kamerą faktycznie zdarzyło mi się to robić pierwszy raz właśnie w „1670”. Ale chyba wyszło dobrze. (Śmiech)

W każdej scenie „1670” pana bohater nosi inny żupan – za każdym razem barwny i bogato zdobiony. Kostium mógł panu wejść w rolę Jana Pawła?

W drugim sezonie serialu, mój bohater jest już właścicielem całej wioski Adamczycha, więc to bogactwo widać w każdym momencie jego życia. I kreatorka kostiumów Kasia Lewińska stanęła naprawdę na wysokości zadania. Mieliśmy 16 września premierowy pokaz dwóch odcinków w Muzeum Historii Polski w Warszawie – i tam można było zobaczyć te nasze kostiumy i artefakty związane z serialem. Uwielbiam grać w tych strojach, a szczególnie w moich

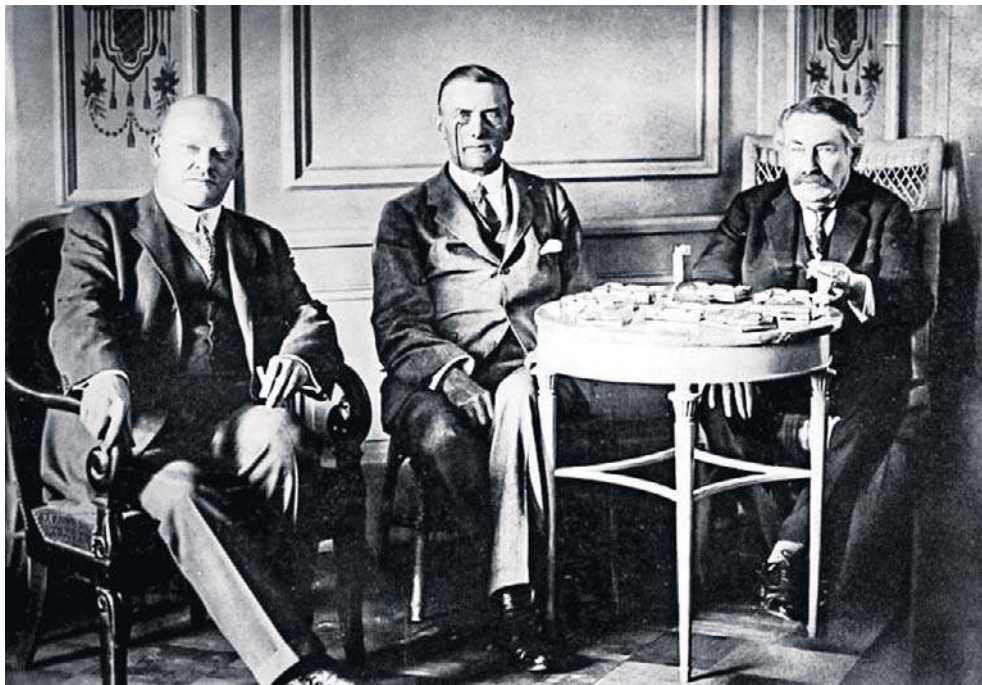
złoty butach ze skóry, które zostały uszyte przez wspaniałych warszawskich szewców. To nie są buty od sztancy, jakiegoś z papieru. Każdy szczegół faktury i wzoru jest tutaj przemyślany i z wielkim zaangażowaniem przez najlepszych rzemieślników wykonany. To element większego zjawiska: wydaje mi się, że następuje dzisiaj jakiś renesans rzemiosła po latach spychania go na margines, kiedy to weszliśmy do Europy i zawitał do nas Zachód. Design jest w idei człowieka, który wykonuje dany przedmiot, w jego umiejętnościach i wyobraźni. Kasia to wszystko ma. Na przykład wizerunek Jana Pawła na jego szlafroku był wymyślony i narysowany przez nią. Dlatego jestem dla niej pełen podziwu i uwielbiam grać w tych kostiumach.

Nosił pan postać Jana Pawła w sobie długi czas. Udało się ją panu zrzucić bez problemu?

Jeszcze tego nie wiem, bo jesteśmy teraz na etapie pracy nad trzecim sezonem. Jesteśmy już po wszystkich plenarach w Polsce. Dlatego Jan Paweł ciągle siedzi we mnie. Cały czas myślę o tej postaci, bo mam jeszcze sporo tekstu do wypowiedzenia. Zdawałem sobie jednak sprawę, że wchodząc w taką rolę, będę przez dłuższy moment kojarzony z tym bohaterem. Ale to jest chyba przyjemne skojarzenie, które mnie bardzo niesie. Oczywiście, kiedyś nastąpi moment, że będę mógł pokazać człowieczeństwo w innych rolach. Myślę, że to mnie czeka i bardzo liczę, że to się stanie. Na razie jednak jesteśmy w trzecim sezonie „1670”, więc kolejny rok jeszcze będę Janem Pawłem. Zobaczymy, jak to się skończy. Teraz bardzo trudno jest mi wchodzić w inne role, więc nie robię tego póki co. Sporo gram tylko w teatrze i to bardzo mnie też zajmuje, bo takie bezpośrednie spotkanie z widzami zawsze jest dla mnie wspaniałe i ożywcze, daje mi dużo frajdy i zabawy, pozwala godnie żyć.

A jak pana najbliższym mieszkają się z Janem Pawłem?

Chyba dobrze. Kiedy pracuję, to wiadomo – nie ma mnie w domu. Ale kiedy mam wolne, to jestem z bliskimi na sto procent. Odprowadzam dzieci do przedszkola lub czytuję im codziennie bajki wieczorem przed snem. Moja partnerka miała świadomość, z kim się wiąże i wie, że praca w filmie to nie są łatwe momenty, bo ten okres zdjęciowy trwa czasem pół roku. To sporo czasu. Oczywiście są przerwy – wolne weekendy i miejsce na wakacje. Produkcja bardzo o to dba, żebyśmy mogli odpocząć, spotkać się z rodziną i pobyć z bliskimi, a potem wrócić z nowymi siłami do dalszej pracy.



Gustav Stresemann (Niemcy), Austen Chamberlain (Wielka Brytania) i Aristide Briand (Francja) w Locarno w 1925 r.

WIELKI TRIUMF NIEMIEC NA KONFERENCJI W LOCARNO

100 lat temu, 5 października 1925 r. rozpoczęła się konferencja w Locarno, stolicy szwajcarskiego kantonu Ticino. Przez dziesięć dni Niemcy przekonywały świat, że upokorzone po Wielkiej Wojnie są gotowe ponownie wejść do międzynarodowej polityki

Mariusz Grabowski

Gdy 16 października kładziono ostatnie podpisy pod traktatami, Niemcy mogły mówić o ogromnym dyplomatycznym sukcesie. Zaledwie trzy lata wcześniej, w Rapallo, wynegocjowały sobie klauzule najwyższego uprzywilejowania w stosunkach z Rosją Sowiecką, teraz zabezpieczały granice od strony zachodniej.

Rodzi się traktat

Art. 1 traktatu (tekst za wydaniem polskim z 1925 r.) stanowił: „Wysokie Strony Umawiające się gwarantują indywidualnie i zbiorowo, tak jak to postanowiono w następnych

artykułach, utrzymanie terytorjalnego status quo, wynikającego z granic między Niemcami a Belgią i między Niemcami a Francją, oraz nietykalność rzeczonych granic, tak jak są ustalone traktatem pokojowym, podpisanym w Wersalu dn. 28-go czerwca 1919 r. (...) odnoszących się do strefy zdemilitaryzowanej”.

W art. 2 precyzowano: „Niemcy i Belgia, oraz Niemcy i Francja, zobowiązują się wzajemnie nie dokonywać ataku ani najazdu, oraz nie uciekać się, ani z jednej, ani z drugiej strony, w żadnym wypadku do wojny”.

A w art. 3 dodawano: „Biorąc pod uwagę zobowiązania,

przyjęte w artykule 2 niniejszego traktatu, Niemcy i Belgia, oraz Niemcy i Francja zobowiązują się załatwiać drogą pokojową i w sposób poniżej ustalony wszystkie sprawy, jakiegokolwiek byłyby rodzaju, które mogłyby je dzielić, a które nie mogłyby być uregulowane w drodze zwykłego postępowania dyplomatycznego”.

Pokojowe Noble

Jesienią owego roku do Locarno zjechała się elita dyplomatycznego świata. Niemcy były reprezentowane przez ministra spraw zagranicznych Republiki Weimarskiej Gustava Stresemanna i ówczesnego kanclerza Hansa Luthera.

Na zaproszenie przybyli ministrowie spraw zagranicznych: Francji - Aristide Briand, Wielkiej Brytanii - Joseph Austen Chamberlain, Włoch - Benito Mussolini oraz Belgii - Emil Vandervelde.

Do Locarno przybyli również polski minister spraw zagranicznych Aleksander Skrzyński oraz przedstawiciel Czechosłowacji Edvard Beneš. Obaj jednak nie zostali dopuszczeni do udziału w obradach przy głównym stole, mogli jedynie obserwować dyplomatyczną ofensywę Niemców.

A także słuchać chętnych wypowiedzi Chamberlaina, który konferencję lokarneńską kwitował tak: „Odtąd nie ma już zwycięzców i zwyciężonych”. Za swoje zasługi w Locarno otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla. Identycznie uhoonorowano też Stresemanna i Brianda, tyle że w 1926 r.

Niemcy w Lidze Narodów

Niewątpliwie układ z Locarno był wielkim sukcesem Niemiec, które powróciły do pierwszej ligi europejskiej potęg. Na Zachodzie panowało przekonanie, że między dawnymi wrogami z czasów Wielkiej Wojny będzie możliwa pokojowa koegzystencja.

Miało to swoje praktyczne konsekwencje: zmieniono harmonogram spłat niemieckich kontrybucji, a w następnym roku umożliwiono Niemcom dołączenie do Ligi Narodów. Należały doń formalnie od 8 września 1926 r., wystąpiły zaś 21 października 1933 r.

Pozornie miało to wzmocnić tę międzynarodową organizację, utworzoną na mocy postanowień wersalskiej konferencji, jednak Locarno udowodniło, że bezpieczeństwo zbiorowe gwarantowane przez układy wielostronne nie ma takiej siły sprawczej jak tradycyjne umowy dwustronne między poszczególnymi państwami.

Istnieją dwie Europy

Istotą traktatu był tzw. pakt reński, podpisany przez Niemcy z Francją, Belgią, Wielką Brytanią i Włochami. To on gwarantował nienaruszalność granicy między Niemcami a Francją i Belgią, przy czym Wielka Brytania i Włochy miały w razie agresji ze strony Niemiec lub Francji udzielić pomocy stronie napadniętej.

Układy lokarneńskie potwierdzono w Londynie 1 grudnia 1925 r., a ratyfikowano w następnym roku (złożenie dokumentów ratyfikacyjnych w Sekretariacie Ligi Narodów w Genewie 14 września 1926 r.). Intencją twórców było obowiązywanie „tak długo, aż na żądanie którejkolwiek z Wysokich Stron Umawiających się notyfikowane innym Mocarstwem podpisującym trzy miasteczka na-

pród, Rada Ligi większością co najmniej dwóch trzecich głosów, stwierdzi, że Liga Narodów zapewnia Wysokim Stronom Umawiającym się dostatecznie gwarancje” wówczas wygaśnięcie nastąpić miało po upływie jednego roku. W praktyce weszły one w życie na lat dziesięć, gdyż Niemcy wypowiedziały je w 1936 r., po rozpoczęciu remilitaryzacji Nadrenii.

Stresemann rządzi

W Europie postanowienia Locarno uznano za ogromny sukces. Konferencja przyczyniła się do poprawy politycznej, zaś „duch Locarno” unosił się nad Europą przez kolejne lata. Owo poczucie bezpieczeństwa i pokoju okazało się jednak bardzo złudne.

Niemcy robili wszystko, aby powrócić do dawnej potęgi, krok po kroku odrzucając wszystkie ograniczenia narzucone na nich jako kara za wywołanie Wielkiej Wojny. Poczucie krzywdy za traktat wersalski było ogromne, a większość społeczeństwa niemieckiego popierała dążenia zmierzające w kierunku odzyskania pozycji sprzed 1914 r.

Gustav Stresemann uznany został niemalże za bohatera narodowego. Owocem jego pokojowej polityki w zachodniej części Europy było uzyskanie przez Niemcy pozycji równorzędnego partnera na arenie międzynarodowej i pozwoliło im odgrywać - jak dowodzono - „rolę stosowną do ich pozycji gospodarczej”. Pozycji Stresemanna nie przeszkodziło nawet podpisanie przezeń w imieniu Niemiec, latem 1928 r., tzw. paktu Brianda-Kellogga, nakazującego rezygnację z wojny bez rozróżnienia na wojny agresywne i obronne.

Polska z boku

Zupełnie inną politykę niż wobec Zachodu Stresemann prowadził wobec Polski. Jego głównym celem była likwidacja „polskiego korytarza”. Środkiem nacisku na Rzeczpospolitą stała się dlań mniejszość niemiecka i rozpoczęta w 1925 r. wojna celna między Polską a Niemcami.

Bardzo mylił się korespondent PAT na konferencję, który donosił, że „Pakt wschodni jest osią rozmów w Locarno”, a minister Skrzyński, spotykając się ze Stresemannem i Chamberlainem, odgrywa podczas prowadzonych tam rozmów rolę „decydującą”. Było wręcz przeciwnie - układy lokarneńskie otworzyły Niemcom drogę do rewizji granicy z Polską. Wprawdzie rozbrojone Niemcy do użycia siły jeszcze nie były zdolne, ale niczego na przyszłość nie wykluczano.

Mimo wielu starań, by na konferencji zagwarantowano również granicę polsko-niemiecką, polscy dyplomaci nie uzyskali w tej kwestii wspar-

cia mocarstw zachodnich. Gwarancje granicy wschodniej zadeklarowała jedynie Francja, z którą Polska i tak już była w sojuszu od 1921 r.

„Czy z tego będzie wojna?”

W Locarno podpisano ponadto cztery układy arbitrażowe, które Niemcy zawarły z Francją, Belgią, Polską i Czechosłowacją, oraz dwa układy gwarancji wzajemnej między Francją z jednej strony a Polską i Czechosłowacją z drugiej.

Art. 1. umowy Niemiec z Polską brzmiał: „Wszelkie sporne sprawy między Niemcami a Polską, jakiegokolwiek byłyby rodzaju, co do których Strony zaprzeczałyby sobie wzajemnie pewnego prawa, a które nie mogłyby być załatwione polubownie w drodze zwykłego postępowania dyplomatycznego, będą poddane dla osądzenia bądź to Trybunałowi Rozjemczemu, bądź też Stałemu Trybunałowi Sprawiedliwości Międzynarodowej, tak jak jest to przewidziane poniżej”.

Było jasne, że w obronie swych zachodnich granic Polska musiała liczyć odtąd głównie na własne siły. Po kilku latach Piłsudski na słowa francuskiego ministra zapewniającego, że Francja nie ustąpi Niemcom w sprawie Polski, odparł dość trzeźwo: „Nie, nie, niech mi Pan wierzy, ustąpić, na pewno ustąpić”.

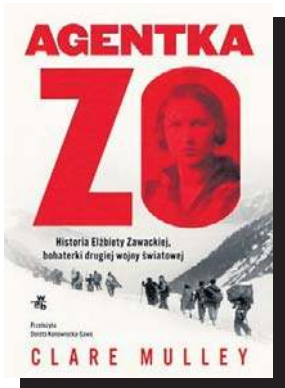
A może Mussolini?

Sejm RP przystąpił do ratyfikacji traktatu z Locarno wiosną 1926 r. Publicysta „Polaka”, organu Narodowej Partii Robotniczej, tak komentował dyskusję w parlamencie (wydanie z 4 marca 1926 r.): „Analizując następnie układy locarneńskie mówca (poseł Stronnictwa Narodowego Stanisław Stroński) dochodzi do przekonania, że Niemcom udało się wprowadzić różnicę między nienaruszalnością swoich granic wschodnich i zachodnich. Opinia ta panuje zarówno we Francji, jak i w Niemczech. Poza to sojusz francusko-polski wyszedł z Locarno osłabiony, gdyż został uzależniony od orzeczenia innych państw, czy zachodzi wypadek zastosowania sojuszu czy też nie. Francja bowiem w niesieniu pomocy Polsce jest związana paktem reńskim. Francja wie, że bezpieczeństwo jej związane jest z bezpieczeństwem Polski, że jeżeli straci placówkę nad Renem, Francja jednak nie potrafiła uzyskać zagwarantowania granic Polski. Szczęśliwym zdarzeniem, oświadczając, że zrozumie znaczenie Polski, może więc polityka polska zrozumie znaczenie Włoch pod kierunkiem Mussoliniego”.



NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

poleca
Agaton Koziński



Jak Polki walczyły z Niemcami w czasie II wojny światowej

Znacie Państwo termin „herstoria”? To gra słów na bazie języka angielskiego. Wyraz „history” (historia) dzielimy na dwie części: „his” (jego) i „story” (opowieść). Następnie zaimek męski zastępujemy żeńskim „her” (jej) – a po spolszczeniu uzyskujemy „herstorie”, czyli żeńską wersję historii. Wbrew pozorom nie jest to tylko zabawa językowa. W środowiskach feministycznych od lat 70. poprzedniego stulecia rozwija się narracja o tym, że historia świata jest – niesłusznie – zdominowana przez mężczyzn. Inie jako w kontrze kreślą własną wersję wydarzeń z przeszłości, w których uwypuklona jest rola kobiet. Na tym właśnie polega feministyczna herstoria.

Jedną z najważniejszych autorek tego nurtu jest Clare Mulley. Brytyjska publicystka i autorka kilku biografii w swoich książkach skupia się na kobietach i jej roli w dziejach. Za kilka swoich biografii, które opublikowała do tej pory, zebrała wiele pochwał, nagród i pozytywnych recenzji. Ale też to nie dziwi, gdyż pióro ma bardzo dobre, a warsztat historyczny bardzo udoskonalony. To wszystko sprawia, że jej książki autentycznie wciągają – i pokazują przeszłość z mało znanej, nieoczywistej strony.

Właśnie ukazała się jej najnowsza biografia – poświęcona Elżbiecie Zawackiej, pseudonim „Zo”, bohaterce oporu wobec Niemców w czasie II wojny światowej. Jej odwaga sprawiła, że wśród kurierów krążących po Europie zyskała status legendy – do tego stopnia, że dosłużyła się stopnia generalskiego. Mulley starannie zbiera samogóły o jej kolejnych podróżach – czy to pociągiem, czy to samolotem (połączone ze skokami spadochronowymi), czy w sposób całkowicie improwizowany. Ale to nie jest książka tylko o niej. Autorka opisuje specyfikę funkcjonowania kobiet w Polskim Państwie Podziemnym, zwracając uwagę, że one nie pełniły tylko funkcji pomocniczych, ale też często włączyły się do czynnej walki, do stawiania oporu na pierwszej linii. To zdecydowanie wyróżniało Polki na tle innych nacji opierających się hitlerowcom w Europie.

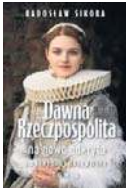
I jeszcze jeden szczegół. Mulley do tej pory napisała cztery biografie w ramach opowiadania „herstori”, przedstawiła cztery bohaterki lat wojny. I tak się składa, że dwie z nich to były Polki – przed opisaniem losów Zawackiej, autorka przygotowała biografię Krystyny Skarbek, agentki brytyjskiej tajnej służby SOE. Najlepszy dowód na to, jak wyjątkowy był polski ruch oporu. I jak wyjątkowe było zaangażowanie Polek w latach okupacji.

Clare Mulley „Agentka Zo. Historia Elżbiety Zawackiej, bohaterki drugiej wojny światowej”, wyd. W.A.B., Warszawa 2025



Krytyka neoliberalizmu z pozycji wolnościowych

Żaden naród tak chętnie nie odwołuje się do terminu „wolność” jak Amerykanie. Tym razem swoją perspektywę przedstawia znany publicysta, laureat Nobla z ekonomii. Krytykuje neoliberalizm. Joseph E. Stiglitz „Droga do wolności”, wyd. Prześwity, Warszawa 2025, cena 74,90 zł



Wszystko, co warto wiedzieć o Sarmatach

Drugi tom ciekawostek historycznych o I Rzeczpospolitej zebranych przez Radosława Sikorę. Dużo o Sarmatach, ich wychowaniu, wartościach – i codziennych zwyczajach. Radosław Sikora „Dawna Rzeczpospolita na nowo odkryta”, wyd. Zona Zero, Warszawa 2025, cena 89,90 zł



Skąd właściwie wziął się krąg Stonehenge?

Ken Follett w ostatnich powieściach sięgał czasu średniowiecza i budowy katedr. Teraz cofa się jeszcze bardziej. Jego najnowsza powieść jest inspirowana powstaniem Stonehenge. Ken Follett „Krał czasu”, wyd. Albatros, Warszawa 2025, cena 69,90 zł



Gdy życie jest pełne muzyki

Właśnie rozpoczął się XIX Międzynarodowy Konkurs Chopinowski. Niejako przy okazji powstała powieść inspirowana życiem pianisty. Dużo w niej muzyki. Jolanta Szynska-Wiercioch, Wojciech Wiercioch „Zaklinacz dźwięków. Powieść o Fryderyku Chopinie”, wyd. MG, Warszawa 2025, cena 79,99 zł



Dusza niejedno ma imię

Bardzo obszerna (niemal 1000 stron) historia duszy. Autor opisał, jak jest ona postrzegana w poszczególnych kulturach – i przeanalizował, jak zmieniał się stosunek do niej. Paul Ham „Dusza. Historia ludzkiego umysłu”, wyd. Znak, Kraków 2025, cena 149,99 zł



O prawdziwym znaczeniu sztuki

Zbiór wykładów niezującego już francuskiego intelektualisty. Maritain rozwija rozważania św. Tomasza z Akwinu o związkach sztuki z moralnością i szerzej z wartością życia. Jacques Maritain „Odpowiedzialność artysty”, wyd. Teologia Polityczna, Warszawa 2025, cena 47 zł



Wciągająca kontynuacja Thorgala

Trwają poszukiwania autorów, którzy będą kontynuować dzieło Jean Van Hamme'a i Grzegorza Rosińskiego, twórców „Thorgala”. Tu mamy ciekawy scenariusz, ale Thorgal niepodobny do oryginału. Antoine Ozanam „Thorgal. Ruchole Miasto”, wyd. Egmont, Warszawa 2025, cena 49,99 zł



Dla fanów kryminałów z suspensem

Kryminał utrzymany w formule powieści Agathy Christie. Lata 30. XX w., hotel na południu Anglii, którym nagle dochodzi do tajemniczych kradzieży. Kto poluje na wielki rubin? Helena Dixon „Zbrodnia i rubin. Tajemnice panny Underhay”, wyd. Mando, Kraków 2025, cena 46,90 zł



Zwierzęta kontra ludzie

Inspirowana „Czterema muzykantami z Bremy” opowieść o zwierzętach buntujących się przeciw ludziom. „Ciekawe są ich przygody i pomysły” – recenzuje prof. Jerzy Bralczyk. Tadeusz Nyczek „Banda Czorga. Opowieść nie ludzka”, wyd. Bosz, Oleśnica 2025, cena 49,90 zł



Japońska wersja „Kobiety za ladą”

Konbini po japońsku oznacza mały sklep spożywczy, taki na codzienne zakupy. Zwykle nie zauważamy sprzedawców w takich sklepach. Ta powieść jest o jednym z nich. Sayaka Murata „Dziewczyna z konbini”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2025, cena 44,90 zł



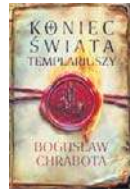
Prawdziwa historia jak scenariusz filmu

Opowieść o Janinie Mehlberg, matematyczce, która w czasie wojny udawała hrabinę Janinę Suchodolską – i w ten sposób uratowała ok. 10 tys osób przed Niemcami. Elizabeth White, Joanna Śliwa „Falszywa hrabina”, wyd. Rebis, Poznań 2025, cena 54,99 zł



Raz uwolniona magia żyje własnym życiem

Książka z kategorii „young adult” utrzymana w konwencji fantasy. Zoya dysponuje mocami, których wcale posiadać nie chce. Ale raz uruchomionej magii tak łatwo się zatrzymać nie da. Czy pomoże jej w tym Eryk? Paulina Hendel „Szept wiatru”, wyd. Fabryka Słów, Warszawa 2025, cena 52,90 zł



Opowieść o władzy i upadku

Powieść autorstwa znanego publicysty, nad którą unosi się duch „Imienia róży”. Historia Zakonu Templariuszy ukazana jako uniwersalna opowieść o władzy i jej upadku. Bogusław Chrabota „Koniec świata templariuszy”, wyd. Zys i S-ka, Poznań 2025, cena 57,90 zł



Uniwersum realizmu magicznego

Ostatnia część trylogii „Aglia”. Uniwersum stworzone przez Raka znajduje tutaj swoje zwieńczenie. Czy jest możliwe uniknięcie wielkiej konfrontacji? Czy poświęcenie Wielkiej Mistrzynie da efekt? Radek Rak „Aglia. Abraxas”, wyd. Powergraph, Warszawa 2025, cena 74 zł



Czas rozbojów, czas niepodległości

Thriller osadzony w realiach kresów II Rzeczypospolitej. Jest rok 1918, Polska odzyskuje niepodległość. Ale Wilhelm Kruger, pół-Żyd, pół-Niemiec, chce okradać banki. Marcin Ciszewski „Kruger. Szakal”, wyd. Skarpa Warszawska, Warszawa 2025, cena 49,90 zł



Dramat rozbitków z „Dżakarty”

Komiks inspirowany prawdziwymi wydarzeniami z 1629 r., kiedy flagowy okręt holenderskiej floty rozbił się w swoim pierwszym rejsie w okolicach Dżakarty. Dramat rozbitków rozegrał się potem. Sean Murphy „1629 albo przerażająca historia rozbitków z Dżakarty”, wyd. Egmont, Warszawa 2025, cena 119,99 zł

PROHIBICJA OD 1 CZERWCA PRZYSZŁEGO ROKU MA OBOWIĄZYWAĆ PEŁNY ZAKAZ SPRZEDAŻY ALKOHOLU W NOCY

Warszawscy radni przełamują impas w sprawie sprzedaży alkoholu w nocy

Adam Słowik
Warszawa

Warszawscy radni na czwartkowej nadzwyczajnej sesji przegłosowali poprawki do dwóch projektów w sprawie pilotażu nocnej prohibicji.

Nadzwyczajna sesja została zwołana na wniosek prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego. W porządku były projekty dotyczące opinii dwóch dzielnic - Śródmieście i Pragi-Północ - na temat wprowadzenia w nich nocnego zakazu sprzedaży alkoholu w sklepach i na stacjach benzynowych. Zakaz miałby obowiązywać od listopada w projekcie prezydenckim od godziny 23.00 do 6.00. Radni KO wprowadzili poprawkę, żeby obowiązywał on od godziny 22.00.

Obecny na sesji prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski podkreślił, że jeszcze kilka lat temu nie był zwolennikiem takich rozwiązań. - Wychodziłszy z założenia, że Polacy nie lubią zakazów,



Podczas czwartkowej sesji warszawskiej Rady Miasta radni po raz kolejny zajęli się budzącą wiele kontrowersji kwestią zakazu sprzedaży alkoholu w nocy

a samo ograniczenie sprzedaży alkoholu nie rozwiąże wszystkich problemów. Natomiast przez ostatnie lata przetoczyła się dyskusja przez Warszawę, odbyły się konsultacje, pytane były rady dziel-

nic. Olbrzymia większość warszawiaków wyrobiła sobie zdanie na ten temat i jest ono pozytywne - dodał, zaznaczając, że na razie nocna prohibicja będzie wprowadzona w dwóch dzielnicach,

a najpóźniej do 1 czerwca w całym mieście.

- Po to wprowadzamy pierwszy etap w tych dzielnicach, które są najbardziej dotknięte problemem, żeby w całej Warszawie to ograniczenie

wprowadzić w sposób jak najbardziej efektywny - powiedział Trzaskowski.

Stołeczny prezydent zaznaczył, że wraz z nocnym zakazem wprowadzony zostanie także program Warszawska Bezpieczna Noc zawierający m.in. mapowanie miejsc uciążliwych, wprowadzenie programu Odpowiedzialny Sprzedawca, dodatkowe kampanie edukacyjne, zwiększenie liczby patroli policji i straży miejskiej.

Wiceprzewodnicząca klubu radnych PiS Auksel-Sekutowicz poprosiła prezydenta, żeby na kolejnej sesji przedstawił informację w sprawie działań podjętych w sprawie poprawy bezpieczeństwa warszawiaków. Zgłosiła także poprawki techniczne. - Zgłoszamy jeszcze jedną poprawkę. Zakaz ma obowiązywać od godziny 22.00 do 6.00, a nie tak, jak napisano w projekcie - od godziny 23.00 - powiedział.

Zaznaczyła, że ratusz nie przedstawił żadnych analiz uzasadniających wprowadzenie nocnej sprzedaży alkoholu

od godziny 23.00, dlatego radni proponują wprowadzenie maksymalnego dopuszczalnego prawem ograniczenia.

Zaapelowała do radnych dzielnic Śródmieście i Praga-Północ, żeby szybko zaopiniowali te uchwały, aby 16 października na najbliższej sesji radni mogli się nimi zająć.

Prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski skomentował, że bardzo podoba mu się ten entuzjazm. - Będzie autopoprawka - podkreślił.

Radni PiS zaapelowali także o przeprowadzenie referendum w sprawie nocnej prohibicji wśród warszawiaków. Lewica i Miasto Jest Nasze chcą, aby pilotażowe wprowadzenie nocnej prohibicji w dwóch dzielnicach było opiniowane przez wszystkie dzielnice stolicy.

Prezydent Warszawy deklaruje, że pilotaż zacznie obowiązywać w dwóch dzielnicach od 1 listopada. W marcu prezydent złoży swój projekt uchwały o wprowadzeniu nocnej prohibicji w całej Warszawie. PAP

POLSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Kosiński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**

Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Karol Wlazło**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10



© - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenia?
przez internet
ibo.polskapress.pl

Praca**ZATRUDNIĘ**

NIEMCY: cieśla murarz malarz
ocieplenia spawacz elektryk,
601-218-955.

SERWIS sprzątający
z gr. niepełnosprawności Błonie tel.
668 085 925

SERWIS sprzątający
z gr. niepełnosprawności Ożarów
Mazowiecki tel. 668 085 925

Turystyka**KRAJ - GÓRY**

**Beskidy turnusy 60+ wrzesień od
1050 zł dostępny masaż leczniczy
/ dowóz, tel.: 501-642-492.**

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

Komunikaty

PRZEMEK 41 lat szuka sponsora,
który pomoże w realizacji kariery
wokalnno-muzycznej. Podaje kontakt
telefoniczny do siebie 608214858

Rolnicze**INNE**

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%,
K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/
tona, 500-669-621

AUTOREKLAMA

Polecamy →**motofakty.pl**

**Motoryzacja
na wysokich obrotach**

motofakty.pl

AUTOREKLAMA

aktualne
z całej Polski
przetargi

nasze
komunikaty.pl

REKLAMA

0011345201

NAGROBKI
już od 3999 zł
Usługi z granitu, marmuru
- blaty, parapety,
płytki, schody
RATY
22/214 06 31
500 290 360
Wólka Węglowa
EKSPOZYCJA ul. Palisadowa 15

Zwolińska ze złotem w C1 MŚ w kajakarstwie górskim

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl

Klaudia Zwolińska zdobyła złoty medal w kanadyjkach jedynek (C1) na mistrzostwach świata w kajakarstwie górskim w australijskim Penrith.

26-letnia slalomistka z Nowego Sącza przed rokiem została wicemistrzynią olimpijską w K1, a w 2023 roku w tej specjalności miała brąz mistrzostw świata. W kanadyjkach nie odnosiła dotychczas większych sukcesów, np. była 17. w paryskich igrzyskach.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem, co mam powiedzieć. Złotego medalu w kanadyjce się chyba nie spodziewałam. Przyjechałam tu oczywiście walczyć o krążki, ale bardziej myślałam o K1 - przekazała Klaudia Zwolińska, cytowana przez Polski Związek Kajakowy.

Zwolińska, druga w półfinale, w wyścigu decydującym o medalach startowała jako przedostatnia. Pojechała fenomenalnie - aż o 4,39 wyprzedziła startującą pod flagą neutralną Rosjanę Alsu Minazową oraz o 4,49 Brazylijkę Anę Satilę. Tuż za podium uplasowała się brązowa medalistka olimpijska z Paryża, Amerykanka Evy Leibfarth, której do brązu zabrakło o 0,11.

W Penrith Zwolińska była już 10. w próbie czasie w kon-



Srebrna medalistka olimpijska z Paryża Klaudia Zwolińska sięgnęła po złoty medal mistrzostw świata w kanadyjkach jedynek na mistrzostwach świata w Penrith

kurencji cross, wraz z koleżankami zajęła 11. pozycję w drużynowej rywalizacji w K1

- Wiedziałam, że robię postępy w kanadyjce, ale nie aż tak! W półfinale oddałam znakomity bieg i nie spodziewałam się, że jestem w stanie go powtórzyć, a co dopiero urwać kilka sekund! Nie wiem, co się teraz dzieje, to dla mnie jakiś szok! - podkreśliła.

W piątek Kamila powalczy jeszcze medal w swojej koronnej konkurencji (do półfinału awansowała z dziewiątego miejsca w eliminacjach), a w sobotę wystąpi w crossie.

- Jak ja teraz pojadę to K1? Przecież nie wypada mi popłynąć gorzej! - powiedziała ze śmiechem.

Z kolei trener główny reprezentacji Polski w slalomie kajakowym Jakub Chojnowski przyznał, że dla niego wynik Zwolińskiej nie jest wielkim zaskoczeniem.

- Jest medalistką mistrzostw Europy i igrzysk europejskich w kanadyjce, więc nie można powiedzieć, że to niespodzianka. Jej przejazd był wybitny, bo w sporcie, gdzie rywalizujemy na cienkiej linii czasowej, sekunda

może dać różnicę dziesięciu miejsc, a Klaudia wygrywa o ponad cztery. Wielu trenerów i zawodników z zagranicy gratulowało tak fenomenalnego przejazdu - podkreślił.

W czwartek bardzo dobrze zaprezentował się także Kacper Sztuba, szósty w C1.

- Szóste miejsce w jego wykonaniu jest bardzo dobre. Po raz kolejny potwierdził, że jest w czołówce, bo w tym sezonie notował wszystkie finały na międzynarodowych imprezach, za co należą się wielkie brawa - dodał Chojnowski. ©P

Hit Ligi Mistrzów dla PSG. Brutalnie o Lewandowskim

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

Nie był to wieczór Wojciecha Szczęsnego ani Roberta Lewandowskiego w hicie Barcelony z PSG w Lidze Mistrzów.

Hiszpańskie media po porażce 1:2 szczególnie krytycznie oceniły Roberta Lewandowskiego, który rozpoczął mecz na ławce rezerwowych, ustępując miejsca w jedenastce Ferranowi Torresowi.

Torres wyszedł w podstawowym składzie i już w 19. minucie otworzył wynik meczu. Lewandowski, jako jedyny Polak w Barcelonie, pozostał na ławce rezerwowych, a Wojciech Szczęsny zastępował w bramce kontuzjowanego Joana Garcíę. Mimo stracenia dwóch goli hiszpańskie media nie krytykowały Szczęsnego przesadnie. Dziennik „AS” podkreślił, że nie miał szans przy obu straconych bramkach. Dodano też, że miał dwie dobre interwencje - po strzale Achrafa Hakimiego i po uderzeniu Bradleya Barcoli - zwrócono przede wszystkim uwagę po przegranym 1:2 meczu z triumfatorami Ligi Mistrzów.

Według „El Mundo Deportivo” Polak „popęnił kilka błędów w grze nogami pod presją PSG, ale obronił dwa groźne strzały - jeden z rzutu wolnego, a drugi autorstwa Barcoli po indywidualnej akcji” - argumentowano.

„Przy golach był praktycznie bez szans, choć mógł szybciej wyjść do przeciwnika, by skrócić kąt” - tłumaczono.

Lewy zjechał przez media

Gorsze recenzje zebrał Lewandowski, który w 72. minucie zmienił Rashforda. „Był całkowicie nieistotny, choć prawdą jest, że biorąc pod uwagę przebieg meczu,

był to dla niego najgorszy możliwy scenariusz” - ocenił „AS” kapitał reprezentacji.

„W meczu pełnym gry od bramki do bramki wszedł na boisko w momencie, gdy Barcelona nie miała już sił, by zepchnąć rywala do własnego pola karnego. Nie wydawało się to najodpowiedniejsze otoczenie dla snajpera, który tym bardziej błyszczący, im bliżej bramki przeciwnika gra jego drużyna” - dodał z kolei kataloński „Sport”.

„Przyszło mu grać niemal cały czas tyłem do bramki. Nie był w stanie wyciągnąć korzyści z żadnej akcji i nie miał okazji do oddania strzału” - zganił „Lewego” „El Mundo Deportivo”.

Barcelona w rozpoczętym sezonie ma na swoim koncie wygraną z Newcastle United (2:1) i porażkę z PSG (1:2). Parzyżanie zaś zwyciężyli w obu pierwszych meczach z Atalantą (4:0) i Dumą Katalonii.

Kochalski z czystym kontem

W pierwszej kolejce Karabach na Estadio da Luz sensacyjnie pokonał Benfikę Lizbona 3:2 odrabiając straty w końcówce. Po tym meczu zwolniony został trener Bruno Lage. Zastąpił go legendarny portugalski szkoleniowiec Jose Mourinho.

W środę Karabach od 28. minuty prowadził z FC Kopenhaga po голу Abdellaha Zoubira. Pod koniec drugiej połowy precyzyjnym strzałem z dystansu na 2:0 podwyższył Emmanuel Addai. Bramarz ekipy z Azerbejdżanu, Mateusz Kochalski - urodzony w Świdniku wychowanek Legii Warszawa - zachował czyste konto i zanotował kilka dobrych interwencji. Karabach jako jedna z sześciu drużyn ma 6 pkt po dwóch kolejkach Ligi Mistrzów. ©P



Robert Lewandowski wszedł na boisko w drugiej połowie i zebrał bardzo surowe recenzje od dziennikarzy

W sobotę na Motoarenie w Toruniu Polacy zawalczą o pierwszy tytuł Speedway of Nations

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl

W sobotę na Motoarenie w Toruniu odbędzie się finał drugiej edycji Speedway of Nations z udziałem reprezentacji Polski.

Faworyci, czyli drużyny Szwecji i Wielkiej Brytanii, wygrały wtorową rywalizację w półfinale speedway of Nations na toruńskiej Motoarenie. Pierwsi zdobyli 40 punktów, a drudzy uzbierali 37 „oczek”.

W dodatkowym biegu o trzecie premiowane awansem do finału miejsce Łotysze wyraźnie pokonali Niemców. Dość długo w grze o trzecią lokatę byli Norwegowie, ale ostatecznie zajęli dopiero piąte miejsce. Słowenia i Włochy były tylko tłem.

W środę, w drugim półfinale na Motoarenie także nie było nie-



Bartosz Zmarzlik pojedzie po pierwszy tytuł SoN

spodzianek. Reprezentacje Australii i Danii wygrały rywalizację w cuglach.

Australijczycy zdobyli 41 punktów, a Duńczycy - 37 „oczek”.

W dodatkowym biegu o trzecie premiowane awansem do fi-

nału miejsce Czesi pokonali Ukraińców.

Francuzi, Finowie i Argentyni wyrażnie odstawali od najlepszych.

Polski zespół jako gospodarz imprezy ma zapewniony start w finale bez konieczności rywalizacji w półfinałach

Zawody Speedway of Nations w 2018 roku zastąpiły Drużynowy Puchar Świata. Rywalizacja jest zbliżona do turnieju par. W każdym zespole jest trzech zawodników, z których dwóch bierze udział w wyścigu.

W trakcie turnieju Speedway of Nations trener może dowolnie komponować parę. Rafał Dobrucki w tym roku postawił na najmocniejszy tercet: Bartosza Zmarzlika, Patryka Dudka i Piotra Pawlickiego, którzy będą reprezentowali Polskę w sobotnim finale.

[illegible]

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 25 utworzą rozwiązanie – myśl Mariana Karczmarczyka.

ROZWIĄZANIE: NADZIEJA JEST WDZIEKIEM MĘKI.